





Janina Pologowska



PRZESTĘPCA.



Przestępca.

PRZEZ

Franciszka Coppée.

Frédéric Edouard Poichin

Z francuskiego.



WARSZAWA

Nakład i druk S. Lewentala

Nowy-Świat № 41.

Дозволено Цензурою

Варшава, 16 Сентября 1897 г.



197059

I.

Deszcz pada często w Calvados, a prawie zawsze piękne kościoły miasta Caen swym kamiennym palcem wskazują szare tylko niebo, po którém przeciągają chmury napędzane wiatrem Zachodu.

Ale Krystyan Lescuyer, syn starego pana Lescuyer, radcy sądowego, do dwudziestego drugiego roku życia wiódł życie tak nudne, iż nie korzystał nawet z rzadkich uśmiechów klimatu normandzkiego, i zdawało się, że dla tego nieszczęśliwego młodzieńca deszcz ulewny padał od urodzenia.

Dom, w którym otrzymał średnie i wątpliwe dobrodziejstwo bytu, pochodził z czasów jego pradziada i stanął ku końcowi panowania Ludwika XV. Był on najsmutniejszym ze smutnych budynków arystokratycznej ulicy Karmelickiej, która, zamieszкана wyłącznie przez rodziny dawne, przedstawia zjawisko smutku. Wśród kanikuly nawet bruk tam zaczer-niony jest wilgocią, mury przejmują dreszczem. Całym tu nosem ludzie wdychają splin i katar.

Na jednym jednak jej krańcu, w ochoczej ulicy Świętego Jana, we dnie targowe warczy tłum wieśniaczy, strojny w białe czepki i niebieskie bluzy; na

drugim znów krańcu panuje ożywienie portowe, gdzie żeglarze skandynawscy, o żółtych brodach, zwinni, w swych koszulach z czerwonej flaneli, z hałasem zrzucają ze statków świerkowe deski, tak miłe pachnące.

Ale ulica Karmelicka nie chce nic o tym wiedzieć. Ona gardzi tą pracą ludową, tym ruchem popolitym, tą wrzawą ordynaryjną. Ona zasłania okiennicami większą część swych okien pozornych; a pałace jej, dość wyniosłej postawy, ale dotknięte nieraz zębem jaszczurczym, przypominają fizyonomię człowieka dumnego i zrujnowanego, pełnego dystynkcyi i kwaśnego humoru.

Pod względem powierzchowności sztywnej a dumnej siedziba pana Lescuyera, ojca, w niczem nie ustępowała żadnemu ze swych sąsiadów: dom od życia zewnętrznego odgradzony murem bardzo wysokim, więziennym, w którym otwierała się, a raczej nie otwierała się nigdy, brama wjazdowa, przepuszczał gościa przez wąską furtkę, wybitą w bramie, która, ciężka i tęga, także otwierała się nader opornie.

Przeszedłszy przez to niegościnne wnijście, wchodząc na dziedziniec wązki i ciemny, obstawiony dwiema oficynami pod kątem prostym, o fasadach zmurszałych, oraz ścianą graniczną, ukwefioną gęstym i smutnym bluszczem.

Nic bardziej odstręczającego nad ten dziedziniec. W jednym rogu stara studnia, z kubłem na sznurze, wyglądała jak zatruta. Głębate maskarony, wyrzeźbione nad oknami, skośnie patrzyły na ciebie jak na intruza; a schody perronu, o płytach zużytych i rozklekotanych, wyraźnie mówiły do ciebie: „Nie prosim dalej.”

Lecz wewnątrz było jeszcze gorzej. Wszystko tam oddychało prowincjonaln \acute{e} m skąpstwem i napuszystości \acute{a} palestranck \acute{a} ; a od samego perystylu lodowy płaszcz spadał ci na ramiona. Chroniczny katar oskrzeli groźnie zawisł w sali jadaln \acute{e} j, gdzie pięć lub sześć razy do roku pan radca Lescuyer, wdowiec i nie mogący przyjmować pań, wydawał dla swych kolegów z Izby sądow \acute{e} j obiady stawiane gorąco przez kucharkę, ale niebawem ostygł \acute{e} dzięki lodowemu przyjęciu i podbiegunow \acute{e} j rozmowie gospodarza.

W salonie zaś, gdzie za drzwiami czyhało na cię śmiertelne zapalenie płuc, portrety przodków Lescuyera, s \acute{a} downików od wieku przeszło i nader strzępiasto reprezentowanych w togach i perukach, od razu rzuciły na cię czarne wejrzenie z głębi ram owalnych, tak jakby miały przystępować do indagacji i zapytania wręcz: — „Oskarżony, jak się nazywasz?”

Jeżeliś jednak, biedny piniaczu, dostał się na pierwsze piętro i wszedł do gabinetu pana Lescuyera, brw! wrażenie było jeszcze okropniejsze. Same tylko szafy biblioteczne, napchane księgami prawniczemi, od zbiorów *in foglio*, mieszczących „zwyczaj \acute{e} średniowieczn \acute{e} “, pod przegniłemi oprawami, do nieskończonego buletynu ustaw, ubranego w czarny szagryn z czerwonym nagł \acute{o} wkiem. Ten tłok woluminów, ta kupa prawodawstwa i procedury, natychmiast ci przypominały, jak różne s \acute{a} między sob \acute{a} prawo i słuszność; oraz jaki trud, zkądinąd prawie bezpotrzebny, zadawali sobie ludzie od początków społeczeństw, aby prawami pisanemi przemódz barbarzyński grunt sw \acute{e} j natury.

Zaczynał \acute{e} s myśleć, że stare folianty z wypłowiałemi złoceniami, w których opisywano przestarzałe

katusze i zniesione tortury, nie były bądź co bądź tak dalece niesprawiedliwe i głupsze od społecznych nam kodeksów, które w sprawie wartéj cztery grosze obarczają nieszczęsne strony trąbą kosztów, cyklo-nem stemplów, tak, iż mógłby kto pożałować kijowéj sprawiedliwości kadych wschodnich.

W tym-to gabinecie, między wielkimi drukowanymi świadectwami niemocy ludzkiej, szukającej zgodności w sprawach najprostszych, siadywał zwykle pan konsyliarz Lescuyer przy biurku, dość ładnym sprzęcie z osiemnastego wieku, zdobnym bronzami cyzelowanymi, przed potężnym szafcem akt.

Wytrawny ten urzędnik, nieposzlakowany, pracowity, ale ograniczonej głowy i suchego serca, nieco wreszcie znieczulony rzemiosłem, przez czas przestoczony w starą maszynę argumentacyjną, w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, to jest na początku téj opowieści, ukończył pięćdziesiąt lat wieku.

Pobożny, nabożny, wskazany prezesowi, bonapartyście, jako zagorzały klerykał i podejrzany o legitymizm, pan Lescuyer w długim zawodzie awansował ciężko i rzadko; nawet wstążeczka legii honorowéj nie ozdobiła jego wytartego i białego u szwów surduta, który zapinał na swéj chudéj osobie, a według oszczędnych obyczajów prowincyi i jéj braku miłości własnéj odnośnie do odzieży, nosił go na grzbiecie od lat pięciu do sześciu.

Jedynym strojem, do którego pan konsyliarz przywiązywał wagę, był monumentalny krawat biały, jakby wycięty w kłębie świeżego śniegu; z pod którego to krawata wystawała szyja sępia, twarz sucha i krwista, zakrzaczona włosem, faworytami i siwiejącymi brwiami.

Ta twarz ostra, z oczyma nienawistnymi i rozdziewem o żółtych zębach, wydawała się jeszcze nieprzyjemniejszą skutkiem wybujałości systemu włosiennego; z nosa bowiem i z uszu pana Lescuyera wychodziły kępy czarnej sierści, w czém przesąd gwinny odkrywać chce dowód silnego temperamentu i wskazówkę długiego życia.

Wszystko w tej fizyonomii tyrańskiej wyrażało twardość, pychę, zawziętość. Miała ona nawet w sobie coś niemiłosiernego; i nie było wcale z drogi wyobrazić sobie pana Lescuyera w kapeluszu o trójkolorowych piórach, przewodniczącego trybunałowi rewolucyjnemu; albo też w ciemnym habicie, obojętnie, sztywno, z doskonałym spokojem, przypatrującego się jakiejś ohydnej torturze, wśród purpurowego blasku pochodni, w więzieniu świętej Inkwizycji.

Owóż, młody Krystyan Lescuyer, który właśnie złożył nader świetne egzaminy na wydziale w Caen i otrzymał stopień licencyata prawa, urodził się i wzrósł w tym domu ponurym, przy tym ojcu miłczącym i dzikim, który go przejmował jedynie pełną szacunku trwogą.

W dwudziestu dwu latach nie miał on żadnego miłszego wspomnienia. Oprócz stariej bony, jeszcze przed uwięzieniem w liceum, biednej Frazyi, jękały i prawie idyotki, ale która go nazywała: „swym synalkiem“ i całowała, śmiejąc się z radości, czuł on dobrze, iż nie kocha go nikt.

Matka? Umarła na gorączkę pokarmową w kilka dni po urodzeniu go na świat. Nie było nawet portretu jej w domu.

Ojciec? Ah! czasami młodzieniec oskarżał się o brak serca, o niewdzięczność względem ojca. Przebóg! Nigdy on nie stawał przed lodowatym panem

Lescuyerem bez głuchego uczucia lęku, instynktownej chęci odwrotu. W najodleglejszych wspomnieniach dziecięctwa zawsze tylko słyszał strofujący głos, widział galkowate oczy ojca.

Ah! wcześniej mu narzucono sztywność i milezenie przy stole. Nie pamięta, czy się gramolił na kolana ojcowskie; a będąc jeszcze małym chłopczykiem, kiedy szedł powiedzieć ojcu dobranoc, ten składał na jego czole prędkie pocałunek, tak, jakby pan konsyliarz, rzecz niemożliwa! grał w gry niewinne, i za fant skazany był na pocałowanie szkła u gorejącej lampy. Zaraz wreszcie po pierwszej Kommunii i te rzadkie pieszczoty ustały.

Z natury nieśmiały, do wywnętrzeń nieskory, od urodzenia zaprawiony do powściągliwości, Krystyan podczas pobytu w kolegium nie zawarł nawet żadnego z tych związków przyjaźni, tak koniecznych, bezinteresownych, szlachetnych, stanowiących urok i chlubę młodości.

Był tam wszakże mały paryżanin, stypendysta Franciszek Donadieu, sierota bez ojca i matki, syn ubogiego kapitana, poległego pod Solferino, ku któremu Krystyan, kolega jego aż do klasy trzeciej, czuł silny pociąg.

Tak, uczeń bez zarzutu, pracownik zawsze nagradzany miejscem honorowém i zaproszeniem na ucztę w rocznicę urodzin Karola Wielkiego, laureat, któremu corocznie wieszował pan prefekt w srebrzystym stroju, na urzędowej estradzie, wśród grzmotu oklasków i fanfar, wyrzucanych przez miedź załogi wojskowej; tak, stateczny i poprawny Krystyan ucuwał odrazu zdrożny pociąg do współtowarzysza, stanowiącego z nim zupełne przeciwieństwo.

Wszystko mu podobało się w tym Franciszku

Donadiou, w tym uczniu złym, w tym uliczniku paryskim, intelligentnym, leniwym, krnąbrnym, mającym zawsze pełne kieszenie kredek i ołówków, doznającym powodzenia tylko na kursie rysunku, „odpowiadającym” profesorom, puszczaćcym w obieg ich karykatury, w tym Franciszku, który pod ciągłym ogniem krzyżowym nagan i kar — zuchwale podnosił swą głowę, rudą i kudziierzawą, z heroiczną miną powstańca, wyzywającego strzały na barykadzie.

Chłopiec spokojny, uczeń uległy, nie śmiać tego wyznać przed sobą, podziwiał warchoła i buntownika.

Zbliżył się pierwszy do paryżanina, czemu ten odpowiedział chętnie, gdyż był uczuciowy i serdeczny. Stali się nawet nierozłącznymi, przechadzali się, rozmawiając z sobą razem, pod zdziwionym i niezadowolonym wzrokiem nadzorców klas.

Niezdolny do uczuć niskich, do zazdrości, „rak” zagrożony ciągle wydalaniem, był naiwnie dumnym z zażyłości prymusa. Ale kiedy Krystyan, łagodnie, delikatnie, próbował udzielić mu kilka rad, poddać go pod rygor ogólny, Franciszek oparł się, i odmówił wręcz. Łacina go zabijała, atrament uderzał w nos. On żył tylko oczyma, szczęśliwym był tylko z ołówkiem w ręku. Ale dość mu już było gipsów i wzorów. Czuł, iż może pracować z żywego modelu. Tak, on chciał zostać artystą, rzeźbić lub malować. Raczej rzeźbić, odwzorowywać kształty. I żalił się na siebie, iż traci czas, nie zdobywa się na odwagę.

— Wiesz ty — mówił czasami, z pozostałością stylu przedmieściowego — ja bym powinien drapnąć, uciec z tego więzienia, powrócić do Paryża, wstąpić do jakiego mistrza: bodajby mi przyszło zamiatać pracownię i czyścić buty!...

Ale cóż! Był sierotą bez grosza. Miał wprawdzie

jeszcze starszą siostrę ojca, starą pannę, utrzymującą czytelną przy ulicy Świętego Jakóba. U niej-to przepędzał wakacje. Oh! niebardzo świetnie! Pił on tam napój z rodzyneków i sypiał w niszy nad kuchnią. Kobięcina go kochała; nie zostawiłaby go na bruku, bez zaprzeczenia.

Lecz kiedy jój mówił w listach o swój odrazie do collegium, o chęci uczenia się rzeźby, ciotkę ogarniał strach. Błagała go, aby był cierpliwym jeszcze i kończył nauki. Ah! gdyby się nie obawiał zanadto zmartwić swojej ciotki!... Wpadał w złość. Nie było nawet sposobu dostania troszki gliny.

Pilny i melancholijny Krystyan nie podlegał tym burzom wewnętrznym. Dla niego przyszłość widniała nakreślona, jak droga na płaszczyźnie. Ukończy prawo, przejdzie przez advokaturę; potem, jak jego przodkowie, nosić będzie galonowany beret i togę, wykładaną łapkami gronostajowemi.

Tak postanowił jego ojciec i mówił mu sto razy, od czasu, gdy syn doszedł do wieku rozumnego. On zgadzał się, naturalnie.

Mimo to czuł się jakby przejętym głuchą czią przed towarzyszem, przed tym chłopcem czternastoletnim, który mu z całą plebejuszowską energią wyjawiał męczarnie tamowanego powołania.

Nagle atoli przerwała się przyjaźń dwóch chłopców. Zaplątany w bunt uczniowski, w nocny hałas w sypialni, z której nadzorca wyszedł z okiem podobitą, Franciszek Donadieu, stypendysta, który jednak nie był winnym, wyleciał z liceum.

Powrócił do Paryża, nie dawał znać o sobie; a w umyśle Krystyana zacierała się powoli pamięć o tym towarzyszu ulubionym, o tym małym paryżaninie, z okiem pełnym szczerości, który po każdym

obiedzie na ceracie refektarza zostawiał ptaszki le-
pione z chleba.

Bardzo samotny, bardzo zamknięty w sobie, po
długich, powolnych, ciężkich i zmudnych / latach,
przepędzanych w nudzie kollegium i w nudzie domu
ojcowskiego, Krystyan wszedł nareszcie w wiek
mężki.

Podczas nauki prawa miał zapewne nieco więcej
swobody, ale cóżby z nią zrobił?

Lubo zaopatrzony w tęgą zamożność, pan Euze-
biusz Lescuyer uważał przecież, że pięć franków na
tydzień stanowi wcale dostateczny fundusz na przy-
jemności dla chłopca, któremu już meszek zakwitł
pod nosem.

Krystyan, dwa lub trzy razy wyciągnięty przez
kollegów w miejsca prowincjonalnej uciechy, która
go zemdlila, i zmuszony wyjawić przed ojcem dług
kilku luidorów, usłyszał od skąpego i surowego
urzędnika kazanie, tak, jakby chodziło o kradzież
z włamaniem i gwałtem w domu zamieszkanym.

Głęboko upokorzony, Krystyan unikał odtąd
wszelkich sposobności do wydatku, trzymał się zda-
ła od kollegów, i aby przewyciężyć nagabania mło-
dzieńczości, zamęczał się pracą. Najmniej złe jego
chwile były te, które zabijał w długich przechadz-
kach, sam, z duszą pożeraną marzeniem.

Bo zmierzył sobie rodzinny dom, reumatyczny
i ponury pałac przy ulicy Karmelińskiej.

Dla niego maski i fasady, zazieleniałe od wilgo-
ci, przesadzały jeszcze swój niegościnnie skrzyw; zło-
wroga studnia zdawała się ofiarowywać mu swoją
wodę, aby się w niej utopił—sznur, aby się na nim
powiesił; a kiedy w jadalni kataralnej Krystyan za-
siadał przy jednym z tych obiadów, na których śnie-

żysty krawat ojca walczył o świetniejszą i zimniejszą białość z kilkunastu innymi krawatami równie lodowatymi, nieszczęsny młodzieniec, przeszyty nawskroś smutkiem, pytał siebie z przerażeniem: czy nazawsze skazany jest na podobne życie? I czuł, że mu idzie do gardła jęk rozpaczliwy.

Co druga niedziela, popołudniu, pan Lescuyer odwiedzał panią Léger-Taburet, w pięknym domu przy ulicy Kanoniczek, którego była właścicielką. Pozostała ona wdową po jednym z sędziów, z którym pan Lescuyer odbywał naukę prawa i czasami nawet wyprawiał figielki studenckie: gdyż przed zasklepieniem się ostatecznym nakształt przedpotopowego mammuta w lodowiec swego białego krawatu, pan Konsyliarz miał pewnego gatunku młodość, i, tak dobrze jak każdy inny, zbijał bruki kaeńskie w godzinach zakazanych, aby przyczepiać rondelki do ogonów włóczącym się psom lub zamurowywać rączki od dzwonek przy bramach.

Ale wszystko to było bardzo dawne i bardzo zapomniane. Niektórzy ludzie młodymi są w taki sposób, jak kiedy dziecko przebędzie odrę lub skarlatynę. Krótka to choroba, o której człowiek po wyzdrowieniu zapomina.

U dwóch tych przyjaciół dwudziesty rok życia był tylko przemijającą gorączką, wybuchem nieznacznym. Niebawem ustatkowali się, pożenili; nawet pan Taburet, przedtem żwawszy, roztropnie zaślubił pannę dobrze starszą od siebie, lecz posiadającą gruby majątek.

Przez dwadzieścia pięć lat walcząc bez powodzenia przeciwko nieprzyzwyczajonej sennaści posiedzeń sądowych, sędzia umarł nagle, mając lat około pięćdziesięciu, nie pozostawiwszy potomstwa; a wdo-

wa po nim, obecnie stara niewiasta, żyła sama z wnuczką po bracie, panną Kamillą Letourneur, która miała po niej dziedziczyć, i tym sposobem stanowiącą jedną z najpiękniejszych partyi w całym Calvados.

Lubo oszczędność, choćby najbrudniejsza, uważana jest powszechnie w Normandyi za pierwszą z cnót, pani Taburet w towarzystwie kaeńskim wydzwaniana była z powodu zadziwiającego skąpstwa. Przytaczano o niej rysy godne Moliera, a od dawnych lat — anegdoty nie starzeją się na prowincyi — śmiano się do łez, kiedy imię pani Taburet wymieniał kto w rozmowie, i przypominano sławną „historję winogron.”

Winogrona te, wyborny *chasselas*, były może jedynymi w całym departamencie, które dojrzewały, dzięki wyjątkowo sprzyjającemu położeniu ogrodu pani Taburet, gdzie szpalery winniczne wystawione były na samo południe, osłonięte od wiatru.

Wdowa niezmiernie się chępiła tą osobliwością, a gdy Wrzesień poczynał złocić grona, nie omieszkiwała zapytywać każdą z pań, nawiedzających ją po nieszpórach:

— Czy ma pani takie dojrzale winogrona w swoim ogrodzie?

— Nie, panie! — odpowiadano za każdym razem.

Wtedy chuda twarz skąpichy, żółta, pod przyklepanymi włosami koloru sadzy, oświeciła się uśmiechem strasznym. Odzywała się ona zawsze tonem kwaśnego tryumfu:

— A ja mam!

Lecz nigdy, przenigdy, nie poczęstowała nikogo odrobiną tych winogron, które, zebrane z miłością

i zawieszono w workach z grubego tiulu u krokwi poddasza, stanowiły jedyny deser obiadowy aż do Wielkanocy.

Jednego dnia wszelako, dzień to pamiętny!... kiedy sławna winnica z ulicy Kanoniczek obiecywała tej jesieni zbiór wyjątkowo obfity i piękny, wdowa zdawała się wylamywać z pod zwykłego sknerstwa.

Przyjmując wizytę dwóch „panien ziemianek”, starych sióstr nabożnych i skazanych na dziewictwo dożywotnie, pomimo uczciwej fortuny, lecz dla brzydoty odstrasżającej, pani Taburet zadała im zwyczajne pytanie:

— Czy macie panie dojrzałe winogrona w ogrodzie?

Na co „panny obywatelki” odparły według zwyczaju:

— Nie, pani.

— A ja mam — przemówiła tradycyjnie pani Taburet.

Lecz na ten raz dodała frazes zgoła nieoczekiwany:

— Czy chcecie panie spróbować?

Gdyby „pannom obywatelkom” kazał za pokutę spowiednik jeść mięso w wielki piątek, nie zdumiałyby się bardziej. Obie zawołały jednocześnie:

— I owszem, kochana pani!... Nie miałybyśmy skosztować pani *chasselas*?... Ależ z największą przyjemnością!

Podniosła się zatem pani Taburet, zabawiła kilka minut w ogrodzie, który widniał ozłocony pod słońcem październikowem przez drzwi otwarte salonu, wróciła uroczyście i w garści podała „pannom dzieciętom” po jednem ziarnku każdej.

Do tej to kumy Harpagona pan konsyliarz Lescu-

yer prowadził syna co druga Niedziela. Smutny młodzieniec cierpliwie odbywał tę pańszczyznę, tak jak i wszystkie inne nudy swego życia.

Od czasu pierwszych swych spodni widział jak aksamitne obicie ze zgnilo-zielonego przeszło w barwę żółto-moczwą, na starych meblach, które udawały wszystkie kształt liry, tak jakby pani Taburet, czytająca przecież jedynie „Dziennik Caen” i „Dzień chrześcijanina”, miała być dziesiątą muzą.

U tej wdowy młody Krystyan z rezygnacją znosił gawędy prowincjonalne, równie monotonne jak pięć lub sześć starych kurantów, które co tydzień katarynka chrypiała pod tém samém oknem. Słuchał z odrętwiałością podskarbiego bractwa na kazaniu banalnych uwag, zawsze jednakich, o zgonach, małżeństwach, chorobach. Umiał na pamięć jeremiady przeciw deszczowi:

— Jeżeli tak potrwa jeszcze z tydzień, to owsy przepadną.

Albo przepowiednie pogody:

— Jaskółki bardzo wczesnie odlatują: zima będzie ostra.

Przy tych głupkowatych rozmowach, zaprawionych tylko od czasu do czasu obmową, Krystyan zachowywał wzdorliwe milczenie, które mu wreszcie nie szkodziło wcale, owszem, uważane było w młodzieńcu za znak dobrego wychowania.

Zaledwie, i to rzadko, zamienił kilka nieznaczących słów z wnuczką pani Taburet, panienką szesnastoletnią, cichą, nieśmiałą, surowo trzymaną przez ciotkę, a ubieraną jak figura przydrożna.

W tém środkowisku ciasném, w tej atmosferze zimnej, panna Kamilla była jedyną istotą, dla której Krystyan czuł nieco sympaty.

Nie będąc piękną, miała ona oczy myślące i dobre, miły wdzięk w uśmiechu. To też kiedy raz, po wyjściu od tych pań, pan Lescuyer dał do zrozumienia synowi tajemny powód tych terminowych wizyt. Krystyana wzruszyło to przyjemnie.

— Czy wiesz? — powiedział stary konsyliarz — że panna Kamilla prędzej czy później mieć będzie osiemnaście tysięcy franków rocznego dochodu z nieruchomości?... A ciotka jej pragnie wydać ją za urzędnika... Prezes trybunału cywilnego, pan Gigolet de la Nouzière myśli już o niej dla swego syna; ale Jerzy, to głupiec, i trzeci już raz obcina się przy egzaminie na licencyata... Ty będziesz doktorem praw za dwa lata; ja mam jeszcze kilku przyjaciół w ministeryum, którzy ci wyrobią nominacyę na sędziego. Co większa, uważam, że panna Letourneur nie jest ci niemiłą, i możesz śmiało ubiegać się o jej rękę; bo jeśli masz bardzo mało ze strony matczynej, ja ci natomiast zostawię niejedną baryłkę soli. Jesteście jeszcze zamłodzi, ty i panna Kamilla, abym to dawał do poznania pani Taburet, która jest kobietą z głową i do interesów niełatwą. Ale nareszcie, nareszcie, myśl o tém, co ci mówię.

Słowa te, w które stary sędzia po raz pierwszy wtrącił nieco troskliwości ojcowskiej, były dla zaschłej duszy Krystyana rosą ożywczą. Mało go obchodziły te rachuby posagu i majątku: młodość jest bezinteresowną. Ale widział się już narzeczonym panny Kamilli, którą żąda jego upiękniała. Pozwolono mu kochać.

Tym sposobem jego płaska i oschła egzystencya wydała mu się przeistoczoną, zapachnioną uczuciem. I marzył trochę naiwnie o radościach niewinnej idylli, o czułych spojrzeniach i wymienianych przysię-

gach, o chwilach przepędzanych obok młodej panny, w ogrodzie, pod szpalerami słynnej winnicy, gdzie może pozostawia ich samych czasami, i gdzie ręce ich zetkną się nieśmiało.

Ale wkrótce potem pan Lescuyer zawołał syna do gabinetu.

Nigdy jeszcze w swój osłonie starych zbiorów niesprawiedliwości, oprawnych w płótno i skórę cielecą, urzędnik nie okazał tak surowej miny. Nic nie było wstrętniejszego niż jego wzrok, w głębi dzikiego okrzaczenia brwi; a jego biały krawat, zimniejszy jeszcze niż zazwyczaj, wywoływał bezpośrednio pojęcie podróży pod biegun północny i polowanie na białe niedźwiedzie wśród gór lodowych.

— Synu mój — odezwał się do Krystyana tonem, który musiał zapewne zniżyć termometr o dwa lub trzy stopnie — powziąłem względem ciebie poważne postanowienie. Pragnę, byś został, tak jak ja, doktorem Fakultetu Paryskiego, i pošlę cię tam z przyzwoitým zaopatrzeniem, abys odbył egzamin i obronił rozprawę. To rzecz dwóch lat, jeśli będziesz pracował żwawo.

Nie ukrywam niebezpieczeństw, na jakie narażona jest natura taka jak twoja, słaba i ustępna, oraz swoboda, jakiej używać będziesz wśród pokus wielkiego świata. Nie waham się jednak wobec korzyści, jakie widzę w pobycie twym w Paryżu, z punktu nauki i przyszłości twojej. Pamiętaj to sobie, że ja, o ile możliwie wyrozumiały na jakiś drobny wybryk, o tyle byłbym nielitościwym dla ważnego przestępstwa w prowadzeniu się.

Zgoła nie rozstaję się z nadziejami, o których mówiłem ci niegdyś; mam zamiar utrzymywać nadal blizki stosunek z temi paniami podczas twój nieo-

becności, i przygotować za powrotem twym związek, zapewniający ci piękną niezależność, zdaniem mojem, nieodzowną dla urzędnika.

Październik ma się ku końcowi; od jutra rozpoczniemy wizyty pożegnalne, a wyjedziesz w wigilię Wszystkich Świętych, abyś się zapisał na trzeciego Listopada, w którym przypada otwarcie kursu. Dam ci listy polecające do kilku przyjaciół, jakich tam jeszcze mam, a zwłaszcza do naszego współziomka, znanego pana Lherbager, którego ci intryganci z placu Vendôme posunęli wreszcie na radcę sądowego, przetrzymawszy go dwadzieścia lat na posadzie sędziego inkwirenta, na której zkadinał okazał się podziwu godnym.

On ci udzieli rad dobrych, i będziesz mógł zapewne zbliżyć się z jego dwoma synami, o których mi on pisze jako o młodzieńcach uczciwych i pobożnych. Pomimo niedogodności dzielnicy Łacińskiej, wolę, abyś mieszkał bliżej szkoły. Co miesiąc otrzymywać będziesz po dwieście pięćdziesiąt franków. Niechaj ci to wystarczy. Ja niegdyś żyłem w Paryżu za połowę tego. Otóż tak! Przygotuj się do drogi i nie dziękuj mi; lecz staraj się uznać dowody zajęcia, jakie ci daję, pozostając zdała ode mnie młodzieńcem dobrym i pracowitym.

Wyrzekłszy tę allokucyą prawie z taką życzliwością i serdecznością, jak gdyby czytał wyrok śmierci, pan Lescuyer pożegnał syna.

Krystyan, zataczając się, wyszedł z gabinetu ojca. Cóż to za niespodzianka! Jakie upojenie! On wolny! Czy podobna? Ma być swobodnym! Mieszkać w Paryżu! Mieszkać ma w dzielnicy Łacińskiej, która drażni wyobraźnię wszystkich studentów na prowincyi, o której słyszał tak często od kolegów jako

o ziemi obiecanej, o niebie Proroka; tam to będzie on sam panem; tam użyje swój młodości niefrasobliwie, z kluczem w kieszeni i pieniędzmi, z których rachunku nie ma składać nikomu.

I ojciec ogłasza mu tę wieść tak zimno, prawie surowo, jak rozkaz, z obojętnością dozorca więzienia, otwierającego cele zamkniętemu.

Ah! gdyby wówczas stary sędzia, nie już czulsze słowo wyrzekł, ale gdyby mu głos zadrgał byle jakim wzruszeniem, Krystyań rzuciłby mu się na szyję, roztajałby we łzach na jego sercu!

Ale zapisaniem było, że uczucie i ufność nie zejdą się nigdy między temi dwiema istotami. Krystyan opuści dom ojcowski z radością wypuszczonego psa, który wie instynktownie, że prędzej czy później powróci pod kańczug pana.

Aż do dnia wyjazdu młodzieniec żył w niecierpliwém rozgorączkowaniu. Nie z tego, co porzucał, nie przyczyniało mu żalu. Pod tém dżdżystém niebem, w murach tego rodzinnego domu, w tém mieście, gdzie nie poczuwał żadnej przyjacielskiej duszy, za długo i zaokrutnie się znudził.

Nawet kiedy przyszedł pożegnać się z mieszkańkami ulicy Kanoniczek, niemal z przykrością myślał o tym projekcie małżeństwa, który go narazie zachwyił; a panna Kamilla, której zmieszania nie postzegł przy pożegnaniu, wydała mu się zupełnie brzydką. To wreszcie jeszcze dziecko. Czyż ona jemu istotnie na żonę przeznaczona? Co tam się niepokoić o przyszłość tak daleką! Co pewnem jest i blizkiem, to jego wyjazd, wyswobodzenie. Zapakował się tygodniem wcześniej. Sypiać nie mógł ze wzruszeń.

Nareszcie nadeszła godzina. Był to ranek ponury,

istna wigilia Wszystkich Świętych, kiedy wiatr morski skręcał i napędzał chmury.

Na dworcu kolejowym otrzymawszy zimny pocałunek ojca, Krystyan uczuł z rozkoszą — tak! nawet w tej uroczystej chwili — lekkie poruszenie się wagonu idącego w bieg.

I dopiero w kilka minut potem, widząc malejące, blednące we mgle strzały Świętego Stefana i ciężkie wieże Opactwa, młody podróżny zapadł nagle w głęboki smutek i z boleścią zastanowił się, azali nie ma on kamienia na miejscu serca, że tak zimno rozstaje się z człowiekiem, przed którym zawsze drżał, ale który, pomimo wszystko, jest jego ojcem; z tém miastem, w którym wprawdzie nie zostawia żadnego miłego wspomnienia, ale które, bądź co bądź, jest jego kolebką?

I pośród chmur postrzępionych widział wtedy, przynajmniej wydawało mu się, że widzi, niewyraźnie skrzywione twarze, przypominające mu ohydne maski rzeźbione na gmachu ojcowskim, które zdawały się go ścigać wzrokiem nienawiści i życzyć mu jakiegóś złej przygody.

II.

Hotel *Bayeux i La Plata*, przy ulicy Racine'a, za główną klientelę ma studentów z Niższej Normandyi, a przytem wyjątkowo daje schronienie kilku młodym Argentyńczykom o oczach jak czarne dyamenty i o cerze odwrotniej strony buta.

Jego stół wspólny, nie ustępujący w niczem swym współzawodnikom z dzielnicy Łacińskiej pod względem wina barwy fijołkowej, suchotniczych kurcząt i zakurzonych biszkoptów, gromadzi co wieczór około swego wątpliwiej czystości obrusa ze dwunastu tęgich cbłopaków, świeżych a płowych, oraz ze trzech lub czterech zamorców o uwędzonych twarzach.

Normandowie, większą częścią synowie notaryuszów i „kauzyperdów”, mają obyczaje względnie spokojne i stateczne; uważnie notują w szkole, regularnie składają egzamina, pozwalają sobie tylko czasami orgii za opłatą taryfową. i, szczegól godny uwagi, jeszcze w ostatnich dniach miesiąca noszą swe skromne łańcuszki zegarkowe na tęgiem suknie domoroślem czarnych kamizelek.

Przeciwnie, rubin lub topaz, zdobiący na pokła-

dzie statku zaatlantyckiego morderowy krawat młodego Amerykanina, niebawem przechodzi „do cioci” lub do żyda z rozdroża Odeonu; albowiem studenci egzotyczni są zgorzeniem i, trzeba również przyznać, źródłem dochodów hotelu.

Oni jedni okazują się tam hulakami, piją wyższe gatunki „bordeaux”; a jeżeli rano jaka panna rozczochrana, w gorsecie i spódniczce, woła na kelnera, aby podał dwie czekolady „pod siedemnasty”, można być pewnym, że ten „siedemnasty” zajęty jest przez obywatela z Buenos-Ayres.

W hotelu *Bayeux i La Plata* Argentyńcy i Normandowie żyją zkadinańd w doskonałym koleżeństwie, w szkole i za szkołą.

Stanąwszy na dworcu przy zmierzchu, Krystyan kazał się bezpośrednio zawieźć na ulicę Rasyna. Numerowy, korzystnie usposobiony widokiem dwóch waliz, przyczepionych do fiakra z galeryjką, zaprowadził podróżnego na pierwsze piętro, otworzył jedne drzwi i wyrzekł z pyszną powagą:

— Panie... to nasz najlepszy pokój.

Był on ohydny. Przebijając się przy ponurem świetle świecy krzywo osadzonej w mosiężnym lichtarzu, Krystyan doznał odrazu wstrętu wobec materaca obitego niebieskim jedwabiem, z plamami wszeźtecznymi, oraz wobec stariej kanapy ranniej śmiertelnie i tracącej włosie trzema szerokimi ranami.

Ale wrażenie to trwało tylko chwilę. Numerowy wrócił pośpiesznie i rączo wziął się do rzeczy: materac zmienił, pod pokrowcem perkalowym w drobne kwiatki ukrył niedolę kanapy, zapalił kandelabry, rozniecił na kominku wesoły ogień; tak, że Krystyan, rozpakowawszy się, ułożywszy książki na etażerce, stworzyłwszy nareszcie nieco porządku w tój banalnój

izbie, wyrzekł z cicha, z głębokiem westchnieniem zadowolenia:

— U siebie!... Jestem u siebie!...

Wtedy, podniosłszy roletę, spojrział na ulicę.

Wielki salon fryzjerski, cały jarzący się gazem, oświetlał chodnik zprzeciwka, a przez szkła witryny Krystyan ujrzał kilku młodzieńców, których czesali lub golili żwawo subjecki z zakasanemi u koszul rękawami. Domyślał się, że muszą to być studenci, którzy tego wieczora mają być na balu albo w teatrze, i porządkują się. Wkrótce i on czynić będzie to samo, zakosztuje przyjemności Paryża.

I w radosném uczuciu swobody bawił się kilku śmiesznemi ozdobami pokoju, wilkiem kominkowym, nad którym po obu bokach sterczały biusty Berangera; treścią zegara z cynku o wytartej pozłocie, gdzie z róży wychodził Kupidyn; ale nadewszystko szkaradnym obrazkiem kolorowanym z ostatniego wieku, który niewiadomo jak się tam dostał, a wyobrażał pana Lamoignon de Malesherbes, w cyrmonowym fraku, przechadzającego się w krajobrazie, pod zachód słońca, z przyjacielem we fraku zielonkowanym, i deklamującego mu — jak wskazywał gest — ten przedziwny czworowiersz, wylitografowany u spodu:

„Gdy gwiazdy w górze zamigocą,
Spokojnie można spojrzeć w dal;
Nic nie spełniliśmy w dzień, o co
Miałaby do nas cnota żal.

Tymczasem odgłos pękniętego dzwonu oznajmił, że czas na obiad, i Krystyan zszedł do wspólnego stołu. Argentyńcy i Normandowie o świeżych po-

liczkach, już tam chlinali zupeł z ogromnym szczękiem łyżek.

Onieśmielony temi obcemi fizyognomiami, nowy współzawodnik skromnie zasiadł na jedném miejscu niezajętém, gdzie uważny kelner ułożył był serwetę w formie mitry biskupiej, gdy naraz z głębi pięknej brody plowej siedzącej naprzeciwko, wytrysnął okrzyk:

— A... Lescuyer!

I po chwili wahania, pod tą bujną brodą, Krystyan rozpoznał jednego ze swych dawnych kolegów z liceum, nazwiskiem Mulo, syna bogatego hodowcy z okolic Caen.

Dwaj młodzieńcy zaledwie znali się ongi. Lecz Mulo, dobry chłopiec, z obejściem dość pospolitém, zaraz zaczął *tykać* Krystyana; ten zaś, rad znajomości, zawtórował mu podobnie.

— Więc przygotowujesz się do stopnia doktora praw?... I pierwszy raz dopiero jesteś w Paryżu?... No, to ci tu posterujemy w naszej dzielnicy.

Lody pękły. Nowotnego przedstawiono całemu stołowi, i od sztukamięsy z ogórkami, włóknistą i trącącej szumowinami, rozmowa się ożywiła.

Niewiele więcej warta była od kuchni.

Gdyby Krystyan był mniej „nowotnym“, spostrzegłby odrazu, że jego młodzi współziomkowie mają dowcip ciężki, oraz, że śmiechy gardłowe i gromowe głosy hiszpano-amerykanów dokuczyłyby głuchemu. Ale co tam! wszystko to było młode, serdeczne, dobroduszne, i Krystyana zachwyciło przyjęcie. Poddał się, był uprzejmym, wszyscy go polubili.

Przy deserze, złożonym ze spleśniałych bakalii i kamyczkowatych gruszek, jeden z zamorców na

powitanie Krystyana zafundował szampana, obrzydliwe ziółka — i wesołość się podwoiła.

Jeden argentyńczyk, przybyły z dalekich Pam-pów, udawał ryk żaguara w próżnej karafce; drugi, narażając się na pęknięcie płuc, odtwarzał wszystkie odgłosy kolei żelaznej, ryki maszyny wyruszającej, szczęk żelazstwa, buki, trzaski na zawrotach, potem pociąg w pełnym „biegu, i ph!... ph!... ph!...” regularne buchającej pary. Otrzymał nawet szczególne powodzenie, kiedy, ażeby dać pojęcie o przybyciu na stację pociągu i trzasku otwieranych drzwi, ciągnął i gwałtownie otwierał szufladę kredensu, głosem zachrypłego konduktora, krzycząc: „Puteaux!... Puteaux!... Pięć minut...”

Ale tryumf zupełny odniósł młokos z Saint-Lô, który, odwróciwszy się od towarzystwa i czyniąc gest heblującego stolarza, odtwarzał wszystkie szelesty narzędzia. Była to doskonałość w całym znaczeniu. Zdawało się nawet obecnym, że widzi spadające wióry. A co za odcienie! Ostre powstrzymanie roboty; wysiłek wielkiego hebla, trafiającego na sęk w desce. Artysta posuwał nawet mistrzostwo aż do wyrażenia różnic między rzekomo obrabianymi drzewami:

— Teraz dąb!... — wołał — Teraz sosna!... Teraz palisander!... Następnie — a była to korona przedstawienia — podwajał efekty brzmień, ogło-siwszy z powagą:

— Teraz robota odbywa się w kościele przy na-prawie konfesyonałów.

Następnie, po kawie—istnych pomyjach— i szeregu kieliszków likieru, które jeden tylko Mitrydates mógłby był pochłonać bezkarnie, Mulo, który spełniał niemal funkcyę mistrza dworu przy wspólnym

stole, zaproponował przechadzkę po świeżem powietrzu.

Ale było to zapowiedziane snadź tylko tak, na wiatr, gdyż zaledwie cała gromada postąpiła kilka kroków na ulicy, zaraz jeden z mieszkańców Buenos-Ayres zawołał, że jest doskonałe piwo w piwiarni przy ulicy Hautefeuille, na piętrze, w głębi dziedzińca.

Miejsce to było słynne, buntownicze i literackie, z owych czasów drugiego cesarstwa. W dniu drugim grudnia *)—temu lat siedemnaście—właściciel, stary pijanica z białą brodą, obecnie osiemdziesięcioletni, aresztowanym był przez dwadzieścia cztery godziny. Ze wzruszeniem pokazywano w głównej sali, na lewo, stół przy którym Murger zjadł kilka główek karpusty przed aresztowaniem. Często studenci z dziesiątego roku szkolnego, „politycy”, po większej części pochodzący z Franche-Comté, przesiadywali tam dość długo w noc, rozprawiając i recytując kilka poematów z „Châtiments” Wiktora Hugo.

Dalekie od doskonałości, zachwalone piwo miało zapach smołowca. Ale któżby się poważił uczynić uwagę ofierze Cesarstwa, spiskowcowi uchodzącemu za korespondenta, znoszącego się z Feliksem Pyat**), chroniącym się podówczas w Londynie?

Więc Krystyan Lescuyer i jego nowi towarzysze pili ten obmierzły dekolt z szacunkiem należnym piwu wyrobionemu przez męczennika Cesarstwa.

Naraz Mulot uderzył się w czoło:

— Po jedenastój!... A ja naznaczyłem schadzkę

*) Dzień zamachu stanu, dokonanego w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym, przez Prezydenta Francyi, Ludwika Napoleona, późniejszego cesarza.

**) Słynny koryfeusz najgorszego socyalizmu.

Klaryssie na wpół do jedenastój u Leonii, w „*caboulot'cie*” przy ulicy Laharpe.

Rzecz prosta: trzeba było tam udać się całym korowodem, na śliwowicę.

W roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym, piwiarnie kobiece — które stały się później instytucjami, napozór równie trwałe jak Trybunał Handlowy lub Izba Notaryalna, a następnie doszły do upadku, jak wszystkie instytucje — istniały dopiero w stanie zarodkowym. Były tylko skromne zakłady tego rodzaju, w ogóle fundowane przez jakąś z „wybrakowanych”, która zgromadziła sobie jakieś oszczędności i nie utrzymywała więcej nad jedną lub dwie dziewczyny do posługi.

Takim był właśnie „*caboulot*”, zwany *Poignée de main* (uścisk ręki), gdzie panowała piękna niegdyś Leonia, dziś gruba i brunatna jejmość z wąsami.

Studenci pochodzący z Nièvre i z Allier (Leonia była rodem z Clamecy) oddawali się tam nieskończonym partyom w ramszla, i to tak namiętnie, że około kwadransa na pierwszą, kiedy gospodyni zgasła gaz i powtarzała głosem błagalnym: — „Dosyć już, moje dzieci... wpakujecie mnie na karę”, uparci Niwerneńczycy jeszcze tasowali karty przy świetle kilku zapalek.

Tam-to współbiesiadnicy hotelu Bayeux przybyli gromadą, aby być świadkami nasamprzód sceny okropnej, jaką Mulotowi zrobiła Klaryssa, duża blondynka, cikliwa, zagniewana, że próżno czekała trzy kwadranse.

Wszystko się jednak uciszyło; poszła w kolej śliwowica, po niej kufelki piwa, a po niem nastąpił tryumfalny pochód nowój tacy, na której gorzał poncz.

Od tej chwili, Krystyan nienawykły do trunków

od dzieciństwa, jak wspomniony już król Pontu, stracił dokładną świadomość rzeczy. Miał tylko mętne wyobrażenie, iż wesola gromada, wpośród wybuchów śmiechu, została wyrzuconą za drzwi „caboulota”, przez grubą Leonie, powtarzającą zwykłą zwrotkę do kwadransa po północy:

— Dosyć już, moje dzieci!..

Jemu samemu zdawało się, jak za mgłą, że na świeżem powietrzu ulicy uczuł, jak gdyby nogi miał bawełniane, i nie mógł iść, jak tylko z pomocą dwóch towarzyszy, pomimo swych nierozsądnych protestacyi i obelżywego wyzwania, rzuconego miłosiernym przyjaciółom, że ich dogoni w biegu, byleby go jeno puścili.

Miał także niedokładną świadomość w przechodzeniu po pustych ulicach, gdzie dzioby gazowe, za spojrzeniem na nie, zaraz zaczynały tańcować wkoło; oraz o bardzo wolnym powrocie na ulicę Rasyna, odbywanym z towarzyszeniem krzyków zwierzęcych nader donośnie naśladowanych, tudzież o rozmowach nader luźnych, wśród których szło mianowicie o to, aby zedrzeć znak akuszerki i przenieść go nad bramę pensjonatu dziewic.

Nareszcie, w skutek upadku na schodach hotelu i długich wysiłków dla znalezienia we drzwiach dziurki od klucza, ostatni płomyk inteligencyi młodzieńca zagaśł zupełnie; nazajutrz zaś, po nocy, w której zdawało mu się, że płynie na rozkołysanym przez burzliwe fale okręcie, zbudziwszy się, Krystyan z uczuciem bolesnego palenia w nasadzie włosów i z okropnym smakiem miedzianym w ustach, w żaden żywy sposób nie mógł sobie przypomnieć, dla czego się położył nogami na poduszce, nawet nie zdjawszy butów.

III.

W tydzień po tym pięknym wieczorze, którego pamięć nabawiła Krystyana wstydem, nowy student ustalił się w obyczajach. Z natury pracowity, uczęszczał pilnie na wykłady do Szkoły Prawa, i kilka nawet godzin pracował w swoim pokoju, pod okiem cnotliwego pana Lamoignon de Malesherbes. Wieczory pozostawił nowym swym kollegom, którzy niebawem okazali mu się nudnymi, pospolitymi, i słusznie.

Po obiedzie Normandowie prowadzili Krystyana do „swojej” kawiarni, gdzie, paląc fajkę, wiedli rozmowy płaskie i trywialne. Tam, gadano mianowicie o majątku znanym lub przypuszczalnym współziomków; robierano, ileby też sobie można „zrobić”, w charakterze notaryusza, w takiej miejscowości, ile, w charakterze adwokata, przy takim trybunale; niepokojono się o wielkie posagi, do których młodość ta ma wycelować później, dla spłaty kosztów edukacyi.

Znudzony, nieco nawet wstrętem przejęty do tych pospolitych rozmów, Krystyan zapadał w odrętwiałe milczenie, zostawał jednak tam przez lenistwo, siedząc na taburecie szynkowym obok wielkiej Klarys-

sy, która, czekając, aż jój kochanek, Muloł, skończy partyę bilardu, zagłębiała się w dzienniki illu-
strowane.

Były to godziny czeze, ciężkie, nużące, w któ-
rych słuchał gęstego głosu Muloł, panującego nad
gwarem domina i puffa.

— Czerwona do środka!... Stój! zjadłeś milion
dyabłów!... Od bandy precz!... i t. d.

Zamorcy, których Krystyan odrazu poznał, jako
krzykaczów i pretensjonalnych dudków, raz czy
dwa ściągnęli go do swych uciesznych wycieczek.
Obiad spożywali u Foyota, a wieczór kończyli
w Bullier. Kandydat na doktora praw poznał się tam
w ich towarzystwie z dość ładną dziewczyną, którą
odprowadził do domu. Ale mówiła „jezdem” i „ręka-
my”; obudziła wstręt w swym amancie jednonoc-
nym, oświadczając mu naiwnie, że przed pół rokiem
była posługaczką w łazienkach, zkąd ją wydalono
pod podejrzeniem kradzieży; oraz, iż żałuje mocno,
że nie posłuchała jednego wyrzynaacza nagniotków,
który się do niej zalecał, i to bardzo natarczywie.

Wtedy Krystyan pomyślał sobie, że po za tą
dzielnicą Łacińską, której słupy Herkulesowe stoją
na murze Świętego Michała, a posąg marszałka Neya
jest dla niej *Ultima Thule*, musi być jakiś inny Pa-
ryż, odpowiedniejszy ideałowi tych młodzieńców,
którzy czytali Balzaka i nie są całkiem pozbawie-
ni wyobraźni.

Ale jak się dostać do świata wyższego, gdzie ży-
ją jeźdźcy, jakich widywał już na Polach Elizejskich,
kłusujących z kwiatkiem w dziurce od guzika, kłania-
jących się elegantkom, kołysanym w giętkich po-
wozach?

Dla nieśmiałego przybysza z prowincyi były to

sfery niedostępne, przypominające mu starą mapę ziemi, odkrytą przezeń na strychu domu ojcowskiego, na której-to mapie sroga dewiza łacińska „Tu mieszkają lwy” oznaczała okolice nieznanne.

Próbował jednak rozszerzyć nieco zakres swych stosunków i spożytkował listy polecające, które mu ojciec wręczył do przyjaciół.

Przyczyniły one studentowi w świecie magistratury kilka zaproszeń na tegoroczne wieczory, odznaczające się brzydota kobiet i rzadkością potraw. Młody kaęczyk odnowił tam znajomość z fizyognomiami niżej zera i białemi krawatami, które mroziły go przez cały wiek dziecinny.

Co zaś do starego radcy w Izbie Paryskiej, „znanego pana Lherbager”, jak go nazywał pan Lescuyer, ojciec, przedstawił on Krystyanowi przerażający widok trupiej główki z białemi faworytami, i zaprosił go na obiadek familijny, również prawie wesoly jak ów w biwuaku Wielkiej Armii nad brzegami Berezyny.

W starym lokalu na wyspie Świętego Ludwika, w którym, zdawało się jakby umyślnie, tego dnia ustanowiono konkurs przeciągów, Krystyan odnalazł raz jeszcze najgorszą prowincję w urządzeniu stołu, od tłustej zupy aż do deseru z wiśni moczonych w wódce. Zmordowała go bezwarunkowa niemota surowej pani Lhebarger, której jedwabna suknia, barwy pchlej, skielet tylko okrywać mogła; uczuł tajemną antypatyę do skrytych postaci dwóch synów domu, którzy zaledwie podnosili oczy od talerza, a jeśli mówili co, to tylko o konferencyach adwentowych.

Zniechęcony niepomyślną próbą w zajrzeniu do lepszego świata, znudzony kolegami normandzkimi,

którzy go zrażali pustotą, wyosobnił się student, zanurzył w pracy, i przez kilka miesięcy mógł tylko zadowolenie wzbudzać w panu Lamoignon de Malesherbes, którego konterfekt musiał być uradowany zamieszkiwaniem pośród dzielnicy Łacińskiej, w tym samym pokoju, gdzie przebywa tak cnotliwy młodzieniec.

Ale Krystyan nudził się śmiertelnie; z pustém sercem, ze zmysłami nienasyconemi, nosił się pod kasztanami ogrodu Luksemburskiego z tą samą melancholią, z temi samemi pożądaniami, jak niegdyś w Caen, pośród wiązków przydrożnych.

Wiosna — owa wiosna paryska, kiedy to wieczorami, po pustych przedmieściach, bzy ogródkowe roztaczają wczesne zapachy, jeszcze bardziej podburzyła fizyczny i moralny nastrój młodego samotnika. Z goryczą pytał siebie: co on robi z tą tak upragnioną swobodą? Straciwszy zamiłowanie do nauki, wyczerpywał się długimi przebadzkami, ciągnął za sobą nudę codziennie, całemi godzinami, po zapyłonych drogach podmiejskich.

Raz popołudniu, około godziny czwartej, wracając z wycieczki w stronę Mont-Rouge, na placu Obserwatoryum złączył się machinalnie z gromadą, otaczającą jakiegoś jarmarcznego herkulesa.

W trykotowym kaftanie brudno-białym, w spodniach ze skóry tygrysięj, z trochę futra na nogach, z czarną, skórzaną bransoletą na prawém podramieniu, człowiek ten — dość ładny okaz zwierzęcy — podejmował właśnie ciężar stufuntowy i niósł go na wyciągniętej ręce naokoło starego kobierca, przy dźwięku suchotnicznej katarynki, kaszlącej szczytkami jakiejś polki, wycofanej z mody.



Naraz za Krystyanem ozwał się donośnie głos czysty, radosny:

— Pyszne mięśnie przedramienne!... Aha!... Schwyciłem ten ruch... Mam go!...

Obejrawszy się, student spostrzegł ładnego chłopca w zgniecionym kapeluszu, w marynarce poplamionój gliną, którego piękna broda i obfita czupryna ruda zdawały się iskrzyć pod słońcem.

— Ależ, przebacz mi, Boże! — zawołał nagle wysoki chłopiec — toż to mały Krystyan!... Jakto? Ty mnie nie poznajesz?... Donadieu?... Franciszek Donadieu, twój kolega z Caen?...

Istotnie, poznał go Krystyan, i serce mu drgało z radości. Błyskawicą myśli wywoływał swe najmilsze wspomnienia, jedyną przyjaźń lat dziecinnych.

— Franciszku! mój drogi Franciszku! — zawołał, obie ręce podając przyjacielowi.

Ale ten żywo schwycił go za ramię.

— Baczność! — rzekł. — Siłacz ten będzie teraz podnosił ciężar dwustu funtów.... Za chwilę, mój mały Krystyanku, służę ci... Ale popatrz-no na ten rozdwojony mięsień, na to ramię... Co za giest!... To heroiczne!... Słowo w słowo to, czego mi potrzeba do mojego „Człowieka z trofejem...” Brawo, herculesie!

I rozentuzyazmowany artysta sięgnął do kieszeni i rzucił garść centymów hecarzowi, który, okazawszy swą moc, wywracał teraz koziołki, pozując dla galerii; gęste krople potu spływały mu z czoła, kark się czerwienił, piersi dygotały pod źle wypranym trykotem.

— Dziękuję łaskawym panom i paniom! — rzekł, wywinąwszy koziołka, i odszedł.

Przedstawienie było skończone.

Donadiu gorąco wziął pod ramię Krystyana i wprowadził go.

— Góra z górą się nie zejdzie... — mówił — Ten poczciwy mały Krystyan, pieszczołek profesorów, który chciał ze mnie uczynić dobrego ucznia, uprawia pierwiastków greckich... Wszak widzisz teraz, że to udać się nie mogło... Ja poszedłem za radą Gavarniego: — „Jesteś do niczego?... To zostań artystą!...” — Tak, mój kochany... Jestem rzeźbiarzem, uczniem profesora Carpeaux... A mistrz, oh! wierzaj mi, tęgi człowiek, przyszedł raz zobaczyć moją figurę, i zawołał: — „Ależ to bardzo dobre, ty mały brudasie!...” — Oh! takie to powiedzenie cię właśnie zachęca... Ale ja głupi jestem, mówię ci tylko o sobie. A ty, co się z tobą dzieje?... Mieszkasz w Paryżu?

— Tak, przynajmniej do dwóch lat... Kieruję się na doktora praw.

— Sławnie! To może zaraz pójdziemy parą jak dawniej, co? Masz dziś wieczór wolny?

— Zupełnie!

— Spędzimy go razem?

— Chętnie.

— Nasamprzód, pójdź zobaczyć mojego „Człowieka z trofejem”, moją *bombę* dla salonu. To o kwadrans ztąd drogi, w Plaisance, przy ulicy Terrier... No, już ciż pracownia nie jest bardzo świetną, a mimo to, aby komorne zapłacić w terminie oraz należność modelom, człowiek nieraz musi się najmować na dniówki, jak robotnik, u handlarzy bronzów w Marais, albo układać zegary i kandelabry na użytek i do gustu nabywców... Ale mniejsza o to! mam kąt, w którym pracuję... Kto wie! Może później mi każą robić biust najwyższego zwierzchnika Państwa, i wydawać będą

obiady z truflami w serwecie i z serem w skórce ołowianej, który, przy Clos-Vougeot pierwszej marki będzie walił smrodem w nos, jak obuchem?... Mówiłem to sobie dziś rano przy śniadaniu przed moimi czterema włoskimi gomólkami.... Ten poczciwy Krystyan!... Jakżeż się cieszę, że cię zobaczyłem!

Wobec tej artystycznej wesołości, tego humoru wśród zupełnej biedy, już sobie Krystyan pocichu wyrzucał swe głuche smutki bezprzyczynowe. Bardzo czule wypytywał rzeźbiarza, kazał mu opowiadać sobie całe życie, odkąd się nie widzieli.

Ciężkie ono było, zwłaszcza po śmierci ciotki, starej „czytelnicy”, jak ją nazywał Franciszek w swym języku, pełnym śmiałych nowosłów...

W siedemnastym roku życia, jako ubogi uczeń szkoły Sztuk-Pięknych, znalazł się na bruku paryskim, bez żadnych innych środków, prócz spadku po dobrej ciotce, złożonego z haniebnych tomów romanów, zatłuszczonych rękami kucharek, które „zbywał” na rynkach w miarę potrzeb najgwałtowniejszych.

— A co? — mówił rzeźbiarz, wybuchając śmiechem. — Wszak to dobra farsa! Żyłem uszkodzonymi książkami przeszło pół roku?

— Czy być może?

— Wyobraź sobie, że się wystroiłem w Temple, od stóp do głów, nic więcej tylko produkcją jakiegoś Pawła de Kock. Były pewne części mojej odzieży, które, dla żartu, ponazywałem imionami autorów, dostarczających mi środków nabytku. I tak: miałem miękki kapelusz, który nazwałem: „Margrabia de Foudras”, a parę ciżem, którym przezwiał „Tajemnicami Paryskimi..”

— Bodajże cię!

— Ale mój najpoważniejszy kapitał, mój fundusz rezerwowy, stanowiły dzieła kompletne Aleksandra Dumasa. Nie wyobrazisz sobie, ile „Monte Christo” i serya „Muskietierów” przedstawiają bułek, serdelków i gomólek.

Tak rozmawiając, młodzi przyjaciele doszli do ulicy Terrier, zaułka, podówczas niemal polnego, na którym istniały za parkanami, zieleniejące ogrody wazrywników; a Krystyan, rozweselony osobliwym widokiem tego zamiejskiego zakątka, nad jedną z bram wjazdowych przeczytał napis: — Leflô, żywiciel. Mleko gorące, rano i wieczór” — kiedy Franciszek zakomenderował:

— Naprawo, i już jesteśmy.

Weszli na dosyć obszerne podwórze, na którym spłoszyli przechadzający się drób, a które czuć było gnojem i eborą.

Artysta otworzył drzwi stajenne, mówiąc:

— Moja pracownia.

Była ona wybrukowaną. Panowała tam jeszcze nieustająca woń paszy, nawet drabinek od siana nie podejmowano od ściany. Kilka gipsów na desce, trzy stołki słomiane, żelazny piec z długą rurą zagiętą, stół dla modelu, a na tapczanie rzeźbiarskim wielka figura, zaslonięta mokrem prześcieradłem: oto wszystko. Zimne światło północne, wpadając tam szerokim otworem okiennym, smutku tylko dodawało tój nędznej dziurze.

— I ty tu mieszkasz! — zawołał mimowolnie tonem politowania student zamożny, który zawsze miał u siebie dywan na podłodze.

— Sypiam nawet — wesolo dodał artysta, odslaniając wyrko, zakryte podartym parawanem.— Tożem cię uprzedził, młody paniczu, że apartament mój

obywa się bez mahoni. Ale mnie nie żałuj, mój dobry Krystyaniel! Otrzymałem właśnie sto franków za wymodelowanie pary świeczników dla Beckmanna, bronzownika z ulicy Mènilmontant. Tak, że zapraszam cię nawet dziś wieczorem na obiad, panie kapitalisto, z jedną znajomą, która tu zaraz przyjdzie. Jest to prosta szwacha, ale podobna do „Kochanki Tycyaua”, wiesz: a ponieważ ubodzy jesteśmy oboje, możemy mniemać zupełnie, iż kochamy się wzajem dla siebie samych. Ej, mój stary, zajmować się pracą umiłowaną; kochać dobrą dziewczynę z myślą, że nazawsze; a przytem być młodym: oto wszystko, czego pożądać może biedny śmiertelnik... A jeśli pożyję, wybiję się; potem, gdy zostanę starym gratem z Instytutu, z astmą i we fraku papuzim, będę stękał jak inni: „Ah! dobre to były czasy!...” Ale siadaj-no... Muszę roznegliżować moją blazenkę, ażebyś mi wypowiedział zdanie.

Zwawo odarta z płachty zwinnymi rękami artysty, ukazała się statua gliniana. Był to barbar, gall albo słowianin, z torsem obnażonym, włosom rozwianym, niosący na ramieniu, z giestem frenetycznej radości, ciężki trofej orłów i pęków różg, zdobycy na pobitych Rzymianach.

Krystyjan drgnął przed tém dziełem potężnym, w którym odbijał się zapal zwycięztwa, i które w ciągu jednej godziny, przy otwarciu Salonu wystawy w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym miało sławnem uczynić imię Franciszka Donadieu.

Jedyny ten przedmiot zbytku i sztuki, tryumfujący pośród ubogiej pracowni, oświecał ją, w promienieniu swém topił wszystkie szczegóły nędzy i nadawał tej izbie nieco z surowej piękności świątyni.

— Przedziwne! — zawołał Krystyan z prawdziwym wzruszeniem.

Ale rzeźbiarz, stojący o kilka kroków od swego posągu, wpatrywał się weń bystro, w milczeniu, z frasobliwą zmarszczką na czole, zwijając sobie cygaretkę.

— Już ciż tak — odezwał się — nie jest on najgorszy, ten mój bęben; ale jeszcze nie to... Model mój nie jest dość młodym... Muszę poprosić tego hecarza na jeden seans... To ramię jest za miękkie... Trzeba, widzisz, ażeby wszystkie mięśnie obwoływały zwycięstwo.

W téj chwili, z uśmiechem na ustach, bez zastukania, wpadła do pracowni piękna dziewczyna dwudziestoletnia, nieco przytęga jak na swój wiek, ale jasna jak słońce, a mimo lichéj odzieży, świeża jak pęk lewkonii, które trzymała w ręku.

— To moja towarzyszka! — rzekł Franciszek i pocałował ją w oba policzki. — Heloizo, przedstawię ci mojego przyjaciela Krystyana. Poznaliśmy się pędrakami, kiedyśmy wyrastali ze spodni.... Wiesz, kochanie, otrzymałem te sto franków od Beckmanna, i zabieram was oboje na obiad do „Dziewiczego młyna”.

— A, i owszem, mój Franku! — zawołała dziewczyna, śmiejąc się rozkosznie, śmiechem radości i dobroci. Będziemy przy deserze odgadywali rebusy na talerzach, a ty każesz zrobić omlet z konfiturami... Ale tymczasem, masz! — dodała, wręczając kochankowi pakiecik. — Widzisz, żem myślała o tobie.

— O, śliczny krawat!... Dziękuję ci, moje dziecko.

A kiedy, dla założenia go, zdejmował kaftan:

— Znowu, widzę, masz u kaftana rękaw rozdarty — rzekła Heloiza. — Daj. Zszyję ci go.

Znowu zdjęła rękawiczki i kapelus, usiadła, nawlekła igłę; a podczas gdy naprawiała rękaw, Franciszek zaś płachtą okrywał napowrót statnę, Krystyan z zazdrością przypatrywał się téj scenie zażyłości i prostoty.

Poszli potem we troje do „Dziewiczego Młyna”, zakładu z altanami i huśtawkami, nieopodal od portów.

Po kawie dwaj przyjaciele, z łokciami opartemi na stole, długo rozmawiali o swych przygodach szkolnych, i późno było, kiedy Krystyan rozstał się z miłą parą przed drzwiami domu, w którym mieszkała gryzетка.

Potem wrócił do domu i położył się, sam, nagle posmutniały, uradowany z zobaczenia się z Franciszkiem, ale pragnący także napotkać jaką dobrą dziewczynę, któraby go kochała, jak Heloiza swojego „Franka”.

Nazajutrz Krystyan odwzajemnił się rzeźbiarzowi i uczył go u Magny’ego, w towarzystwie młodej dziewczyny, biednej córki przedmieść paryskich, którą wzruszenie pełne szacunku, przejęło wobec aksamitów i złoceń restauracyi, i która po raz pierwszy w życiu dowiedziała się, jak smakuje zupa zółwiowa.

Odtąd Krystyan codziennie odwiedzał pracownię przy ulicy Terrier, gdzie pociągał go urok cyganeryi, owoc zakazany. Niósł niepokoje swe, swoją ciekawość skromnego młodzieńca w ten nędzny zakątek, gdzie jaśniała sztuka i miłość.

Pewnego dnia, po odejściu jarmarcznego herkulesa, który teraz pozował Franciszkowi, Krystyan,

sam zostawszy z artystą, rozmarzonym przed ukończoną już statua, odezwał się naraz, z nagłością ludzi nieśmiałych:

— Jakiś ty szczęśliwy, mój drogi, że masz tak miłą kochankę! A powiedz mi, jeśli wolno zapytać: czy ty pierwszym byłeś jój kochankiem?

Franciszek zachnął się, a rzucając ostatnią grudkę gliny, którą miał w palcach:

— Za kogóż ty mnie bierzesz? — odparł żywo.
— Za uwodziciela dziewcząt? A toż dopiero! Ja tam nie mam prawa moralów prawić nikomu; ale, widzisz, dla mnie dziewica, to rzecz święta! to grunt nietykalny, mój drogi!... Co do Heloizy, opowiedziała mi ona swą nędzną przeszłość. Nieładne to, wierzaj mi, co się dzieje w domach robotniczych... Ja staram się, aby zapomniała okropności swego wieku dziecięcego, biedna istota, teraz, kiedy ma towarzystwo dobrego chłopca, który ją kocha i któremu ona odplaca się wzajemnością... Oto i wszystko.

— Więc to związek bardzo na seryo — szepnął Krystyan z uczuciem roztropności mieszczańskiej.

— Kto tam wie? — odrzekł Franciszek. — Jesteśmy oboje za ubodzy, aby myśleć o przyszłości. Kiedyś, jak zgarnę tyle naraz grosza, by starczyło na zakupienie gratów i najęcie porządniejszego mieszkanka, żyć będziemy jak mąż i żona; i mogłoby to nawet zakończyć się pochodem do kancelaryi mera: czemu nie?...

To wyzucie się z form, to swobodne i szerokie pojmowanie życia, sprawiło wrażenie na Krystyanie; jednakże cały tryb wychowania, a zarazem pewna delikatność natury, przeczyły mu w głębi duszy.

Silą wyobraźni wprawił się w podobne położenie, ze stałą kochanką u boku .. I natychmiast ukazał mu

się obraz ojca, straszliwego pana Lescuyera. Stary urzędnik biegł z najeżonemi brwiami, drżący ze złości; wypędzał nałożnicę, nakazywał zerwanie.

Wstrząśniony dreszczem, czując, że w takim położeniu ustąpiłby bez wątpienia, usłuchał bez oporu, Krystyan, na „czemu nie?” przyjaciela odpowiedział:

— Tak... Ale ty jesteś wolny... ty nie masz rodziny.

I tego dnia Krystyan Lescuyer, mimo pozerających go nagabań, wrócił do domu ze statecznością prowincjonalną, przerażony myślą wzięcia sobie kochanki.

Miał ją w tydzień potem.

IV.

Spotkanie nastąpiło w sposób nader powszedni. Tego wieczora Krystyan Lescuyer towarzyszył Normandom do ich „kawiarni”, i Muloł właśnie dokonywał na bilardzie mistrzowskich karambulów, kiedy kochanka bilardzisty, wielka Klaryssa, przybyła z towarzyszką.

Byłaż to dziewczyna ładna?... Nie dla wszystkich, zwłaszcza nie dla tych drągalów, chłopców nieskrobanych, którzy na policzkach swych towarzyszek lubią odnajdywać kolory barw wrześniowych.

Ale Krystyanowi podobała się zaraz ta brunetka o delikatnym profilu, cerze bladej, ubrana w skromne wstążki na głowie, w skromną sukienkę czarną, co nadawało jój postaci coś jaskółczego.

Podczas gdy Muloł, będący przy werwie, czynił mnóstwo karambulów i efektownych odbitek, Krystyan panny poczęstował lodami i wdał się z niemi w uprzejmą rozmowę.

Chłodząc się lodami, Klaryssa, zgoła nie zważając na młodzieńca, w dalszym ciągu opisywała towarzyszcze jakiś stanik, którym właśnie była zajęta. Ale brunetka miała więcej światowego zażycia, i aby

rozmowę uogólnić, bez przejścia zapytała Krystyana, z kąd pochodzi. Zapytanie nic nie zawierało osobliwego, ale było powiedziane głosem miłym, nacechowanym grzecznością, która podobała się studentowi.

Rozmawiano więc. Z kolei Krystyan zapytał pannę i dowiedział się, że jest paryżanką, sierotą i kwiaciarką, że się nazywa Paulina Forgeat i że skończyła dwadzieścia trzy lata tój wiosny.

Wszystko to opowiadała z lubym uśmiechem, wcale nie zalotnym, ale i nie zniechęcającym. Darownie Klaryssa, cała oddana garderobnemu zajęciu, próbowała powrócić do swój materyi, wyciągając znowu jakąś zarzutkę, „która, wiesz, moja droga, na ostatniej fotografii cesarzowej tak się podobała” — towarzyszka słuchała jój jedném tylko uchem.

Owóz wielka Klaryssa była pełną rozumu i doświadczenia: a ztąd przyszło jój na myśl, że dwa tylko przedmioty zająć mogą kobietę: strój i miłość. Skoro Paulinka z taką obojętnością ma się ku strojom, to zapewne wzięło ją coś nagle ku studentowi.

Pocziwa dziewczyna nie widziała w tём nic złego. Przeciwnie, uległa natychmiast swój płci popędowi, który nawet damy najszanowniejsze pobudza do jednoczenia zakochanych.

— Słuchajcie-no państwo — odezwiała się w tym nastroju swatki już po jedenastój... Ja znam Mulo-ta; on nie odstąpi od bilardu, aż gospodarz zgasi gaz... To też ty, panie Krystyanie, byłbyś bardzo grzecznym, gdybyś odprowadził Polcię, która mieszka na przedpieklu, aż w końcu ulicy Ulm.

— Ah! i owszem; z największą chęcią... jeżeli panna Paulina pozwoli.

— Ależ wdzięczną panu będę... moja dzielnica jest tak pustą.

Wstał ochoczo; ona nakładała rękawiczki, z oczyma skromnie spuszczone. Ale wielka Klaryssa uśmiechała się tylko drwiąco na ich ceregiele, a kiedy wyszli z kawiarni:

— Oj, dzieciaki! — szepnęła z lekkim poruszeniem ramionami, pobłażliwém, i że tak powiem, małżeńskiem.

Po prawdzie, ta ulica Ulm nie leżała tak daleko. Ale młodzi szli wolno, radzi, że idą z sobą pod rękę wzdłuż pozamykanych sklepów, w ciepłą noc czerwcową, i poczęli gawędzić. Lecz spodziewam się, że nie żądacie ode mnie, abym popełnił niedyskrecyę, powtarzając ich gawędkę; nie zajęłaby was wreszcie. To, co mówią między sobą zakochani, miłém jest dla nich samych, a wogóle dość mierném.

Jeżeli Krystyana przejęło mile pierwsze zapytanie Polci: — „Tedy pan uczysz się na sędziogo?” — to dlatego tylko, że zadając je, wzniosła nań swe piękne oczy, błyszczące współczuciem przy świetle miesiąca. A jeśli serce Polci przyjemnie uderzyło, gdy student jój odpowiedział: — „Tak, panienko, mam składać pierwszy egzamin na doktora” — to dlatego, iż jego głos zadrgał wtedy wzruszeniem, zgolała nieusprawiedliwioném przez ten nic nie znaczący szczegół biograficzny.

Co mówili do siebie? Uszy od tego muszą puchnąć gwiazdom na nieboskłonie, od czasu, jak patrzą latem na przechodzące pary; ale można przypuścić, że dla tój pary rozmowa musiała być roznamiętniającą, gdyż młodzi zmylili drogę, a przybywszy na plac Panteonu, zaczęli się obracać wolnymi krokami około olbrzymiego budynku.

Co do siebie mówili? Coś zapewne bardzo pou-

fałego a czulego, gdyż przed merostwem cyrkułu piątego ramię Krystyana objęło kibić Pauliny.

W kilka chwil potem stare budynki liceum Henryka IV widziały główkę młodej kwiaciarki pochylającą się na ramię studenta. Naprzeciw innej budowli usta ich złączyły się po raz pierwszy; i już wymienili pocałunków tyle, ile jest znakomitych nazwisk na fasadzie biblioteki Genowefy, kiedy szczęśliwy Krystyan, wobec surowych kolumn Szkoły Prawa, przewyciężył ostatnie skrupuły gryzетки i wciągnął ją — oh! na ten raz bardzo prędko — do swego mieszkania przy ulicy Rasyna, gdzie teraz, i dni następnych, czuły pan Lamoignon de Malesherbes, w cynamonowym fraku, i jego cnotliwy towarzysz we fraku zielono-jabłecznym doznali wielkiego zgorzienia.

Miał więc już Krystyan kochankę. Czy ją kochał?

Tak, całą siłą, całym zapalem swych żądz długo powściąganych; a u młodzieńca, który nie jest brutalem, nie ma uciechy bez domieszki czułości. Serce wtedy majaczeje i zdaje mu się, że uwięzło.

Nawet po chwilach gorętszych Krystyan zachwycał się nią, dumny był, gdy mu się wieszala u ramienia ta panienska, żywa jak ptaszę, nieukształcona, ale i niegłupia, zawsze przyzwoicie ubrana, a mimo nieprzystojnego życia zachowująca wdzięczną wstydlivość.

Czy kochał ją? Mówił jój to w bardzo dobrej wierze, i umiał szeptać do ucha dziewczyny słówka słodkie i szczerze — w tym okresie — które mu pierś wzdymały rozkoszném wzruszeniem.

A ona? Byłaż istotnie zakochaną w Krystyanie? Więcej zapewne niż w innych kochankach — w jakich sześciu dotąd, niestety, z którymi rozpro-

szyla młodość. On był taki pieścizotliwy, delikatny. Nawet za szafę zwierciadlaną, najwyższą swą ambicyę, nie byłaby go zdradziła.

Nie ludziła się jednak, dzięki doświadczeniu dziewczyny z ludu, oddającą się paniczowi. Wiedziała dobrze, iż takie szczęścia trwają tylko czas jakiś, rzadko dłuższy. Przewidywała rozłąkę w krótkim terminie, nawet niewiele tём zgóry się smucąc, z bezfrasobliwym rozsądkiem dusz żywiółowych.

Niewątpliwie, kochała Krystyana tyle, ile kochać mogła. Kiedy towarzyszki w pracowni widziały ją cicho się uśmiechającą i zapytywały: — „O czém ty myślisz?” — odpowiadała: — „O niczém!”

Ale wtedy myślała o nim.

Lecz cóż warte jest uczucie pozbawione pewności, nawet nadziei trwania?

Widywali się przecie co wieczór, a w niedzielę regularnie wybiegali w okolice miasta, z początku sami, potem z Franciszką Donadieu i jego kochanką, której Krystyan przedstawił swoją. Obie podobały się sobie. Płowa Heloiza, duża i silna, której poważniejszy z rzeźbiarzem związek nadawał więcej pewności, okazała się dobrą i macierzyńską; pod opiekę swą wzięła wątłą Paulinę, zrazu onieśmieloną.

Wtedy następowały wspólne wycieczki wodne w najętych łodziach, pod wierzby w Bas-Meudon i pod altany z jadłem na fryturach, gdzie mrówki uwijały się po obrusie; to znowu długie przechadzki wzdłuż dojrzałego zboża, gdzie dziewczyny zbierały duże wieńce polne, a mężczyźni, z surdudem na ramieniu, w butach białych od kurzu, postępowali przodem, po drodze spieklęj od słońca; następnie powrót nocny przez gaje, przy śpiewie chóralnym; a dopiero na stacyi szturm do wagonów.

Młodzieniec prowincjonalny, syn surowego urzędnika prowincjonalnego, wyemancypował się zupełnie.

Szaleństw wszelako się nie dopuszczał. Miał w Paulinie kochankę bezinteresowną.

Była ona jedną z tych czarodziejek paryskich (a jest ich tysiące), które paluszkami swemi zarabiają tyle, ile im potrzeba: nieco odzieży i dużo wędlin.

Ponieważ kwiaciarka przebywała cały dzień w pracowni, więc Krystyan miał czas do pracy i pracował dużo: nie kosztowała go wiele, nie przeszkadzała mu wcale ta biedna kwiaciarka.

Czemuż tylko, myśląc o tém, że ma kochankę, że ojciec mógłby się dowiedzieć, Krystyan, wychowany w atmosferze bojaźni, drżał, czuł, że staje się zuowu małym chłopczykiem, na myśl, że którego rana ujrzyć może w swoim pokoju, zarzuconym spodniczkami Pauliny, straszego radcę w podbiegunowym krawacie, z brwiami najeżonemi wyrokami śmierci.

Naiwnie wyznawał lęk swój Franciszkowi, który śmiał się z niego na całe gardło.

— Uważaj! bo papa idzie! — zawołał raz rzeźbiarz, kiedy siedzieli obaj ze swemi przyjaciółkami na tarasie w kawiarni przy bulwarze Świętego Michała.

I dalejże w śmiech rozpustny wszyscy na nagły podskok Krystyana i jego wylęknione oczy.

Nareszcie nadszedł czas wakacyi. Odwoływały one na trzy miesiące studenta do rodzinnego miasta. Musiał powrócić na Wszystkich Świętych i jeszcze jedną zimę zabawić w Paryżu.

— Do widzenia! — powiedział Paulinie, która go odprowadziła aż na dworzec.

Ale, zasiadłszy sam w wagonie, puścił się na rozmyślanie sprzeczności pełne. Mógłże w ciągu trzech miesięcy liczyć na wierność swęj kochanki? Eh! nie był takim naiwnym. A wszelakoż ona go kocha. Szczera, zgoła nie zalotna, czyż mu kiedykolwiek dała powód do podejrzeń? Ale trzy miesiące nieobecności, jakże to długo!

Niepokoił się myślą, iż ona zdradzić go może; smucił się, ponieważ była mu drogą: cierpiał w czułości swęj i zarazem w dumie, cierpiał w głębi swęj, godził się jednak z tém, prawie życzył sobie takiego rozwiązania — żeby go zdradziła, zapomniała o nim, żeby jęj więćej nie zobaczył; bo już go chwyciły narowy poprawnego i tchórzliwego filistra, skrupuły syna terroryzowanego i karnego.

W Caen Krystyan zastał rzeczy i ludzi zastalych w nieruchomości prowincjonalnej. Dom przy ulicy Karmelickiej bardziej jeszcze zbutwiał i zreumatyzniał niż przedtem. Maskarony na fasadach jaknajgorzej wykrzywiły się na jego przyjęcie; zwłaszcza głowa człowieka brodatego, wyrzeźbiona na drzwiach od perronu, wywiesiła nań kamienny język z obrzydzeniem i z nieżyczliwością nadzwyczajną.

Siedząc pośród swych zbiorów nieprawości prawniczych, stary radca, zimujący w swym białym krawacie jak okręt ściśniony przez lody bieguna północnego, raczył jednakże powstać za przybyciem syna i złożył mu na czole pocałunek, przy którym po synu przeszła gęsia skórka.

Zaraz wieczorem, na cześć studenta, pan Lescuyer wydał obiad żałobny dla niektórych ze swych kolegów. Ci, z posępnemi uśmiechami na spróchniałych zębach, winszowali Krystyanowi, a zdawali się tu zebranymi raczěj dla uczestniczenia w wymierze-

niu kary z wyroku sądu, niż dla spożycia indyka z truflami.

Pod wiatrem dżdżystego września Krystyan powrócił do swych dawnych zwyczajów: rozmierzał codzien aleję Caffarelli'ego; codzien chodził z ojcem na mszę do kościoła Świętego Jana, gdzie odnajdywał długie nosy „panien ziemianek” i katar pana Gigelot dela Nouzière. U pani Taburet, której panowie Lescuyer i syn oddawali peryodyczne swoje wizyty, utrechcki aksamit na sprzętach lirowatych spłowił nieco więcej niż przeszłego roku, a panna Kamilla nie wypiękniała.

Przy pierwszej wizycie Krystyan nie zważał na rumieniec, jakim okryły się jęć lica, a tém samém ani natrącił ojcu o zamierzonym małżeństwie. Na przyjęciach skąpęć matki wysłuchiwał tych samych głupstw, co przedtem, nagany dla strojów hałaśliwych i ubolewania nad prawdopodobieństwem złego zbioru jabłek.

W ciągu tych trzech miesięcy wstrzeźliwości i budy Krystyan żył pamięcią swego pobytu w dzielnicy Łacińskiej, który, monotony zrazu, swobodnym był jednak. Przypomniat sobie dobre chwile, spędzone w pracowni Franciszka, gdy palił cygaretki, przysłuchując się zabawnym i malowniczym improwizacyom, jakim oddawał się artysta, rzucając żywe spojrzenia na nagi model i gniotąc galki gliny. Żalował szczególnięć Pauliny.

Do tego stopnia, że napisał do nięć, i z wielkiém biciem serca — tak, niezapreczenie!... wziął do ręki odpowiedź kwiaciarki.

Pismo i ortografia przypominały rachunek praczeki. Ale jakżeż wdzięcznie i naiwnie Paulina wyrażała swą radość ztąd, że jęć nie zapomniat! Cóż

ztał, że mu na końcu przesłała tysiąc *pocałunków*: one rozplomieniały krew i zaniepokoiły sen kochanka na wygnaniu, który zaczął już odtąd liczyć dni do wyjazdu.

Jaki też uścisk powitalny, kiedy po przybyciu do Paryża, Krystyan i Paulina, zszedłszy się na dworcu, zamknęli się potem pod numerem dwudziestym trzecim, w hotelu Bayeux i La Plata! Ah! pan Lamignon de Malesherbes i jego dostojny przyjaciel mieliby dużo do powiedzenia, zaraz, odkąd gryzетка swym kwiecistym kapeluszem okryła głowę bronzowanego Kupidyna na stojącym zegarze.

— Czy pewno?... Nie dopuściłaś się względem mnie niewierności? — pytał Krystyan. — Prowadziłaś się porządnie?.. Przysięgasz mi?

Przysięgała, i nader wyjątkowo, było to prawdą. A on, łatwowierny, rozrzewniał się, prawie płakał.

Nazajutrz rano poszli prosić na śniadanie Franciszka Donadieu, którego zastali w stajennej pracowni, bez ognia, mimo zimna listopadowego. Lepił on szkic i był bardzo zasepiony.

Jego „Człowiek z trofejem” na ostatniej wystawie zyskał odznaczenie, ale zgola platoniczne. Artysta był w fazie czarnej nędzy. Jednakże zarząd Sztuk Pięknych, dla zachęty, zamówił u niego ku ozdobie jednej z sal Izby Obrachunkowej, allegoryczną płaskorzeźbę na wcale nieponętny temat „Spór”.

— I ja przyjąłem! — gniewnie rzekł do Krystyana rzeźbiarz, ocierając ręce obmyte w wiadrze wody.—A cóż? winien byłem za dwa kwartały... A moja biedna Heloiza, która porzuciła swoją pracownię, aby mi pozować do „Danai” na przyszłą wystawę, wieczorami, biedna dziewczyna, wypala sobie oczy nad robotami do „Taniego Rynku”, i po

Wszystkich Świętych jeszcze chodzi w samym perkalu... Przyjąłem... Ale co ja mam robić z ich „Sporem!” Będzie to zapewne jakiś jegomość nagi, wielce zacierzwiony?... I wyrazić to trzeba w jego mięśniach i rzepkach kolanowych, czy co?... Ah! psie rzemiosło!

W tej chwili nadeszła Heloiza, w swęj staręj sukni letnięj, ale tak dzielna w postawie, z taką dobrocią w oczach, że zły humor artysty rozproszył się natiychmiast.

— Dzień dobry, panno Wesołowska! — zawołał do pięknej blondynki, gdy tylko stanęła na progu. — Dzień dobry! Niema potrzeby dziś chodzić po dwie kwaterki mleka, ani po siekane kotlety... Ten pan nas dzisiaj podejmuje, i to w szykownęj restauracyi, trzeba ci wiedzieć, z krówką wyciętą na osecłeczkach masła, z butelkami starego i akuratnego wina, którego pleśń nie jest wyrabiana ze strzępków gąbki, i z którego nie wyskakuje mucha za otworzeniem korka.

Artysta odzyskał swą werwę. Śniadanie spożyli wesolo, w gabinecie; a na każdy nowy koncept swego poczciwego „Franka” wesola Heloiza śmiała się do rozpuku.

Lecz przy deserze Krystyan, którego sentymentalna Paulinka rękę trzymała w swoich, i który w tej chwili czuł się bardzo zakochanym w swęj kwiaciarence, powiedział sobie w duchu, że tamci dwoje zanadto są weseli i głośni, jak na zakochanych, i swoje uczucie uważał za delikatniejsze, wytworniejsze.

Denerwował go widok tej tęgięj Heloizy, parszczącej brzmiącym śmiechem i klepiącej się po udach przy ostatnim wybryku Franciszka, który wpakował

sobie w rozrosłą brodę wszystkie wykałaczkę i naśladował skrzywienie bożka dzikich ludów. Czyż przed chwilą nie wycalowali się głośno w oba policzki, jak parobek z mamką? Fil i Krystyan przyjaźnie, czule ścisnął pod stołem rękę swęj dyskretnej przyjaciółki.

Wszelakoż to, co brał za miłość młodzieniec ten stateczny, nieco suchy, było tylko pewnym rodzajem rozkosznej wdzięczności, uradowaniem zdrowotnego ciała. A kto kochał się prawdziwie, to dwie te istoty dzielne, które, bez przysięg, bez frazesów, oddały się sobie, i wzajemnie sobie dopomagały dźwigać ciężar nędzy z prostą i radosną odwagą. Nieco pospolici, Franciszek i Heloiza, to prawda; ale było tam serce. Gdy tymczasem ty, panie studencie, zapięty pod szyję, co zrobisz z Pauliną po złożeniu egzaminu?

V.

Zima przeszła bez żadnego szczególnego wypadku. Krystyan pracował ostro; dwa lub trzy razy w tygodniu wizyta kwiaciarki zachmurzała dwóch cnotliwych panów ze stariej ryciny, którzy bez wyrzutu mogli oglądać zachód słońca; i zawsze pod numerem dwudziestym trzecim w hotelu Bayeux widzieć było można szpilki podwójne, rozrzucone na marmurowym kominku.

Wiosna i pierwsze miesiące lata znowu wyciągały zakochanych w okolice podmiejskie, na obiady w restauracyach z huśtawkami. Ale zbliżał się koniec romansu.

Krystyan włożył na głowę beret doktorski wobec mandarynów w czerwonych togach. Trzeba było wracać do Caen, zerwać z Pauliną.

Stary pan Lescuyer, zachwyceny powodzeniem syna, doznał napadu wspaniałomyślności i posłał mu dwa bilety po tysiąc franków, przewidując bądź co bądź jakieś dłużki kawalerskie, które należało zlikwidować przed opuszczeniem Paryża. Ale ojciec ten, zawsze rozkazodajny, niecierpliwił się już w listach, domagał się natychmiastowego powrotu.

Zerwanie utlaçało serce Krystyana; ale było nieuuniknioném, a zkadinał zgóry przez kwiciarkę przewidzianém.

— Cóż robić? — powiedziała do kochanka, kiedy zagadnął ją w tym przedmioeie. Co robić?... Będzie mi to bardzo przykro.... Ale skoro niepodobna inaczej... prawda?..

On mógł tylko odpowiedzieć:

— Niestety, prawda!

Ej! dziewczyna się pocieszy, weźmie sobie innego kochanka. Wreszcie nie był i on pierwszym.

Ale, za zbliżeniem się chwili rozłąki, spostrzegł, że dziewczyna źle wygląda, staje się milczącą, nie odpowiada na pieszczoty, na czule słowa, inaczej, tylko uśmiechem słabym i bolesnym.

Jakto? Więc ona kocha go do tego stopnia? Pochlebiało mu to. Opóźnił zatem wyjazd, zatrzymał się w dzielnicy Łacińskiej prawie pustej we Wrzesniu, a po tarasach ogrodu Luksemburskiego, przy wczesnym szeleście zeschłych liści, przechadzał się z melancholią, nie pozbawioną zarozumiałości.

Dopiero ostatniego wieczora, który mieli przepędzić razem, wobec otwartych pakunków Krystyana, do połowy ukończonych, Paulina zawisła u ramienia studenta, łkając wybuchowo:

— Przepraszam cię!... przepraszam!... Powinnam była powiedzieć ci wcześniej. Ale teraz nie mogę już wątpić.. Ja, ja... jestem... w odmiennym stanie.

A toż nowina na ostatku!... Krystyan wrósł w ziemię, patrzył na nią jak głupi. Uczuł jakby mu raptownie dwa centnary spadły na ramiona. Ona gotowa rościć pretensye! gdy on już myślał gładko się wywinąć.

Ab! serce ludzkie niezawsze to rzecz osobliwie ładna! Próba ta dowiodła młodemu samolubowi, że siebie tylko kochał. Twarz Pauliny, poznaczona łzami, zeszepecoua już stanem nienormalnym, obudziła w nim odrazę. Dwa lata przyjemności, jakiej przez nią zażywał; tyle chwil rozkoszy, a nawet słodkich wzruszeń; jej bezinteresowność, cechująca dobrą i pracowitą gryzetskę, przez pracę zarabiającą na swe kartofle smażone, tak uradowaną z lada nowój sukienki i świeżych bucików — wszystko to już z pamięci mu wyszło.

Oglupiały, widział tylko, że Paulina ma zostać matką dziecka, którego ojcowstwa on nie jest pewnym; bo któż mu zaręczy, że ona w tym czasie nie widywała inoych mężczyzn? I przez całe życie już ten przybysz nieprawy będzie mu zawadzał na drodze! Zimne dreszcze trwogi przechodziły go na myśl, iż może nadejść dzień, godzina, minuta, w której on, sam jeden, wobec ściągniętych brwi ojca zmuszonym będzie mu to wyjaśnić.

Tymczasem, wobec wyznania biednej dziewczyny, która naiwnie opowiadała mu o swym stanie jako o boleści i wstydzie, Krystyan uciekł się do środka dusz słabych. Udawał, pocieszał nieszczęśliwą głuchemi obietnicami, litością obłudną.

I podczas tój ostatniej nocy nędzny ten chłopiec, którego serce jednak nie było złe, ale, który o moralności i o życiu miał pojęcie słabe i niskie, jak większość szczęśliwców, nad samym też sobą tylko się uzał. Nazajutrz rano Paulina, jak zwykle, udała się do swój pracowni. O godzinie ósmój zejść się mieli na dworcu i tam zjeść razem obiad po raz ostatni.

Krystyan więc sam błakał się po ulicach, jedną ustawicznie trawiony myślą. Jeżeli przyjmie ojcow-

stwo dziecka, to już po jego przyszłości: ożenić się nie będzie mógł. Społeczne położenie młodego urzędnika na prowincyi, w stanie kawalerskim wychowującego swe dziecko nieprawe, niemożliwem jest.

Wytykanoby go palcami; karyera jego byłaby zwichnioną. A to wszystko dla jakiejś miłości w dzielnicy Łacińskiej. I z kim?

Z dziewczyną dobrą, nieprzewrotną, prawda; ale która, według własnego zeznania, miała już sporo romansów; — która, nie owijając w bawełnę, ustąpiła przy pierwszym spotkaniu. Co on wie o jej prowadzeniu się poza godzinami poświęconemi jemu? Nigdy nawet jej o to nie zapytywał, nie raczył być zazdrosnym. Jeżeli czasem powiedział do niej: — „A czy zachowywałaś się przyzwoicie?” — to tylko tak, dla żartu. Odpowiedź zaś kwiaciarki: — „Niepoczciwy!” — i zaraz potem pocałunek, nie znaczyły nic w gruncie. Ona-by tam z pewnością nie krępowała się dla niego. Czyż nie bywała w restauracyi Bulliera bez niego, z jedną z towarzyszek? Bardzo być może, iż to dziecko nie jest jego. Zepsuć sobie całe życie dla czyjegoś bękarta—tego byłoby trochę zawiele.

Przytem, zastanówmy się: wszak on nigdy żadnego zobowiązania nie zaciągał względem Pauliny. Podobali się sobie, połączyli się z tą pewnością, że się kiedyś rozejdą.

Dzień dobry, dobranoc, i na tém koniec. Rzecz była milcząco, ale stanowczo umówiona; czyli że, po sprawiedliwości, on nie winien Paulinie nic, krom może chwilowej pomocy materyalnej; gdyż biedna ta dziewczyna znajduje się w kłopotcie, a on nie jest przecie potworem.³

I cieszył się już ten porządny chłopiec, ten

oszczędny filister prowincjonalny, który przez ojca ma jeszcze siedemset tysięcy franków, które dość mu włożyć w rękę kwaciarki przy rozstaniu.

Od czasu do czasu jednak ścisłała się niemiłosiernie tajemną przestroją.

— Ej! poczciwco, popełnisz ty pourosć!

Ale w tejże chwili przeczył interes osobisty:

— Morały!... Głupstwo!...

A w bardzo rozluźnioném stadle interesu z uczciwością mąż ma zawsze górę.

Przezuwając te zielska myślowe, Krystyan doszedł do drzwi Franciszka Donadien, z którym chciał raz jeszcze zobaczyć się przed odjazdem.

Klucza nie było w zamku, a rzeźbiarz otworzył dopiero po chwili.

Heloiza, która pozowała mu za „Danae”, przed nadejściem obcego pobiegła się ukryć za starym parawanem.

Ale Krystyan już na progu stanął olśniony.

Prawie na ukończeniu, figura gliniana zachowała jednak urok szkicu i ślady rąk, które je z miłością modelowały. Silna i pełna wdzięku, z ciałem wyciągniętym, drgająca miłością, ale bez nieprzyzwoitości w swém poddaniu się, Danae przyjmowała w objęcia deszcz złoty.

— A co! — mówił artysta, rozradowany niemym podziwem przyjaciela. — To nie przelewki! Widzisz... Rozkoszne, a nie lubieżne ani za grosz, nieprawdaż?... Człek się starał, ażeby odnaleźć sposób niejakiego Tycyana... A jakby to było zajmujące, gdyby je można wpakować w biały marmur z trzema lub czterema grubemi sztukami złotem, naturalnie, ze złota fałszywego... Wyniosłoby to

półczwarta franka... Ale czy te korniszony ze Sztuk Piętych zamówią to u mnie?

— Bądź spokojnym, mój Franku — przerwała Helorza, która się ukazała, zapinając stanik. Twoja Danae jest to, coś zrobił najlepszego... Ja ręczę za pierwszy medal.

I piękna blondynka, pod której lekką odzieżą domyśleć się było można ślicznego ciała, usiadła przed maszyną do szycia, w rogu pracowni, i zaczęła dzierżyć *caraco*.

Teraz bowiem mieszkała już zupełnie z kochankiem. Ułożyli to nasamprzód dla oszczędności, a teraz cieszyli się, iż są zawsze razem.

Piękności olimpijskiej, szwaczka przedstawiała rzeźbiarzowi wzór doskonały na boginię, co nie przeszkadzało biednej dziewczynie pracować nieco w przerwach seansu.

Niewiele zysku daje robota na miasto: trzydzieści, czterdzieści soldów na dzień, najwięcej. Ale co było robić? Franciszek musiał wykończyć figurę na przyszłą wystawę, uniej zajmował się u brązowników w Marais. I gdyby nie ten zarobek Heloizy, nieraz jedliby śniadanie i obiad — w wyobraźni, przy ulicy Terrier.

— Więc ty wyjeżdżasz dziś wieczorem? — rzekł Franciszek do przyjaciela zapalając fajkę. Dziwna rzecz, iż ja nie mogę wierzyć w to, mój Krzysiu, że ty na przyszłą zimę masz zasiadać w czarnej jupce z zajęczą łapką na ramieniu... Wreszcie, w rodzie twoim to tak jak w Egipcie Faraonów: urzędują syn po ojcu.... Ja wiem, że i sędziów potrzeba na świecie: to lepiej, że ty niż inny, bo z ciebie poczciwa dusza... Ale bądź co bądź, dziwią mnie te koty futrzane. Byłem już raz w sądzie policyi poprawczej... Za-

siadał tam jakiś stary jegomość z kelnerskimi faworytami, który ci rozdawał kary, raz, dwa, trzy, temu owemu, tak jak przy wiście rozdają karty. I to ci z miną obojętną, zimną, tonem taksatora lombardowego... Tak, tak, zupełnie... Trzy miesiące... sześć miesięcy więzienia... kto da więcej? Słyszałem. Nikt się nie odezwał. Przybito... Myślałem, że jestem na licytacyi w ratuszu... Mam nadzieję, że ty się tam nie przyszrubujesz do swego krzesła kurulnego, i że cię tu czasem widywać będziemy.

— I ja się spodziewam — odparł młody doktor prawa, któremu żal było Paryża.

Wtedy Heloiza, nie podnosząc oczu od roboty, i wciąż manewrując pedałem, zapytała nagle, tonem sympatyi, prawie litości:

— A Paulina?

Znały się one mało, widywały tylko na wybiegach z kochankami, i zapewne kwiaciarka nie zwierzała się Heloizie: niemniej jednak zapytanie to, przypominające Krystyanowi wszystkie troski, było mu niemiłym. Zaledwie też sucho odpowiedział:

— Rozłączamy się. Tak być musiało.

— Bardzo naturalnie — podjął Franciszek, zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Heloizą. — Miłość tych dzieci mieszkała w hotelu, kiedy nasza spoczęła pod wspólnym dachem. Bo ty nie wiesz, mój Krystykanie, że ja lada dzień będę miał honor zawiadomić cię o ślubie pana Franciszka Donadiou, rzeźbiarza, z panną Heloizą, w tym samym domu. Nie przyszło jój to darmo, biednej dziewczynie. Dobra, poświęcona! Gdyby nie jój maszyna, nie byłbym ja ulepił méj bryły. Ona pewną jest mego serca, ale ja chcę, żeby miała także uważanie u prze-

kupki z przeciwka i u odźwiernego. Tylko musimy jeszcze poczekać, aż zbierzemy pieniądze na wesele. Czy nieprawda, pani? O! bez zbytku... Nie będzie karety ślubnej, z kwiatami pomarańczowymi u końskich uszu, ani uczyty w Palais-Royal, gdzie trzeba sobie nos zatykać ośrodkiem od chleba, aby można zjeść dzwonko jesiotra, i gdzie stary jegomość wstaje przy deserze, aby wyśpiewywać rozpustne piosenki. Nie. Ale trzeba dać porządne śniadanie przyjacielom, którzy nam będą towarzyszyli jako świadkowie. Jak tylko moja „Danae” gotową będzie do odlewu, zabiorę się do garnituru kominkowego dla Beckmana — pięćset franków, jak obszył — i natychmiast Sakrament. Będzie to na koniec Października.

Pożegnawszy się z rzeźbiarzem, Krystyan Lescuyer wrócił do siebie i pozamykał pakunki, bardziej jeszcze rozstrojony.

Franciszek, zaślubiający swoją modelkę, pierwszą dziewczynę spotkaną na drodze, wydał mu się brudnym, a jednocześnie on mu zazdrościł. Ależ, do kroćset! on mógł działać według upodobania; on kpił sobie z ludzkiego gadania — cygan bez rodziny.

Tymczasem syn pana Lescuyera, radcy przy Izbie Sądowej w Caen, potomek tyłu surowych urzędników, tyłu czarnych spódnic, jak mówił ten gaduła Franciszek, nie mógł, choćby i chciał, pozwolić sobie na podobne szaleństwo.

On, tak jak jego przodkowie, musiał wziąć żonę z dobrego i poważnego domu, wybrać pannę przyzwoicie wychowaną. Są potrzeby położenia równające się obowiązkom.

Tak, postąpienie rzeźbiarza, zwracające szacunek ludzki towarzysze młodości i biedy, da się

obronić, a nawet może ująć za szlachetne. Ale ofiara, po dobrym namyśle, nie jest znowu tak wielką. Franciszek może, zapewne, jako rzeźbiarz zostać wielkim artystą, ale będzie miał zawsze, jako człowiek, ton i obyczaję pospółstwa. Pomiędzy nim a jego przyszłą żoną niema wielkiej różnicy wychowania. A mimoto, kto wie, czy kiedyś nie będzie się za nią wstydził?

Zkądinąd, jestżeż jakie podobieństwo w stosunku Franciszka do Heloizy? — życie wspólne, zobowiązania wzajemne, prawie małżeństwo — ze stosunkiem jego do Pauliny? Żadne.

Obojga ich miłość była tylko kaprysem, nieco przeciagniętym, i koniec.

Jeszcze raz, on nie winien jej nic; chyba trochę pieniędzy, tak! z powodu tego nieszczęsnego stanu, za który on bynajmniej, o! bynajmniej nie czuje się odpowiedzialnym. Później — zobaczy.

A toż dziecko!... Nawet będzież ono żyło?.. Narreszcie, gdyby żyło, jużciż on się niem zajmie, z pewnością. I to będzie jeszcze bardzo ucziwie z jego strony, nieprawdaż? Gdyż, ostatecznie, będzie ono dzieckiem istoty upadłej, która od czterech różnych kochanków miała dwa pierścionki, broszkę i parę kolczyków.

Nienawistną mu się stawała ta biedna dziewczyna; a myśl, że tego jeszcze wieczora ma z nią być na obiedzie, i ulegać objaśnieniom, pożegnaniom, łzom, była mu nieznośną. Widzieć się na dworcu ma z nim o ósmą, gdyż pociąg odchodzi o dziesiątą w nocy. Przypomiał sobie, że idzie drugi pociąg do Caen o godzinie czwartej. Ma czas jeszcze z niego skorzystać.

— Tém gorzej — rzekł, stając się naraz brutalnym i okrutnym — nie cierpię scen.

Zadzwoił.

— Proszę o rachunek i dorózkę. Żywol

Napisał więc brzydki liścik, popełnił kłamstwo, niemal widoczne:

Nagła choroba ojca, nagląca depesza o przyśpieszenie, choćby o kilka godzin, powrotu, który on odkłada od miesiąca. Żadnej alluzji do stanu kobiety. Wkrótce da o sobie znać. Potem „ściskam cię” bardzo suche, napisane na tym papierze zawierającym kilka biletów bankowych, gorsze było od policzka.

Kazał to wszystko odnieść posłańcowi, którego był pewnym, do pracowni Pauliny, nie troszcząc się o wrażenie, jakie podobna przesyłka sprawi kwiatciarce wobec towarzyszek.

W godzinę potem Krystyan Lescuyer wcisnął się w zakąt wagonu, z sercém zimném, z ustami spiekłemi, z gorączką swego złego uczynku i jakąś gorzką radością, że tę nikczemność popełnił.

VI.

Zazwyczaj przygoda biednej dziewczyny, opuszczonej w stanie poważnym, zwraca się ku tragiczności.

Kobieta sama jedna, żyjąca z pracy rąk w Paryżu, już przez to samo znajduje się w ciężkiem położeniu. Obarczona wydatkami macierzyństwa, zapłatą mamki, wpada w zupełną nędzę. Z pośród tych nieszczęśliwych po większej części czerpie ofiary swe niższa prostytutcyca, za następstwo bezpośrednio mająca chorobę, szpital i śmierć.

Wyjątkowo los nie okazał się tak smutnym dla Pauliny.

Bardzo z natury łagodna, po bolesnym ciosie, jaki jej zadał wyjazd Krystyana, przyjęła w cichości nieszczęście swe.

Kochankowie jej poprzedni: nasamprzód, sąsiad z tego samego piętra, umizgliwy robotnik, który ją pierwszy zdemoralizował, potem studenci, subjekci mało sentymentalni, nie lepiej z nią postępowali.

Wszyscy brali ją sobie tylko dla przyjemności własnej, opuszczali, gdy stawała się niedogodną. Przedostatni nawet, napotkany u Bulliera, pożegnał ją

tegoż samego dnia, dając jęj dwadzieścia franków, jak ostatniej ładacznicy. Nabrała skutkiem tego wstrętu do miłości na dwa miesiące, aż do spotkania się z Krystyanem.

Na tym ostatnim więc doznała raz jeszcze zawodu, nie więcej, myśląc, że będzie szlachetniejszym od innych.

Złe to zapewne, że ją tak brutalnie porzucił, uczyniwszy matką; obiecał wszelako dać znać o sobie, zając się dzieckiem, jeśli będzie żyło. Ale nie liczyła na to.

Domyślała się, że Krystyan powziął wątpliwość co do swego ojcostwa, a lubo stateczną była przez cały czas przebywania z nim, choćby przez pamięć na szkaradną przeszłość, podejrzenia te uważała za dość naturalne.

Zostawił jęj wreszcie fundusz na pierwsze potrzeby. I oto tłómaczyła go prawie, pozbywała się urazy, mówiła sobie:

— Ej! jakoś to będzie; wszystko się powoli jakoś ułoży.

Dziwny-bo miało w sobie to dziewczę zapas rezygnacyi i beztroskliwości, wzorem wszystkich na świecie biedaków.

Niemniej smutnem było jęj życie. Towarzyszki, zazdroszczące jęj ładnego wyglądu i gustownego ubrania, spostrzegły jęj stan, i zamiast żałować, dalejże ją szczypać.

Jedna była mianowicie, złośliwa dziewczka dwudziestoletnia, która ogadywała ją wobec całej pracowni; niekiedy nawet pokątnie dmuchała w jęj uszy haniebne rady, śmiała jęj pleśó o dekoktach, o tajemniczych praktykach.

Z drugiej strony, „starsza panna”, dobra dziew-

czyna, która także przez to przechodziła, pocieszała nieco biedną Paulinę, i na porę właściwą dała jej adres domu, niedrogiemu, przy ulicy Vaugirard, gdzie będzie mogła odbyć słabość pod należytą opieką.

W domu tym, na znaku, nad sklepem masaży, pani Lagasse, akuszerka klasy pierwszej, wyobrażoną była w czarnym szlafroku jedwabnym, w mantyli wizytowej i w zamkniętym kapeluszu, trzymająca na ręku tęgiego dzieciaka w poduszce strojnej w białe koronki, a przechodząca przez zagon rozwiniętych główek kapusty, z których występowały główki dziecięce.

Lecz w rzeczywistości pani Lagasse nie odpowiadała swemu symbolicznemu portretowi i nie miała nic wspólnego z damą światową.

Ubierz starego buldoga w czubaty czepiec, a będziesz miał żywy obraz tej szanownej pani, która szczęściem, równie jak buldog, ukrywała nieco dobroci pod swą dziką fizygnomią: dla biednych istot, dzieckiem nieprawem ciężarnych, szorstką była, lecz litościwą.

Matka Lagasse — sześćdziesięcioletnia staruszka z wąsami, która wlewa sobie kieliszek koniaku do czarnej kawy, zasługuje na nazwę matki — pani Lagasse zdobyła się na założenie dwunastu łóżek w pięciu pokojach, nie licząc składanego materaca, na którym w kuchni sypiała służka.

Od trzydziestu lat jak, matrona ta wykonywała swą sztukę w zakładzie przepelnionym, ale tak utrzymanym, że gorączka połogowa mało tam czyniła spustoszeń, tysiące Francuzów płci obojga wydawały tam pierwszy okrzyk bóleści i przerażenia, którym u wszystkich śmiertelnych objawia się radość życia.

Gdyby mieli herby ci nowonarodzeni, z goryczą widzieliby je zmazane kreską nieprawności; lecz oszczędzone im było to upokorzenie zgóry, gdyż większą ich część wydały na świat młode robotnice, wracające zbyt późno z magazynu do domu, albo sługi wiejskie, siadające nieszczęśliwym przypadkiem na ławce ogrodu publicznego obok żołnierza, urodzonego w tym samym departamencie.

Matka Lagasse, mająca, jak powiedzieliśmy, dobre serce, obchodziła się isticie po macierzyńsku z temi dziewczycami — matkami. Zapłacona z góry — co do tego była nieustępną — czyniła wszelkie usiłowania, aby im znośną uczynić bolesną niewolę; a w chwilach spoczynku — dość, przyznać trzeba rzadkich — akuszerka gromadziła nawet w swoim pokoju kilka pensyonarek, niepomiernie grubych w pasie lub bladych jeszcze po świeżem rozwiązaniu, i kładła im kabałę, wróżącą zawsze, naturalnie, iż jakiś blondyn — król czerwieny lub brunet — niżnik żołądny — pomimo pozorów przeciwnych, nie przestał kochać damy winnej lub dzwonekowej, i że po usunięciu rozmaitych przesądów ostatecznie krzywdę popełnioną wynagrodzi.

W tym-to szpitalu prywatnym, w sześć miesięcy po odjeździe Krystyana Lescuyer, od którego żadnych dotąd nie miała wiadomości, Paulina wydała na świat dziecię płci męskiej, tego zbudowanc.

Włożywszy wysoki czepiec i aksamitną pelerynę z frendzlami, nie zaś ceremonialny strój ujawniony na znaku, pani Lagasse zaniósła niemowlę do kancelaryi stanu cywilnego, i, według zwyczaju, poczęstowała urzędnika tabaką. Stosownie do artykułu prawa, skromny ten biuralista przekonał się nacznie i dotykalnie o płci nowonarodzonego i zapisał

go w registr pod nazwiskiem Krystyana Forgeat, syna Pauliny Forgeat, i ojca nieznanego — a to w przytomności dwóch świadków, zawsze tych samych, sprowadzanych przez akuszerkę, to jest posłańca z rogu ulicy i węglarza z przeciwka, którzy natychmiast udali się do sąsiedniego winiarza i skromne wynagrodzenie, przyznane ich uprzejmości, zamienili na półkwatki.

Paulina dała synowi na imię Krystyan, nie straciwszy zupełnie nadziei, że prędkiej czy później zajmie się swém dzieckiem i przyjemném mu będzie nadanie dziecku tego imienia. Napisała nawet do Caen dla oznajmienia o tym wypadku.

Ale daremnie położnica, w swym szlafrocuku osoby przychodzącej do zdrowia, nachylała się nad wróżebnymi kartami matki Lagasse; daremnie jej one obiecywały, że piękny brunet — niżnik żołędny — przygotowuje się do podróży — trzy dzwonki rzędu — że niebawem otrzyma list — tuz dzwonkowy — i że, mimo złej woli innego bruneta — król winny — ona wyjdzie zwycięzko — szereg czerwieni — Paulina nie dostała żadnej odpowiedzi.

I biedna dziewczyna, jakkolwiek próżna urazy i nienawiści, miała oczy ponure, myśląc o Krystyanie.

Szczęściem dla niej pológ odbył się jak można najlepiej. Dość prędko mogła opuścić zakład i wrócić do pracowni.

Pracować teraz musiała więcej niż przedtem; gdyż reszta z pieniędzy pozostawionych przez Krystyana zaledwie startczyła na zapłatę za trzy miesiące zgóry mamki suchej, u której Paulina umieściła swoje niemowlę, w Palaiseau.

Bywała tam coniedziela. W brudnej chałupie, w której rozchodziły się kwilenia wychodzące

ze czterech lub pięciu zajętych kołysek, przyjmowana była z miodową grzecznością przez mamkę i jej męża, chłopów o twarzy obłudnie wykrzywionej, bardzo chciwych, bardzo wyzyskujących, którym zawsze musiała coś zostawić na różne wydatki, na cukier, na kawę, a zwłaszcza na mydło, lubo odrażające niechlujstwo karmiącej pary i mieszkania nie wskazywało obfitój używalności tego chemicznego wytworu.

Ale Paulina chętném sercem dawała sztukę czterdziestu soldów, ciężko zaoszczędzoną z tygodniowego zarobku; albowiem nowonarodzony był zdrów i ssał z chciwością.

Po trzech jednak miesiącach, kiedy miała znowu zapłacić za karmienie ze szczupłej swój płacy, Paulina znalazła się w ciężkim kłopotcie. Skromne jej klejnociki przeszły do lombardu; oszczędziła, tyle już jedząc co ptaszek, na swój żywności, i zrezygnowała się — co dla niej było najcięższém — na obuwie tandetne, na znoszenie starych sukni do ostatka.

Spełniła wreszcie ostatni czyn heroiczny, jako paryżanka: wychodziła bez rękawiczek.

Ale mimo tylu prywacyi nie zdołała swego małego budżetu doprowadzić do równowagi. W końcu miesiąca zawsze jej brakowało około dziesięciu franków.

Zaległa już nieco u mamki, która przypominała jej o tém co niedziela, z odcieniem groźby w powłóczystym głosie.

Wesoła i lekkomyślna Paulinka, nosiła teraz w sobie niepokój, który nieustannie serce jej wprawiał w podrywy.

Co robić? Jak się z tego wywikłać? Musi przecież dziecko wychować.

● — Weź sobie kogoś, co ci będzie pomagał — rzuciła jej raz jedna z towarzyszek, której kłopoty swe opowiadała.

Ale nic z tego! Ona teraz знаła już mężczyzn. To są samoluby i zdrajcy.

— Mam wziąć jeszcze jednego kochanka, aby mnie porzucił, gdy mu się uprzykrzę, nieprawdaż? Nie, kochana Lizo, tego ja nie zrobię — odparła.

Nie myślała już wreszcie o uniesieniach. Z miłością koniec. Macierzyńskość uspokoiła ją, wystarczająco.

— Teraz, widzisz Lizo, ja kocham mojego Krzysia, żyję tylko dla tej odrobiny, którą co tydzień huśtam na rękę, raduję się, gdy pociąga za mną swemi modremi oczyma.

Dla odbycia krótkiej drogi do Palaiseau, Paulina siadała w omnibus, który kosztował kilka soldów mniej niż kolej żelazna.

Owóz, pewnej niedzieli w końcu Września, pod zachód słońca, idąc ku temu omnibusowi dla powrotu do Paryża, biedna dziewczyna była srodze smutną.

Skutkiem lekkiej choroby dziecka mamka podała długą listę leków i drobnych wydatków, realnych i figuralnych, słowem, rachunek aptekarski; a Paulina, zawsze bez pieniędzy, musiała prosić, nawet błagać o zwłokę, której jej dopiero po długich utyskiwaniach udzielono, z upomnieniem:

— Proszę pamiętać, że dalej tak trwać nie może.

Ponieważ wewnątrz omnibusu było pełne, Paulina musiała usiąść na wierzchu, a w tym gramoleniu się pomagał jej podróżny, który uprzejmie podał rękę i zrobił miejsce obok siebie.

Był to wysoki i tęgł chłop, wyglądający na lat

trzydzieści pięć, mający na sobie tradycyjny ubiór ciesielski, z szerokimi spodniami po bokach, wykładanymi starym aksamitem, a z jednej kieszeni specjalnej wyglądał do połowy złożony metr.

Paulina nie była już tą elegancką gryzetską, na którą niegdyś zwracały się oczy przechodniów. W ubraniu spłowiałem i z gołemi rękami nie onieśmielała robotnika, który bez ceremonii zawiązał rozmowę z sąsiadką o chłodnych już wieczorach, o nocy rychło zapadającej.

Przypatrzyła mu się. Był to mężczyzna rudy, z wąsem wojskowym, okiem szczerem i twardem, z czołem naznaczonym głęboką brózdą; wyglądał, słowem, na porządnego robotnika i uczciwego człowieka.

W pół godziny całe życie swe opowiedział Paulinie. Pochodził z Lotaryngii, całe siedem lat przesłużył w pierwszym pułku inżynierii fortecznej i otrzymał uwolnienie jako kapral saperów. Teraz pracuje u pana Baschaud, wielkiego przedsiębiorcy z nadbrzeża Valmy, gdzie zarabia siedem do ośmiu franków dziennie.

W Palaiseau ma starszą siostrę za ogrodnikiem, i czasami w niedzielę wali do nich w odwiedziny, ot tak, aby się nalykać świeżego powietrza.

Wszystko to wypowiedział okrągło i szorstko, z nagłym zaufaniem do towarzyszki podróży, którą nazywał „panną”, rzucając na nią czasami bacznie wejrzeniem, prędkim i życzliwym.

— A panienka, czy bywa często w Palaiseau?— zapytał. — Już ja panienkę kilka razy zauważyłem przy odejściu omnibusa... Panienka pewnie odwiedza krewnych.

— Nie — odparła, nie bardzo myśląc o tém, co

mówi. — Ja tam mam mojego chłopca na mamkach.

— A, to przepraszam panią — odrzekł cieśla — nazywałem „panną...” Ale pani taka młoda... bez urazy.

Paulina cała była jeszcze pod wrażeniem grózb mamki. Nieszczęsna, potrzebowała się wyzalić.

— Niestety — rzekła — nazywajcie mnie, jak się wam podoba. Mam dziecko, ale ojciec jego mnie porzucił... Historia, jak wiele innych: nieprawdaż?

I ze spuszczonei oczyma, głosem stękającym, zwierzyła się robotnikowi ze wszystkim.

On słuchał uważnie i poważnie; czasami tylko pod płowym wąsem mruknął:

— Biedna dziewczyna!

Nie był on bardzo wymownym. Gdy Paulina umilkła, precedził tylko:

— O tak!... Niezawsze to zabawna rzecz, życie.

A w tém wyrażeniu Paulina czuła nieco litości.

Przed Obserwatorium kazała stanąć woźnicy, mieszkała bowiem dotąd przy ulicy Ulm.

Chociaż mieścił się bardzo daleko ztamtąd, bo nad kanałem Świętego Marcina, cieśla poświęcił resztę drogi omnibusowej, wysiadł pierwszy, i aby pomódz Paulinie, objął oburącz jéj kibić, podniósł silnie i zręcznie i postawił na ziemi.

Potem, nagle onieśmielony, zdjął kapelusz.

— Czy na przyszłą Niedzielę będzie panienka w Palaiseau? — zapytał głosem nieco zmieszany.

— Z pewnością... Do widzenia, panie.

— Do widzenia, panienko.

Na przyszłą niedzielę znowu drogę odbyli razem i rozmawiali jak po starej przyjaźni. Tam, wysoko, na ławeczce powozu, w chłodném powietrzu wieczoru, pod zielonawém niebem wrześniowém, na którém

opodal gasły ostatnie rubiny zmierzchu, kwiatciarka czuła się swobodną, prawie szczęśliwą, obok tego silnego mężczyzny, który łagodził głos, odzywając się do niej.

Odgadywała ona, że chce się do niej zalecać, tylko nie śmie. Chwała Bogu! więc to nie jest żaden bezczelnik, nakształt tych łotrów, których знаła przedtem, i którzy, pobawiwszy się nią, co do jednego wszyscy ją opuścili.

Gdy Prosper Aubry — tak się zwał cieśla — kłopotliwie opowiedział Paulinie, że zarabia dobrze na dniówce, że ma już przeszło tysiąc franków w kasie oszczędności, że nudzi się, samotnym będąc, a jednak żyje w stanie bezżennym, ponieważ jeszcze nie natrafił na swoją — Paulinę ogarnęła melancholia.

Ah! gdyby jój się było zdarzyło, niegdyś, kiedy jeszcze się nie potknęła, spotkać w życiu, zaślubić takiego jak on, zdatnego i uczciwego człowieka! Zadrogo jój przyszło to, że miała kochanków surdutowych, że sama chciała nosić kapelusze, jak jaka pan!

Kiedy Prosper objął ją wpół, jak przed tygodniem, dla wysadzenia z powozu, oddała się z ufnością tym rękom szorstkim, unoszącym ją tak lekko; a gdy robotnik, ośmielając się, zaproponował jój szklanekę piwa, przyjęła bez korowodów.

Usiadła za świerkami małej kawiarni, na rogu bulwaru Montparnasse, gdzie, nie czekając, głosem głuchym i wzruszonym, oświadczył się Prosper Aubry.

Nigdy żadna kobieta nie podobała mu się jak ona. Od przeszłej Niedzieli o niej tylko myślał. Była z nim tak otwartą. Wdzięcznym był jój za to, i mimo wszystko, mimo dziecka, byłby jój zaproponował małżeństwo. Ale w tém sęk. On nie jest ka-

walerm... Ma żonę, tak, łajdaczkę, którą wziął jednak z domu rodzinnego, z kwiatem pomarańczowym, ale która, po dwóch latach biedy, porzuciła go, aby używać świata. Szczęściem, nie miał dzieci z tą szelmą... która teraz kokotuje w Bordeaux.

Nareszcie, od pięciu lat jest on jakoby wdowiec; i gdyby Paulina chciała, żyliby razem. Podałby ją za swą żonę, a jak malec wróci od mamki, on go poda za syna obojga.

— I cóż, czy chcecie?—gorąco mówił robotnik.— Będzie to ładnie... i nietrudno. Mam nieco grosza uzbieranego, jak powiedziałem. Kupię trochę sprzętów, i będziecie mi gospodarzyć... A daję wam słowo honoru, że o przeszłości nie wspomnę nigdy; chłopaka zaś kochać będę, jakby był moim własnym.

Nieco zmieszana, z głową spuszczoną, palcem gładząc fałdy u sukni na kolanie, słuchała tych oświadczeń Paulina. Ale milczenie jęj wyrażało zgodę. Nagła czułość rozmiękczyła jęj serce. Tak dawno nie mówiono do nięj o miłości!

VII.

Umieścili się na przedmieściu Temple, na piątém piętrze. Widok przepyszny! Po nad oceanem dachów i kominów tryumfowały wieże Notre-Dame i kopuły Panteonu.

Dwa tylko mieli pokoiki, ogrzewane piecem fajansowym. Ale szczęście, doprawdy, tak mało potrzebuje miejsca!

Po tygodniu uwielbiała swego Prospera kochliwa Paulinka. Wszystko, co było „ludowego”, zbudziło się w niej.

Bez żalu opuściła pracownię, pracowała u siebie. Zarobek był mniejszy, ale co tam! Cieśla zarabiał i na siebie i na żonę, i na opłatę za karmienie malca.

A przytem, dalipan! co jój po strojach! Gospodarstwo to grunt. Nieprawdaż? Trzeba, aby mąż, za powrotem do domu, miał gorącą strawę.

I sama też prała Paulina, szczęśliwą była w swoim czepcu gospodarskim.

Jój Prosper miał wszelkie przymioty. Ani razu się nie zaproszył, nawet w Poniedziałek; zarobek przynosił nietknięty. Przytem bardzo delikatny.

Nigdy ani słówka przypominającego żonie, iż niegdyś nie statkowała.

Nie towarzyszył jej wprawdzie, gdy odwiedzała małego w Palaiseau; ale, no! nie trzeba znowu być zbyt mocno wymagającą. Wszelako mamka otrzymywała zapłatę w punkcie.

Musiał mieć zapewne i Prosper swoje wady, jak wszyscy ludzie. Naprzykład, ta głęboka szrama przez czoło wskazywała, że nie był on wygodnym, gdy się rozgniewał. Ale z żoneczką swoją to istny baranek: mówi do niej łagodnie, zaledwie dotyka swemi grubemi rękami, jak gdyby się obawiał ją uszkodzić; pieści się z nią jak duży pies z małym dzieckiem.

Paulina doznawała nadto zadowoleń miłości własnej. Uważano ją za ślubną. Sąsiadki, przekupki, u których targowała, nazywały ją „panią Aubry” całą gębą: a to pochlebiało.

Tymczasem już i małego Krzysia przyniosła matka do domu. Cieśla dobrze przyjął malca, wziął go na rękę, pocałował nawet i rzekł, śmiejąc się na całe gardło:

— Śliczny bęben.

Uważała tylko Paulina, że Prosper śmieje się za głośno, zaniepokoiła się od pierwszego dnia.

— Będę się starał pokochać malca, jak gdyby był moim własnym — przyrzekł pocziwy człowiek.

Ale czy to podobna?

Biedna matka postępowała z taktem, była roztropną, niebardzo wobec Prospera wydawała się ze swą miłością dla syna, który istotnie był pięknym dzieckiem, i za którym przepadała.

Ale Prosper zanadto kochał Paulinę, by nie być

o nią zazdrosnym, by przebaczyć temu dziecku, które ciągle mu przypominało jej brzydką przeszłość.

Kiedy powrócił z roboty, cieśla całował w czoło malca; lecz matka czuła dobrze, iż on do tego się zmusza, czyni to z obowiązku. Wobec krzyków i płaczów chłopca, wobec małych niedogodności, jakie sprawiał w małym mieszkaniu, Prosper zawsze w porę powstrzymywał znak złego humoru, niecierpliwe słowo wybiegające na usta.

Ale jego usiłowania nie uchodziły uwagi Pauliny. A kiedy, uniesiona instynktem macierzyńskim, namiętnie czasami całowała dziecko, zaraz w oczach jej na czole Prospera występowała złowroga szrama, fałda głuchego gniewu.

— „On go nie pokocha nigdy” — myślała, pełna głębokiego smutku, kołyszając dziecko.

Długi, bardzo długi czas upłynął, a stan taki nie ustał, w niczem się nawet nie zmienił. Między Prosperem i Pauliną dziecko to stało zawsze zawadą, przeszkodą.

Dobrze jednak odżywiany przez matkę, chłopiec rósł i jędrniał, rysy twarzy zaczęły mu się wykształcać; ale przypominały Paulinie oblicze człowieka, który ją porzucił. To nabawiło ją przykrości i odrazy.

Już chłopiec jadał przy stole, usadowiony w wysokim krześle. Raz, kiedy bacznie wpatrywała się w niego, z głową pełną goniących się wspomnień, nagle Prosper rzucił głosem niezyczliwym:

— Hej!... Niema co patrzeć... On do ciebie wcale niepodobny.

— Biedny chłopczyń! on temu nie winien — odparła, czerwieniejąc.

Była odtąd pewną, że widok dziecka stawał się

powoli katuszą dla Prospera; że ona z tego powodu codzień coś z ufności i przywiązania tego człowieka utracą. Odtąd też spokój stadła uległ zatruciu; zepsuło się szczęście ludowe i gospodarcze, w które z taką radością schroniła się biedna gryzетка.

Przyszła jej jedna myśl: dowiedzieć się, co porabia ojciec Krzysia, napisać do niego, wyluszczyć mu całą prawdę, błagać, aby zajął się dzieckiem. Kochała je przecież bardzo; z boleścią-by się z nim rozstała: ale byłoby to dla dobra chłopca.

Zamiar ten niewiele obiecywał powodzenia, niemniej Paulina ośmieliła się zwierzyć go Prosperowi.

Od pierwszych słów robotnik wpadł w gniew.

— Czyś zwaryowała? — krzyknął. — Czego ty się spodziewasz po tym brudnym aspanie, który cię porzucił z przychówkiem? A przytem, ja ci zabraniam, rozumiesz? Zabraniam pisać do tego jegomości... Jeśli on, dajmy na to, żałuje swego łajdactwa, tém gorzej dla niego... Stracił ślad twój i swojego syna: tém lepiej... Ja-bym był bardzo rad, aby on ciebie szukał, nie znalazł, i z tego chorował... To byłoby moją nad nim zemstą... Bo ja nienawidzę tego człowieka, którego nigdy nie widział, i którego nawet nie chcę wiedzieć nazwiska!

Paulina słuchała ze drżeniem.

— Tak, ja dla niego goreję nienawiścią — mówił dalej Prosper, kiedy pomyśle, że on młodszym był ode mnie, edukowanym, że przede mną zagadał do ciebie i miał z tobą dziecko... On łgał, mówiąc, że cię kocha, ale pewien jestem, że o kochaniu lepiej do ciebie umiał gadać, niż ja, który mówię szczerze. Wiesz co? źle zrobiłaś, to wszystko mi przypominając.

— Uspokój się, Prosperze — błagała Paulina z płaczem.

— Bo ja — przerwał — dotrzymałem przyrzeczenia: aż dotąd nie wspomniałem nic o przeszłości ani słowa... Ale skoro mnie zmuszasz do otwartości, to ci powiem.... tak! mnie to dokucza, że widzę wciąż między nami dziecko drugiego... Zrazu perswadowałem sobie, iż raz do tego nawyknę, że się do tego chłopca przywiążę... Nie mogłem... Nie jego to wina, prawda, ale i nie moja. Ale, że go miłować nie będę, to amen w pacierzu. I tak będziemy żyć dalej. Czy ja ci bronię go kochać, być dobrą matką?.... Broń mnie Boże: byłaby to podłość. Tak żyć będziemy dalej, ot i wszystko, powiadam ci. Ale mi nigdy nie mów o ojcu tego chłopca, rozumiesz?... bo to mogłoby wziąć zły obrót, i ja chłopca nawet mógłbym znienawidzić.

Przebóg! Dawno to już stało się faktem. Wkrótce cieśla w różnych okazyach objawiał swój wstręt. Surowym, niesprawiedliwym był nawet dla chłopca. Za najmniejszym przewinieniem zaraz się głosem straszliwym odzywał:

— Krzyś! poczekajno! dam ja ci!

Nieszczęściem, malec — zaledwie trzyletni — nie był natury łatwej. Już miał wyraz twarzy ostry, z czarnymi i gęstymi brwiami — z brwiami Lescuyerów — wyglądał starszej nad wiek. „Odpowiadał”, nadstawiał się przy połajankach. — „Ależ, tato!...” — powtarzał.

Wyraz „tata” złościł Prospera Aubry.
Codzień scena.

— Jak ten chłopiec je nieporządnie!... Jak on się rozpiera przy stole!... Jakto, godzina dziewiąta,

a on jeszcze nie w łóżku!... Co on tak chrząka przy jedzeniu?... Czy on nigdy nie powie: dziękuję.

I szrama złowrogo fałdowała się na czole cieśli.

Raz, kiedy malec coś mu odpowiedział niegrzecznie, cieśla uderzył go w twarz.

— Oh! Prosperzel—zawołała przerażona Paulina.

— Cóż takiego? — odparł grubijańsko robotnik.

— Czyż to już niewolno dzieci uczyć grzeczności?... Gdyby mnie ojciec nie dał od czasu do czasu w pysk, piękna-by ze mnie wyrosła lala!... Przystań beczeć, mały urwisie, albo ja cię nauczę.

Nazajutrz powtórzyło się coś podobnego. I mały Krzyś, brutalnie karany za drobne przewinienia, spochmurniał, złe błyski migaly mu w oczach, gdy je podnosił na tego, kogo uważał za ojca.

Za każdym razem matka chciała się wdawać, ale ją Prosper jedném spojrzaniem unieruchomił, nakazywał milczenie.

I była bardzo nieszczęśliwą biedna Paulina; w skrytości psuła swe dziecko, zawsze płacząc po kątach. Kochała swego malca, chciała go bronić; ale zarazem też rozkochaną była w swym *mężu*, i tłómaczyła jego dla obcego mu chłopca nienawiść.

Naraz przyszła nędza, i jak zwykle, pogorszyła wszystko.

Wojna roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego, oblężenie Paryża, zredukowały gospodarkę do trzydziestu soldów dziennie.

Podczas gdy Paulina, oddawna pozbywszy się zalotności, nie była już ładną i wychodziła na ulicę w kaftanie, a obecnie, podupadła gryzетка, wyczekiwała kolei przed jatkami końskimi — Prosper, z flintą gwardzisty narodowego na ramieniu, znieprawił się w beczynności, wysuszał kieliszki na wa-

łach, a do domu powracał z twarzą rozognioną, miną gwałtowną.

Mały zaś Krzyś, z konieczności zaniedbany, przeradzał się na ulicznika i rynsztokowego włóczęgę.

Przez cały ten czas, aż do końca maja tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku — gdyż Prosper, aby pobierać żold, pozostał w batalionach Komuny — piekło było w domu.

Następnie, zrzuciwszy w ką, w porze właściwej, kepi i mundur konfederata, cieśla znowu znalazł zajęcie i wrócił do życia regularnego, za czém też nieco porządku i dobrobytu zawitało do domu.

Paulina odzyskała cokolwiek władzy nad Prosperem ale on stanowczo nie przebaczał Krzysiu. Odzywał się do niego tylko tonem krótkim, ostrym i rozkazującym, rękę na niego podnosił o byle co. — Niezawsze padała uderzeniem, ta groźna ręka, wstrzymywana błagalnym wzrokiem Pauliny. Ale chłopiec zawsze nękany, często poszturgiwany, żył w ciągłym lęku, na każde zawołanie mniemanego ojca drgał całym ciałem, podnosił ramię jakby dla odbicia ciosu.

Nareszcie najgorsze z nieszczęść dotknęło chłopca.

Pewnego wieczora wrócił ze szkoły z twarzą czerwoną, skarżąc się na ból głowy, a w nocy dostał maligny: była to skarlatyna. Matka doglądała go, zaraziła się, i we trzy dni zesła zę świata.

Biedna Paulinka! Dusza za ledwie ludzka! Ale Ty jęj przebaczyłeś, Panie, nieprawdaż? Boże sprawiedliwości i miłosierdzia, przebaczyłeś jęj, w imię swego Syna, który przebaczył jawnogrzesznicy.

Mały Krzyś wyzdrowiał i żył. Miał wtedy lat sześć.

Teraz to sama obecność dziecka wprawiała Prospera Aubry w szalony ból i gniew. Przez miłość dla kobiety przyjął on i znosił tego przybłądę; ale ta kobieta przez niego umarła, on ją zabił.

I ten potwór został mu na ręku, nazywał go tatusiem, dziwił się zapewne, że on nie ma dla niego serca.

Tego już trochę zawiele! Toż nędznik ten jest mu zupełnie obcym; ma prawo powiedzieć mu: „Ruszaj ztąd precz!...” wyrzucić go na ulicę.

Ah! gdyby nie pamięć na matkę!

Tajemny głos nieraz wprawdzie szeptał w głębi sumienia Prospera:

— On niewinny!

Głuchym skłaniany skrupulem, trzymał chłopca u siebie, bądź co bądź dawał mu życie i okrycie...

A sąsiadki żałowały tego biednego wdowca, który wyglądał tak smutno, zatrzymywały go na schodach, aby z nim pomówić o tym kochanym chłopcu.

On go nienawidził wściekle.

Ah! nic teraz nie powstrzymywało ciężkiej, twardej ręki cieśli od uderzeń. Bity i ofukiwany, Krzys chodził z grzbietem pochylonym, okiem niespokojnym, jak chodzą smagane często psy.

Chłopiec miał obowiązek przyrządzać mu jedzenie.

— Jeszcze czego!... Niechże mi się przynajmniej wysługuje ten śmierdziuch — mówił sobie Prosper.

A powrót cieśli, zawsze się spóźniającego i podbudzonego dwiema lub trzema kolejkami piółonówki — ponieważ pił od śmierci żony — był zawsze dla sieroty chwilą krytyczną.

Od pierwszej łyżki zupy:

— Cóż to takiego? — warczał. — Czy to ja chodzę na czterech łapach, żeby mi podawano zimną papkę, jak psu?

— Ależ, tatusiu, ja czekam od godziny... wystygła.

— Co! co!... Czy to ja mam być może na rozkazy waszeci?

Albo gdy chłopiec przerażony milczał:

— Odpowiadaj że, gamoniu, kiedy pytam!... zamiast obłudnie wytrzeszczać gały.

I dalejże kulakiem.

Chłopiec rozpaczał. Wyobraźcie sobie całą okropność zespolenia tych dwóch słów: dziecięstwo i rozpacz. Stał się niemym, dzikim.

W szkole początkowej, nauczyciel, który był, jak się zwykle zdarza, osłem kapitałnym, zmierzył sobie tego dzikusa, niemowę; drwił z Krzysia wobec jego kolegów, którzy nikezemnie zrobili go swym paryą, kozłem ofiarnym.

Szkoła mu obrzydła.

Raz, zdjęty odrazą na progę, nie wszedł, błąkał się do wieczora, a za to wszystko został surowo ukarany przez bakałarza, zbity na kwaśne jabłko przez Prospera Aubry.

Ale z czasem przestał być czułym na cięgi. Popadł w recydywę.

Takie to przyjemne te godziny na ulicy, w tłumie, zdala od paskudnego bakałarza, od okrutnych kolegów, od srogiego ojca.

Tylko zbyt prędko ubiegały te godziny wyzwolenia; a zatruwała je bliżkiej kary pewność.

VIII.

Pewnego wieczora, przy ciepłe lipcowém, Krzys, który nie wszedł do szkoły i wagusował się dzień cały, stanął na nadbrzeżu Jemmapes, nad kanałem Świętego Marcina.

Z instynktem podróżniczym, z chętką do puszczenia się w dal nieznaną, tak rychło budzącą się w wyobraźni wszystkich dzieci, mały człowieczek przypatrywał się ciężkiemu parowcowi o grubym kadłubie, który przyplýwał zapewne z głębi Flandryi, i nareszcie zatrzymał się na przeciwległym brzegu kanału.

Pokład był pusty; biegał tylko po nim pies, zakłopotany, ze spiczastemi uszýma. Bardzo schludny, świeżo z przodu i z tyłu pomalowany na kolor jajeczniczy i cynobru, statek, skąpany w gorącym jeszcze świetle, pod którym trzaskały jego boki wyprawione smołowcem, wyglądał dostatnio, przynęcająco, gościnnie.

W swém chłopięcém marzeniu myślał sobie Krzys, jak to tam szczęśliwie duszy musi być na tym pięknym statku; tembardziej, że i drzwi od kabiny, gdzie mieszkali majtkowie, i z której komina się

kurzyło, otoczone były pnąciami się nasturcyami. Wiedział się już w myśli na tym statku, w charakterze majtka, w zażyłości z tym psem z pokładu, jak po drzemającej wodzie wód kanałowych, zdala od wszystkiego, co go gnębi, płynie tam, tam, gdzieindziej!..

— A co! Galanty statek, nieprawdaż? — ozwał się nagle drobny głosik za nim.

Krzyś obejrzał się i spostrzegł dziesięcioletniego chłopaka w łachmanach, z których najwydatniejszym był stary paltot mężki, o wiele zaszeroki i zadługi, spadający mu prawie po kostki, z rękawami podwiniętymi tak, aby ruchu rąk nie tamowały.

Ale pomimo zaniedbanej odzieży, żółtych włosów w nieładzie i grynszpanowej cery, ulicznik ten o oczach żywych i zadartym nosku, miał wyraz odważny i wesoły, minę dobrego chłopaka, która natychmiast ujęła Krzysia.

— Ty lubisz patrzeć na dopływające statki, mówił dalej chłopczyzna. A jak ci na imię? Ja nazywam się Natol.

Lubo ta prezentacya nie odbyła się ściśle według prawideł zachowania wielkobrytańskiego, Krzysia to nie obeszło i wymienił swe imię.

— Śmieszne też to imię.. Krzyś.. Krystyan... Jeszczem też nie znał nikogo, coby się tak nazywał... Ty musisz być przy rodzinie... Zaraz to widać... Masz całe chodaki...

I dawszy ten dowód swego geniuszu obserwacyjnego, Natol począł gwizdać piosenkę: „Luba Józefino, wstrzymaj się z maszyną”, którą kawiarnie wprowadziły w modę.

Potem dodał:

— Chodźmy aż do śluzy... Zdaje mi się, że ją otworzę. Przyjemnie patrzeć na taką kaskadę.

I Krzys poszedł za nim. Szczególny ciąg wychodził ku niemu od tego małego chłopca.

Nacieszywszy się razem hukiem spadającej wody, oba chłopcy byli już przyjaciółmi. Gawędzili. Natol dowiedział się, że Krzys „puścił kantem” szkołę, i że mu niepilno wracać do domu, ponieważ tam czekają go wnyki.

— Zabawna rzecz — mruknął wczesny filozof. — Ciebie, to własny ojciec szturcha. U nas to znowu macoszka... A! z piekła rodem. Dopieroż-to ja się od niej nabiorę po gębie!... Oto już tydzień, jak nie włożę do budy... I to nie pierwszy raz.

— Nie wracasz do domu?... — zawołał Krzys pełen zdziwienia i nieco z podziwem. — A cóż ty robisz?

— O!... — odparł Natol, lekceważąco zzymając ramionami. — Człowiek żyje, jak może... Trzeba tylko unikać mundurów... Otwiera się drzwiczki od powozów; leci się po dryndę dla pana wychodzącego z teatru. Rankiem idzie się na rynek, pomagać przy wykładaniu jarzyn... Najciężej, ja wiem, to znaleźć kąt do przespania się. Ale znam ja składy drzewa, szychty, domy w robocie... Tylko trzeba się wywijać przed „wyżłami”... Oto i wszystko.

— I ty już żyłeś w ten sposób?... Często?... — zapytał Krzys drżący ze wzruszenia.

— O! nieraz.

— Ale cię nieraz pewnie i przyłapali... Odesłali do rodziców... A wtedy?

— Boże! Wtedy niech ręka Boska bronil!... Boże!... O, ten nasz dom to nie słój konfitur... Ciągłe guzy i guzy... Ojciec się zaprósza; a jego Ropicha, która mnie nie cierpi, o byle co wyrывa drąg z miotły... Aby nie być bitym cały czas, ulatniam

się raz po raz... Doprawdy, człowiekowi tylko na ulicy dobrze.

Wtém uderzyła szósta na sąsiednim zegarze, a Krzyś zadrzał.

Ojciec wróci do domu, obiadu nie zastanie, wpadnie w złość. Krzyś widział już wzniesioną na siebie pięść groźną.

Przyszła mu pokusa „nie wracać już do budy”, jak mówił ulicznik na wyrost ubrany — żyć także na Opatrzności boskiej, jak on, być wolnym.

Ale nie chciał się sam jeden puszczać na awantury: jeszcze się trochę bał. Ah! gdyby ten Natol, niezachwiany w swych łachmanach, pełen śmiałości i doświadczenia, ten Natol, który mu się wydawał bohaterem, zechciał go przyjąć za towarzysza!

— A powiedz mi zatem? — zapytał Krzyś, bądź co bądź powstrzymywany resztą roztropności — gdzież ty będziesz spał dzisiejszej nocy?

— Na statku węglowym, w pobliżu mostu Toulle. W nocy go nie strzegą, a są tam płótna nacierrane smołowcem, któremi można się okryć.... Tam bardzo dobrze: tylko psia rzecz, iż trzeba wstawać równo ze świtem... Węglarze przychodzą wcześniej, a na wodzie to i ziąb... Ale co robić! Trzeba się otrząsnąć, i dalej, na rynek, do ogrodników. Statku nie wyładują aż za jakie trzy dni, i ja póty też mam mieszkanie, tak jakby mój klucz znajdował się w odźwierni jakiego hotelu... A co jeszcze szykowniej, że tego wieczora jest za co zjeść obiad — dodał Natol, brzękając w rękę czterema soldami. Będzie chleb i ser... A jeżeli chcesz, zapraszam ciebie... Czy myślisz, żem ja taki głupi, i nie domyśliłem się, że i ty masz już dosyć kułaków ojcowskich, i pilno ci zażyć trochę świata...

Krzyś zdrętwiał i szeroko otworzył oczy.

— Doprawdy? — rzekł — ty chciałbyś mnie zabrać?

Tego wieczora, wróciwszy z roboty, Prosper Aubry nie zastał chłopca w domu.

— A! niecny bękarcie — warknął — dam ja ci za to frycówkę!

I wziął się sam do zgotowania obiadu.

Godzina, dwie upłynęły. Chłopca niema.

— Niech go tam choroba!... Prześni się na dworze — powiedział do siebie cieśla, który bardzo strudzony, buchnął się na łóżko i spał jak zabity.

Ale nazajutrz rano zaniepokoił się jednak. Zszedł do łoży odźwiernej, gdzie wieść o zniknięciu dziecka zgromadziła wkrótce kilka sąsiadek.

— Próżniak, niepoń, na którym nie wymódz nie mogę! — krzyczał robotnik. — Teraz zaczyna już nie sypiać w domu.

— Gdyby mu też zdarzył się jaki wypadek?.. — odezwała się kobieta wyglądająca na nieszczęśliwą, z poczciwemi oczyma, która trzymała na ręku chorowite dziecko.

— Gadacie... — odparł Prosper. — Pewien jestem, że poszedł na wagusy... Co raz to opuszcza szkołę.

— Jednakże, panie Aubry — znowu podjęła młoda kobieta. — Biedny chłopieck!.. On często miał oczy czerwone... Ja wiem, dzieciska niezawsze statkują... Ale może też i wy macie rękę ciężką, panie Aubry?

Cieśla zaczerwienił się ze złości.

— Powiedzieć lepij od razu, że to mały męczennik, że ucieka ode mnie, że go wypędzam z domu... Ah! jacyż też to ludzie niesprawiedliwi... Owóż, ja

wam powiem, jak to było... Ja i moja nieboszczka nie byliśmy ślubni, a ten bachor, który was tak zajmuje, synem jest nie wiem czym, i ja go tylko z dobrego serca przyjąłem... A za to tyle mam przyjemności... Czyste nieszczęście!

I kiedy Prosper Aubry wyszedł z domu, aby zameldować w biurze komisarza policyi, wszystkie kumoszki podziwiałały tego biednego człowieka, który tak źle był wynagrodzony za swój dobry uczynek.

Przez cały tydzień nie wiadano nic o Krzysiu. Cóż się z nim jednak stało? Włóczył się.

Zrazu bardzo mu to się podobało. Dziecko ma w sobie coś z człowieka dzikiego: rzeczą mu zdaje się naturalną żyć ze zdobyczy, sypiać pod gołym niebem.

Było to podczas wspaniałego lata, w noc ciepłą. Natol i Krzys spalili wysmienicie na pokładzie statku węglowego, owinięci w szare płótna żaglowe. Mieli zawsze kilka soldów na śniadanie i obiad, złożony z troszki chleba i owoców kupowanych wprost z woza. Dość było wieczorami powłóczyć się około restauracyi, teatrów, balów publicznych, albowiem bawiący się i ucztujący łatwi są do napiwka i jałmużny.

Natol, znający Paryż jak gajowy las, wiedział gdzie są najkorzystniejsze przesmyki.

I tak oto włóczyli się rozkosznie. Chodzili do Ogrodu oglądać zwierzęta; ciągnęli wzdłuż wybrzeży, przypatrując się ludziom i pławieniu koni, wywracających się i dokazujących na piasku; wypoczywali po pustych placach na kępach trawy, zasianych dzikim makiem; a Natol, zadziwiający Natol, nie miał sobie równego, gdy trzeba było wypchnąć ramieniem słabo umocowaną deskę w ogrodowym parkanie.

Strapiać „sergotów”, „wyźłów”, — Natal miał cały różaniec przezwisk ubliżających policyi — było dla nich zabawą nieskończenie przyjemniejszą od kręgli i piłki.

Nie obeszło się tam i bez chwil ciężkich. Wybuchła raz gwałtowna burza. Dwaj ulicznicy podczas trzygodzinnéj ulewy musieli siedzieć pod arkadą mostu. To znowu brakowało gotówki. Raz na wieczerzę mieli tylko garść śliwek przez Natola ściągniętych z przedsklepia kupca. Mniejsza o to. Żyli okruciami, ale swobodnie, jak myszy.

A takich myszy pełen jest cały spód tego symbolicznego okrętu, który Paryż nosi w swym herbie.

Pod koniec jednak piątego dnia wszystko się popsuło.

Nastąpiła niepogoda, deszcz padał długo i często, zwłaszcza w nocy. Nie było już przytem stałego noclegu. Statek opróżnił ładunek, a dwaj ulicznicy ze smutkiem widzieli go, jak spuszczoney z łańcucha odpływał ku Burgundyi.

Policya, nagle wysurowiawszy, wytrzeszczała na nich wielkie oczy u progu ich miejsce najulubieńszych. Twardo było spać na toku, w otwartéj na cztery wiatry piwnicy nowobudującego się domu. Gotówki zbrakło zupełnie.

Dwaj mali koczownicy, przemokli, znędzniali, z minami wydłużonemi, oczyma podkreślonemi, próbowali wyciągać rękę przed tarasami kawiarni, zkąd kelnerzy wypędzali ich końcem serwet. Głód im setnie doskwierał.

— Cóż to? — odezwał się Natol do płaczącego Krzysia. — Ty beczysz?... Dosyć ci już?... Któż cię trzyma?... Jesteś wolny, możesz wracać do papy... Czeka cię zupa i kij...

I Krzyś laził wciąż za nim, przerażony myślą ukazania się, powstrzymywany przytem przez głuchy instynkt miłości własnej, przez pewien szlachetny punkt honoru.

Pokochał on swego towarzysza, przewodnika, tego dzielnego Natola, tak sprawnego w wynajdywaniu środków do życia, i nie chciał go opuścić.

Z tém wszystkiem, w swój dziecięcej wyobraźni, dojrzałej już skutkiem przygód i nędzy, głuchą uczuwał trwozę. Do zebrany miał wstręt. Kiedy zaś, w chwili wielkiego głodu, Natol znów ściągnął kilka fig przy drzwiach sklepu korzennego, Krzyś nie mógł przenieść na sobie, aby mu nie powiedzieć głosem cichym i wstydlwym:

— Słuchaj-no; ależ tego nie wolno... To źle, to kradzież.

— Kradzież?... — odparł drugi. — Czemuż więc zajadasz te figi?... Kradzież?... To kupiec kradnie, kiedy nieznacznie podpycha wielkim palcem wagę, albo kiedy, niby przypadkiem, przylepia kawałek sera pod spodem szali, na której leży towar... Jakto, ja zbieram to, co się wala, ażeby dać tobie na ząb, a ty mnie nazywasz złodziejem!.. Zkąd ci ta surowość?... Wolisz, ażebyśmy zdechli z głodu, ty charłaku!

I nieszczęśliwy chłopiec uczuwał, niestety! jak pierzchają jego skrupuły: taką nad nim przewagę zyskał energiczny towarzysz.

Swoją drogą jednak coraz cięższą stawała się ta długa włóczęga dwom ulicznikom. Deszcz padał ustawicznie. Już Natol, z gołą głową pod ulewą, w swym olbrzymim paltocie, szedł krokiem mniej pewnym; Krzyś, którego cizmy nabierały wodą, pocią-

gał tylko nogami. Siedem już teraz dni i nocy tulali się biedni malcy.

Ależ, nie rozczulajmy się, do licha! Natol i Krzyś są to dwaj wielcy przestępcy!

Podawaj tu prędzój kodeks.

Nocować po za domem; niepokoić obywatela, który trawi, żądając od niego wsparcia; skradać za dwa soldy suszonych owoców porządnemu kupcowi, posiwiąlemu w sprzedaży na fałszywych wagach — to ohydne, to przewidziane przez prawo. To się nazywa: włóczęgostwem, żebraniną, kradzieżą!

W tym porządku pojęć, są, rozumie się, odcienie, które społeczeństwo ucywilizowane bez trudności rozróżnia.

Ten eksplorator, który, pod pozorem niesienia murzynom dobrych słów od Europy, zabiera im kość słoniową w zamian za doskonale guziki od spodni, a skutkiem wycisku i brutalstwa, ginie zamordowany, w spadku zostawiając krajowi swemu wyprawę kosztującą szalone pieniądze, w której tysiące żołnierzy ginie, nakształt much, z żółtej febry i cholery — ten nie jest włóczęgą: to nieustraszony pionier cywilizacyi.

Ów deputowany, wydeptujący schody ministerów nad wyjednywaniem posad i wszelkiego rodzaju odznaczeń dla bandy filarów kawiarnianych, obowiązanych w jego okręgu śpiewać dlań pochwały między dwiema partyami bilardu — nie jest żebrakiem: to umysł polityczny, który się nagina do słusznych wymagań głosowania powszechnego.

Ten minister, oprawiony w długi przed przyjęciem do władzy, który, od dwóch lat dzierżenia teki, nieustannie z trybuny zapewnia o swjej bezinteresowności, silnie uderzając się w dołek żołądkowy,

a który z t \acute{e} m wszystki \acute{e} m stoi na czele dw \acute{o} ch milionik \acute{o} w oszcz \acute{e} dno \acute{s} ci, roztropnie w Banku Angielskim umieszczonych — ten nie jest z \acute{o} ldziejem: to m \acute{a} ż stanu, który na ohydne potwarze odpowiada tylko wzgard \acute{a} .

Ale dziesięcioletni z \acute{o} lczyncy, sypiający w niedokończonych budynkach, którzy wyługują pieni \acute{a} dze od przechodni \acute{o} w i zuchwale obdzierają wystawy sklepowe! Oto potworno \acute{s} ć! Oto co si \acute{e} nazywa istotnie naruszeniem publicznego porz \acute{a} dku. Na pomoc, policya, żandarmi!

Szczęściem, mamy prawodawc \acute{o} w, którzy nas osłaniają; i mamy artykuł w budżecie, corocznie zatwierdzany, na utrzymanie więzi \acute{n} specjalnie poświęconych tym wczesnym z \acute{o} lczyncom.

IX.

Czuwało więc społeczeństwo, a dwaj zajmujący nas złoczyńcy, zbudzeni ze snu o godzinie czwartej rano, ukryci w piwnicy, ujrzeni nagle przed sobą Kodeks w całym jego majestacie, bo w postaci agenta ubranego po cywilnemu, którego, ani wy, ani ja, proszę mi wierzyć, nie życzylibyśmy sobie spotkać w gęstwinie lasu; oraz, z pałaszem u boku — policyanta, który tchnął starą beczką po wódce.

Natol i Krzys zerwali się jednym skokiem do ucieczki. Ale już agent, wyglądający na szubienicznika, uchwycił Natola za prawe ramię, a sierżant trzymał Krzysia w swych obcęgach.

— A co nie, mówiłem ci, Larose — rzekł szubienicznik cywilny do umundurowanego (który nie od *róty* ale od *gorzałki* powinienby się nazywać) — nie mówiłem ci, że tutaj przyłapiemy podobnego rodzaju ptaszków?!

A zwracając się do chłopców:

— Dalej, robactwo!... Marsz!... A żywo... do cyrkułu!

Zapędzili ich tam w kilka minut, i nasamprzód zamknęli w „kozie”, dziurze bez powietrza, zapowie-

trzonej niechlujnym kubłem. Rzadkim trafem, byli tam sami.

Po raz pierwszy Krzyś usłyszał złowrogi szcęk zamków więziennych. Siadłszy na drewnianej ławie, wmurowanej w ścianę, chłopiec wybuchnął płaczem.

Ale Natol, z suchemi oczyma, rękami złożonemi na piersi, gniewnym krokiem rozmierzał podłogę kozy.

— A prawda — rzekł tamten — ty jeszcze tych porządków nie znasz, ani kolei... Ul, Magazyn... Alkierz...

Nazwy te, któremi Natol według terminów ulicznych określał przedwstępne stacye aresztantów, trwogą przejęły Krzysia.

— Co to wszystko znaczy? — pytał przerażony.

— Poczekaj, zaraz się dowiesz... Nie rozkoszne to, ale się przelyka.

— A potem?... — zapytał znów Krzyś ze strachem.

— Potem?... Sprowadzają naszych rodziców, dla zapytania, czy nas chcą. Mnie-bo ojciec zawsze zabiera... ale będę ja miał kąpiel!

Krzyś zadrżał. I on także pewnym był cięgow niemiłosiernych. I lzy puściły mu się znowu.

O godzinie siódmej skrzypnęły rygle. Agent o fizynomii rozbójniczej — nie wątpicie, że i duszę miał podobną — ukazał się na progu, i powtórnie rzucił swoje:

— Dalej, robactwo!...

Potem pechnął przed siebie obu chłopców do biura pana Sekretarza cyrkułu.

Był to czarny i szpetny młodzieniec z wywoskowanemi wąsami, z krawatem pretensjonalnym na brudnej koszuli, którego włosy, bardzo gęste i

w szczotkę ostrzyżone, zdawały się toczyć czoło jak choroba.

Siedząc za stołem, miał wtedy właśnie napad pierwszego zaflegmienia.

— Cóż, znowu niedobrze, panie Hektorze? — chrypał do niego agent z uległym uśmiechem, który był czémś, co widzieć można najobrzydliwszego... Spać poszliśmy zapóźno, ja to wiem: zrana zato trzeba oczyszczać rynnę.

— Cóż chcesz? — odparł między dwoma zaduszeniami młodzieniec o futrzanej głowie.—Co wieczór zachodzę do kawiarni z mocnym postanowieniem poprzestania na byle czém: mazagran, naparstek likieru i dwa albo trzy kufelki. Tymczasem nadchodzą znajomi, i tak zejdzie aż do północy przed kolumnami przystawek... A to wszystko dlatego, iż każdy czuje się obowiązany do zapłacenia kolejki. I to, widzisz, człowieka gubi, mój Martinot; człowiek ginie przez grzeczność.

Z ostatnim kłębem flegmy, wyrzuciwszy tę myśl filozoficzną, pan sekretarz zabrał się do wypytywania aresztowanych chłopców. Ale od pierwszych słów wiecznej odpowiedzi:

— „Bito mnie zanadto w domu.... uciekłem....”, człowiek o najeźdźniczych oczach uśmiechnął się niedowierzająco.

— Przejażdżka do Dépôt (areszt detencyjny) nieprawdaż? — odezwał się do agenta z miną figlarną. — Powóz już jest; wyprawimy ich.

Z kilkoma papierzyskami wydani żołnierzowi gwardyi republikańskiej, przez półgodziny trzęsieni w przedziałach „kosza od sałaty”, mali włóczędzy dostali się na dziedziniec aresztu detencyjnego prefektury policyi, w chwili gdy wszystkie dzielnice

paryskie wytrząsały tam z wozów ludzkie plugastwa tej nocy.

Przed przedsiönkiem, w którym otwiera się tylko wązkie okienko, złowrogie omnibusy z oknami zawsze zamkniętymi zatrzymywały się jeden za drugim, i niby kanał po odemknięciu śluzy, wyrzucały ohydnych passażerów, żebraków, włóczęgów nocnych, pijaków, wszetecznicę.

Raz po raz widziano wysiadającego z powozu starca, okrytego plugawym łachmanem i dziewczynę w kapeluszu z kwiatkiem.

Były tam stare baby z siwemi włosami, mające farbę na twarzy; byli mężczyźni bladzi, mający krew pod paznokciami. Niektóre wymuskane wyrostki wyglądały jak przebrane kobiety.

Prawie wszyscy ci nieszczęśni chwiali się na stopniach omnibusu i zstępowali podtrzymywani przez posługaczy miejskich: jedni, ponieważ upadali ze znużenia i głodu, inni ponieważ byli pijani i wyczerpani rozpustą.

Policya wyłowila ich, między godziną pierwszą a piątą, z szynków nocnych, z pokątnych zakładów, i nawet z ulicy, z ławek, z rynsztoków, gdzie padli, jedni w nadziei, że umrą, drudzy, że wytrzeźwieją.

Nędzarze lub złoczyńcy, godni politowania lub szubienicy, po większej części wyglądali sromotnie, z oczyma waryatów, o profilach zwierzęcych.

Jedna tylko, zupełnie młoda dziewczyna, aresztowana na gruncie rozbieranego domu, dokąd prowdziła pijanego człowieka, dziewczyna piętnastoletnia, w drewnianych trepkach, ubrana w łataną spódnicę i kaftan pobryzgany błotem, miała wyraz twarzy anielski i świeżą była jak kwiatek.

Na progu więzienia dozorca, szkaradni żołnierze

bezoreźni, w spencerach z cynowemi guzikami, chwyтали przybywających, a w obszernym, ciemnym przedpokoju, pod wodzą naczelnika, jegomości w wytartym mundurze, wyglądającym jak rudy odyniec pod swém kepi ze srebrnym galonem — z brutalną popędlivością kategoriami gatunkowali więźniów, rzucając bulaków na ławę w głębi, ramię przy ramieniu, łącząc złodziejów ze złodziejami, kobiety z kobietami.

Naczelnik, którego nazywano „panem inspektorem”, przebiegał od jednej grupy do drugiej, bardzo zajęty.

Anatol i Krzys, razem z kilkoma innymi tego rodzaju więźniami, przez jednego z dozorców zostali brutalnie wepchnięci do ciupy zastawionej stołem i dwiema ławami, gdzie w naczyniach cynowych podano im okraszoną wodziankę, mogącą przyzwoicie figurować w każdej porządnej psiarni.

We dwie godziny potem zaprowadzono ich do małego biura indagacyjnego (Petit-Parquet).

Instytucya ta jest dobrą sama w sobie i prostą. Co rano wszyscy nieletni ściągnięci przez policyę z bruku paryskiego stają przed sędzią śledczym, umyślnie w tym celu wyznaczonym.

Ten do sądów właściwych odsyła wszystkich czternastoletnich, uważanych przez prawo jako za czyny odpowiedzialnych.

Jednych stawia on na oczy z rodzicami, jeżeli ich mają, i, niestety, często ma obowiązek do rodziców wystosować upomnienie. Prawie zawsze bowiem mały włóczęga jest dzieckiem zaniedbaném, jeśli nie zupełnie opuszczoném. Potem oddaje dziecko rodzicom, chyba, że ci wcale go przyjąć nie chcą.

W tym ostatnim razie, jak również, gdy aresztowany wcale nie ma rodziców, sędzia śledczy odsyła go do zakładu poprawczego, gdzie pozostawać ma aż do pełnoletności.

Jeżeli aresztant ukończył lat czternaście, sądzą go i skazują jak dorosłego. Następnie wysyłają go, jako żołnierza, do batalionów karnych w Afryce, gdzie już piętno hańby zostaje mu na całe życie.

A gdy nie ma czternastu lat — he? co to za straszny przestępca!... z nim niemal gorzej jeszcze. Ten pozostaje więźniem *aż do pełnoletności*.

Widać, że potworności te są nieuniknione, i że bez nich zawaliłoby się społeczeństwo, jak domek z kart. Zgoda. Lecz niech mi też wolno będzie nie unosić się nad tym społeczeństwem tak mało trwałém, bo zaczynam wierzyć, iż „Postęp” istnieje tylko na szyldach kawiarni prowincjonalnych.

Sędzia indagujący Krzysia, przyznać trzeba, mało posiadał uroku. Powierzchny spostrzegacz widziałby w nim tylko staruszka o małym wzroście i wątłym wyglądzie, bardzo źle przybranego i siedzącego przed lichem biurkiem mahoniowém.

Ale był to człowiek rozumny i dobry, w myślących jego oczach błyszczała litość.

Nieopodal od niego, przy małym stoliku, siedział *młodszy*, czyli pisarz. Ten ogryzał sobie u lewej ręki paznokcie, tak jakby one stanowiły dlań najsmakowitszą łakotkę.

Przyprowadzony przez woźnego Krzys, drżący ze strachu, tłumiący płacz, nie tęgą miał minę.

Ale od pierwszego rzutu oka poznał sędzia, że nie ma do czynienia z jednym ze swych zwyczajnych klientów, urwisów zgangrenowanych występkami, a również, niestety! godnych politowania.

Przed chwilą wreszcie, sędzia instrukcyjny tylko co wypowiedział Natola i zwrócił go czcigodnemu ojcu, zakrapiającemu się ebeniście, wdowcowi ożenionemu z jędzą, która niecierpiała pasierba, i na skórę jego odbijała sobie prawa pierwszej żony.

Wiedział zatem sędzia, że Krzysia pociągnął towarzysz, i że on po raz pierwszy ulotnił się z domu ojcowskiego.

Uspokoił chłopca, umiał go natchnąć ufnością, wywiedziało się jego smutnych i banalnych dziejów, czuł, że nie kłamie.

Zwracając się tedy do woźnego:

— Ojciec był wezwany; czy jest tam? — zapytał.

— Jest, panie sędzio.

— Wprowadzić.

A zobaczywszy, jak na samo imię ojca, na wspomnienie tylu otrzymanych cięgów, chłopiec z przerażeniem kryje się w zakąt pokoju, stary sędzia, lubo nawykły do takich widoków, doznał wzruszenia liłości.

Prosper Aubry, którego ściągnięto aż z pracowni, wszedł w ubraniu roboczym, z chmurnemi oczyma, z wydętą szramą na czole.

— Siadajcie — rzekł doń sędzia. — Oto wasz syn, który, przed kilku dniami wyszedłszy z domu, nie wracał. Wiem, że to was zaniepokoiło i dalszcie znać do cyrkulu. Winienem także dodać, iż wiadomości ściągnięte o was są korzystne. Ale chłopiec ten utrzymuje, iż obchodzicie się z nim nadzwyczaj brutalnie. Czy to prawda?

Cieśla rzucił na chłopca wzrok nienawistny.

— Dopraszam się łaski pana sędziego — odparł — ażeby chłopiec odszedł ztąd na chwilę... Mam do powiedzenia o nim coś osobliwego.

— Zgoda — odrzekł sędzia.

I na jego rozkaz Krzys wyprowadzony został przez woźnego.

— A więc? — począł sędzia.

— Owóż, panie sędzio — mówił Prosper Aubry, dobywając z kieszeni papier stęplowy — proszę przeczytać tę metrykę... Krystyan Forgeat, syn Pauliny Forgeat i ojca nieznanego... Ten bachor jest dla mnie niczém. Jest to syn kobiety, z którą żyłem na wiarę, ot i koniec. Ona umarła, ja go zostawiłem przez ludzkość. Mamże jeszcze być strofowanym o to, że go poszturchnął, gdy na to zasłużył?

— Zatem jest to sierota nielubiony? — zeicha wyrzekł sędzia, który znał doskonale wszystkie te nędze.

— Być może, skoro tak pan sędzia mówi — odparł robotnik głosem twardym. — Ale to pewna, że obecność tego paskudnika przez cały czas za życia nieboszczki przypominała mi jej życie; że po śmierci matki ja źle uczyniłem, obarczając się tym przybłędą; że jest to muc, który mnie korci. Możecie państwo robić z nim, co się wam podoba, bo ja o nim więcej słyszeć nie chcę. Czy mam do tego prawo, albo nie?

Kapłan, pokorny sługa Boży, każdy nawet dobry chrześcijanin, duchem miłosierdzia natchniony, mógłby powiedzieć: — Nie! Lecz starzec, do którego zwracał się Prosper Aubry, mógł mówić tylko w imieniu sprawiedliwości sądowej:

— Macie prawo — rzekł sędzia głosem surowym i smutnym — prawo zupełne. Uważajcie jednak, proszę, iż chodzi tu o syna kobiety, którąście kochali, że on was tylko ma na świecie, żeście dlań nie byli dość pobłażliwym, że jego wina jest do przebaczenia...

Prosper Aubry dawał znaki niecierpliwości. Sędzia, nie zważając na to, mówił dalej:

— Bądźcie wspaniałomyślnym do końca: za-trzymajcie go w domu. Jakkolwiek surową jest wasza opieka, więcej ona będzie warta od państwo-wój. Jedyne przytułek, jaki mogę dla niego otwo-rzyć, smutnym jest. Wejdzie tam niewinnym; wyjść może nazawsze zgubionym. Jesteście odpowiedzial-nym za przyszłość tego chłopca. Cóż? wiem, że je-steście człowiekiem uczciwym: czy opuścicie tego nieszczęśliwego sierotę?

Ale Prosper Aubry, słuchając, spuszczał czoło twarde i zamknięte, na którym pogłębiła się pręga najniemiłosierniejsza.

— Czy mam prawo, czy nie mam? — powtórzył.

A ponieważ sędzia milczał, spuściwszy oczy, robotnik, nie dodawszy ani słowa, uklonił się i wy-szedł.

— Zrób, co należy — odezwał się do woźnego sędzia, którego głos drżał nieco.

I tegoż wieczora Krzyś, sierota niepewnego uro-dzenia, odesłany został do Osady Rolnej Plateau, w departamencie Marne-et-Oise.



X.

— Do szeregu!... Równo!...

Wojskowa ta komenda, rzucona głosem dźwięcznym, piętnastoletnim, jeszcze nieustalonym, wyszła z ust podmajstra pracowni szczotkarskiej, młodego osadnika, noszącego żółte galony kaprałskie, i nagle robota ustała.

To pan dyrektor Osady Rolnej w Plateau odbyć ma codzienny przegląd.

I mali przestępcy, z podgolonemi czołami, o twarzy posępnej, z tą cerą sinawą, jaką nadaje zamknięcie, stają nieruchomie przed swemi stołami warsztatowemi, w postawie żołnierza bez broni, z małym palcem na szwie płóciennych spodni.

Nie jest to bowiem Osada wyłącznie rolna, a tak zwani osadnicy uczą się tam rozmaitych rzemioł.

W epoce założenia instytucya miała być istotnie tylko rolniczą. Wszyscy dygnitarze, których nazwiska drukują się po dziennikach nieinaczej, jak z przydomkiem: znakomity lub zacny — ekonomiści, którzy weszli do Instytutu Francuzkiego dzięki zwiedzeniu wszystkich więzień Europy i obu Ameryk — statystycy, którzyby ci do jednego ziarnka gro-

chu niemal wyliczyli, ile wychodzi na żywność w kryminalach całego świata — wszyscy ludzie poważni i kompetentni zgadzali się w tym punkcie, że, iżby na małych świętych przerobić złodziei i włóczęgów, nie niema lepszego, jak żywot pasterski i praca w polu.

Ogłoszono w tej materji fury ciężkich raportów, gdzie, pomiędzy klamrami i obrazami poglądowemi obiegała woń sielska.

Teokryt, Wergiliusz, nawet ksiądz Delille, lubo nieco przestarzały, byli tam miejscami przytaczani.

Wynikła ztąd prawda względna, zatem niezaprzeczalna: że do cnoty powrócić można, tylko sadząc kartofle, że nie tak nie wzbudza poczucia honoru jak wrywanie buraków.

Z tej wychodząc zasady, administracya zakupiła kilkaset hektarów gruntu ornego na płaskowzgórzu w departamencie Marne-et-Oise.

Miejscowość była bardzo wyniosłą i bardzo otwartą, a prawie zawsze dął tam wiatr, który mógłby postrącać rogi nawet takim mężom, jak Menelaus i Georges Dandin.

Lecz mandaryni kommissyi naukowej zatarli sobie ręce z zadowolenia: świeże powietrze, to wyborna rzecz.

Za nabycie gruntu i wzniesienie budynków ofiarowano sobie wzajem i przyjęto po kilka garncy wina, *sicut decet*, i założono *Osadę*.

W wielkiej liczbie, bladzi i wątli chłopcy z przedmieść chodzili codzien oddziałami, w ubraniach do gorsu, na to zimne płaskowzgórze, barowali rydlem i łopatą, ciężyli chudemi rękami na podwójnej rękojeści pługa. Ale rezultat był nędzny.

Sławne „świeże powietrze” wyprawilo nasam-

przód kilkunastu tych biedaków na tamten świat z suchot w infirmeryi; tak, iż musiano wkrótce uznać, iż gra w guziki i handel kontramarkami nie są dostatecznym przygotowaniem do rolnictwa.

Dygnitarze z czerwoną rozetką nie przyznali się do omyłki.

Skoro zobaczysz kiedy jednego z tych dostojnych panów, skromnie uznającego swój błąd, spiesz mi powiedzieć, mój przyjacielu, a ja zapłacę kolejkę, ale taką, uważasz, która składać się będzie ze wszystkiego, co najdostojniejsze.

Owóz mandaryni pozostali przekonanymi lub udawali przekonanie, że uliczników paryskich łatwo przerobić na wieśniaków.

Jeden nawet z tych panów, wysoko głowę trzymających w krawacie, ogłosił o Osadzie rolniej w Plateau gruby tom *in octavo* po siedem fr. pięćdziesiąt c., raz jeszcze dowodzący, z pomocą mnóstwa tablic podłużnych i poprzecznych, że uzdrowienie moralne dzieci opuszczonych i intensywna uprawa marchwi są to rzeczy współrzędne.

Zapewne, tom był mało czytany, ośmielam się powiedzieć: mało przecinany; ale autor jego zyskał przezeń reputację człowieka poważnego, i przy tej sposobności mianowany został, sam już nie wiem czém, Legii honorowej.

Systematu nie zarzucono, tylko zarząd zmuszonym był wprowadzić pewne zmiany.

Najsilniejsi, a właściwie najmniej anemiczni z małych osadników, w dalszym ciągu, zabłoceni po uszy, przy najgorszych wiatrach zimowych, wiedli na śmiertelném Płaskowzgórzu swój żywot rolniczy. Lecz w zabudowaniach Osady urządzone zarazem szereg warsztatów [do nauki robót ręcznych.

Zabrzmiała kuźnia, ćwierknęły heble, lekki młotek szewcki ozwał się na skórze.

Myśl była dobrą.

— „My cię tu konfiskujemy na cały twój wiek dziecięcy, nicponiu; ale skoro ztąd wyjdiesz, otrzymasz do ręki narzędzie, którego będziesz umiał używać. Jeśli zechcesz pracować i żyć, jak przystoi na człowieka uczciwego, będziesz mógł.”

Na nieszczęście, dobra myśl jeszcze nie znaczy nic, jeżeli jej nie towarzyszy wytrwałość i bezinteresowność.

Ponieważ młodzi Paryżanie niezręcznymi nie byli, przeto administracya, która znajduje sposób płacenia za rzeczy trzy razy więcej, niżeli są warte, swoją drogą robiąc groszowe oszczędności, umyśliła ciągnąć korzyści z pracy małoletnich.

Przyjęła dla nich obstalunki szcotek i zabawek dziecinnych. Nie uczyli się już prawdziwych rzemiosł, zdolnych później dać im kawałek chleba, fabrykowali tandetę.

Potem przyłączyły się do tego nieczyste sprawy, szacherki.

Dyrektorem Osady był wtedy wycieruch polityczny, który niegdyś w dzielnicy Łacińskiej niezliczone kufle wychylał z dwoma lub z trzema przyszłymi ministrami. Później oni go tam umieścili na synekurze.

Suchy ten owoc był trochę podszyty oszustem. Brał łapówki i od podwładnych, kierujących robotami wykonywanymi w osadzie, i również od dostawców. Dzieci żyły odpadkami, o co nikt się nie troszczył; ale Skarb zanadto był okradany i nareszcie się poruszył.

Wybuchnął skandal... śledztwo, interpellacya w Izbie.

Wielu panów, wyglądających poważnie i korzystnie, przybyło do Osady; brali się za głowę, robili wielkie oczy.

Ale Dyrektor uprzedzony był w porę. Okazał im rachunkowość czystą jak woda źródłana i poprowadził ich do kuchni, gdzie skosztowali zupy — tego dnia doskonałej.

Rewidenci, po dobrém śniadaniu, wrócili do Paryża w stanie blizkim rozczulenia.

Uspokojony przez nich, minister nakreślił przed Izbą obraz Osady Rolnej, przypominający najwdzięczniejsze skotopaski Floryana. Deputowani, którzy pod pozorem Rad generalnych mieli rozbież się po swych departamentach i myśleli tylko o tém, jakby najlepiej otumanić swoich wyborców, zagłosowali wszystko, czego od nich żądano.

Dyrektor jednak, który czuł się skompromitowanym, a nie był głupi, pojechał odwiedzić kilku dawnych kollegów z piwiarni i kazał się przenieść na inną posadę, rozumie się, lepiej płatną, do Indo-Chin, zdala od oczu zazdrosnych. Co prawda, umarł też on tam niedługo potem, jako ofiara swego wysokiego uposażenia.

Mimo to wszystko Osada nie szła. Dzieci ginęły jak muchy. Zbiory z pola były śmieszne, a ze sławnych warsztatów wychodziły charłaki.

I rzecz dziwna! Zaniepokoiła się tém Izba, Ministerjum; zawrzało przy zielonych stołach różnych kommissyi.

— Całe złe pochodzi ztąd — powiedział jeden z mandarynów — że tam niema kierunku, tam-by potrzeba ręki żelaznej.

Co do mnie, żelazne ręce widywałem ja wprawdzie, ale tylko na szyldach rękawicznicznych, i to były

one blaszane, czerwono malowane; ale odkąd doszedłem do wieku świadomości, słyszę ciągle, za każdym matactwem, wołanie o żelazną rękę, we wszystkich sprawach publicznych lub prywatnych. Wszelka republika, wszelkie zasady liberalne, to furda: ręka żelazna, człowiek o tęgiej pięści, to mi rzecz!—powiadają.

Ażeby więc przywrócić porządek i pomyślność w upadającej Osadzie, szukano tego człowieka z pięścią, i odkryto go niebawem. Otrzymał on nawet miejsce, że tak powiem, bez protekcyi. Co najwięcej, potrzebował mieć rekomendacyę coś czternastu deputowanych i ośmiu senatorów, nie licząc szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż udało mu się być szwagrem odźwiernego u kochanki ministra.

Był to niejaki kapitan Caillou, który miał coś w rodzaju swego nazwiska na miejscu serca (*caillou*, znaczy: kamyk). Wyszedł on do dymissyi, po dwudziestu pięciu latach gorliwej i nieskazitelnj służby afrykańskij, w kompaniach karnych.

Nie przelewał on krwi na żadnym polu bitwy; ale celował w wysyłaniu krnąbrnych do lochu za najmniejszym wykroczeniem, albo do robót ziemnych na słońcu, w temperaturach zdolnych wyprowadzić z jaj kurczęta już upieczone.

Ten były kat, ozdobiony szlifami, posiadał właśnie żadaną rękę żelazną, i niebawem też zaciężył nią dotkliwie nad małymi osadnikami.

Poprzednik, cichy mikrob budżetu, był zkądiną człowiekiem dość łagodnym. Ten wyjadacz administracyjny puszczał rzeczy lekko, dbały tylko o swoją pensyę, z naddatkiem ztąd lub owąd, tudzież o to, aby nie miał nic do roboty, pomiędzy śniadaniem a obiadem.

Kapitan Caillou strasznym był właśnie, jako człek obowiązkowy. Postawiono go tam, aby rozwijał energię, więc chciał, by ją zarząd pozyskał za swoje pieniądze. Z całą też świadomością, za najmniejsze uchybienie przepisom, pakował dzieci do aresztu lub nakładał im kaftan.

Zwierz ten, w gruncie rodzaj uczciwego człowieka, miał pod swemi rozkazami ze trzydziestu marnych podkomendnych w kepi i szarych uniformach z żółtymi wypustkami, względem których okazywał się jednocześnie bardzo ostrym i bardzo pobłażliwym.

Za jeden kartofel ukradziony z piwnic Osady kapitan Caillou byłby duszę wytrząsł ze wszystkich dozorców; ale jeżeli który z nich, w przystępie zbyt-niej żywości, omal nie uśmiercił dzieciaka, kapitan patrzył przez szpary, tak głęboko w nim tkwił respekt dla zasady powagi.

Jużciż pensjonarze Osady nie byli do prowadzenia łatwi. Ofiary jakiegś złowrogięj dziedziczności lub okropnego wychowania, byli oni po większej części zepsuci lub krnąbrni. Nic z nimi nie można było począć bez surowej karności. Jednakże poczucie sprawiedliwości istniało w ich ciemnych duszach. Nawykli do złego obchodzenia się, przyjmowali kary najsurowsze; ale samowola i ciemność były nieznośnemi tym małym buntownikom.

Owóz, dozorczy, pewni, iż dyrektor zawsze ich stronę trzymać będzie, bez powodu, niesprawiedliwie, mnożyli i obciążali wszystkie kary, tak, iż dola nieszczęśliwych dzieci, już i tak okropna, stała się nie do wytrzymania.

Bądźmy sprawiedliwi. Gdzież to się wybiera,

zkąd wybierać można tych, komu się powierza kierunek nad dziećmi moralnie zaniedbanymi?

Oto z pomiędzy wykolejonych najgorszego gatunku. Z dawnego podofficera, zbyt tępego, aby mógł rozdzielać nadsyłane do pułku listy albo kontrolować bilety na kolejach, robią dozorcę więzienia, w którym często przejawia się kat.

Ale zkąd wziąć innego?

Zaledwie człowiek wyższego umysłu i serca starczyłby tak trudnemu i delikatnemu zadaniu, jak dozоровanie i przekształcenie gruntowne zepsutego dziecka.

Ażeby pozyskać posłuszeństwo, ufność, miłość, jakimże taktem nieomylnym, jak niewyczerpaną cierpliwością, jakim duchem sprawiedliwości i dobroci natchnionym musi być wykonawca! Święty! tak! chyba święty, rozplamieniony wzniosłą miłością, ledwie-by temu podolał: Wincenty a Paulo. My mamy tylko stróżów więziennych.

— Do szeregu!... Równol!...

Ubrany pocywilnemu, to jest w stary i brudny surdut, ale z kepi na głowie srebrno-galowaném, znakiem swęj godności, z bambusem pod pachą, z głuchém warczeniem pod szpakowatym wąsem, pan kapitan Caillou, dyrektor Osady, ukazał się na progu pracowni numer szósty. Za nim idzie nadzorca.

Chłopcy, w okrągłej liczbie dwunastu, których tu kształci się umysł i serce za pomocą wyrobu tuzinami szczotek i zgrzebel — liehe rzemiosło, nawiasem mówiąc — stanęli natychmiast w szyku wojskowym. Żaden muskuł nie drgnie na tych twarzach zamgłonych; zaledwie, od czasu do czasu, jakieś mrugnięcie powiek nad nieruchomemi oczyma. Nie więcej kapi-

tan wyhukał niegdyś na swych rekrutach w południowej Algierji, na drodze do Laghouat.

Wtedy pan dyrektor wodzi oczyma po małych osadnikach i na każdym zatrzymuje kolejno wzrok groźny, jakby, według wyrażenia ludowego, chciał ich połknąć oczami.

Nie dlatego, iżby pan dyrektor był dziś więcej niezadowolonym niż zwykle. Nie, wzrok srogi, to jeden z czynników jego systemu wychowawczego, i tyle.

Zkądinąd, mógłby nawet nie straszyć swym sławnym wzrokiem: nikt odeń pocisku otrzymać nie mógł. Wszystkie dzieci mają oczy utkwione o piętności kroków przed siebie, jak nakazuje „teorya”.

— Krystyan Forgeat... Ludwik Râfle... Wystąpcie tu w porządku! — zakomenderował dyrektor głosem, ochryplym w skutek dwudziestopięcioletniej praktyki absyntu przed jedzeniem i mnóstwa kieliszków po mazagranie.

I dwaj przyzwani osadnicy wychodzą z szeregu i zatrzymują się o trzy kroki przed panem dyrektorem.

Upłynęło już sześć lat, jak Krystyan Forgeat aresztowanym został za włóczęgostwo i odesłanym do osady Plateau. Ma teraz lat czternaście. Notowany jest dobrze; odbył nauki początkowe. Jako za słaby do robót w polu, umieszczony został w warsztatach.

Mimo piętna więziennego przystojnym jest ten syn miłości. Rysy ma delikatne, zęby piękne. W jego czarnych oczach nie widać tej nizkiej skrytości, odrażającej u wszystkich niemal jego towarzyszków.

Znać już męzką energię w kresie jego gęstych brwi — brwi Lescuyerów. Dobrze zbudowany i na

swój wiek wysoki, wyglądałby nawet dobrze ten mały więzień, gdyby nie bladość, pochodząca ze złego odżywiania.

Kuleje tylko nieco.

Trzy lata temu dozorca kopnięciem nogą prze-trącił mu piszczel. Na ten raz dozorca ów otrzymał naganę.

Krystyan tylko upadał na nogę już na całe życie.

Drugi osadnik, Ludwik Räfte, którego przyzwał dyrektor, jest to wyrostek tęgi, o dzikiem wejrzeniu, piętnastoletni. Czaszka w kształcie głowy cukru, ręce ogromne, jednooki, szyja w szwy skrofuliczne.

— Aha! jesteście, zuchy! — chrapanął pan dyrektor.

I krtań starego alkoholika tłumaczy dostatecznie, dlaczego on ma dotąd jeszcze, w jednej z kawiarni Oranu, dawny dług, który umarza, przysyłając dzie-sięc franków miesięcznie, co nawet jest powodem jego chronicznego zakwasu.

— Ale co mi to oznajmia nadzorca?... Jeszcze bójki... Zdaje się, żeście sobie chcieli ponagryzać nosy wczoraj wieczorem podczas rekreacji.

Było to prawdą.

Ludwik Räfte nienawidzi Krystyana Forgeat, nienawidzi go nienawiścią idioty, potworu; nienawidzi go za to, że ten jest intelligentny, ma nieco dziecięcego wdzięku, próbuje dobrze postępować, spodziewa się być później człowiekiem jak inni, ocalonym, wolnym; podczas gdy w swym głuptasim umyśle Ludwik Räfte przeczuwa głucho, że zostanie na-zawsze przedmiotem pościgu i kryminału, potępieńcem.

Ludwik Râfle nienawidzi Krystyana. Wczoraj znowu go zelżył:

— Poszedł precz, ty *piecuchul*

I wnet obaj schwycili się za gardło; rozłączył ich tylko dozorca.

— Nie myślicie zapewne — mówił dalej kapitan Caillou — że będę was wypytywał, o coście się czubili. Wyłgiwalibyście się, i koniec. Ale ja takich nieporządków nie ścierpię w Osadzie... I lubo Krystyan Forgeat jest dosyć dobrze notowany, obaj pójdziecie na cały dzień do ciupy. To was uśmierzy... A gdyby się ponowiło, to do lochu! Marsz!..

I gdy pan Dyrektor odbywa dalej swój przegląd, dwaj chłopy wychodzą z pracowni za dozorcą, który ich wiedzie skinieniem oczu na miejsce kary.

Idą tam obok siebie, z miną obojętną; nawykli bowiem do kar, niesprawiedliwych, wymierzanych na chybił trafił.

Na grubych jednak wargach Ludwika Râfle występuje podły uśmiech tryumfu; cichym głosem pomrukuje on do ucha towarzysza:

— Widzisz, ty, lizusie, że się to na nic nie zda być *piecuchem*: bierze się po uszach tak samo jak *ćwik*.

Istnieją bowiem między osadnikami dwa obozy, wrogie.

Piecuch (ponte), w zwyczajnej gwarze, jest to posłuszna ofiara. *Ćwik* (mariolle), to oporny, zuch, który umie się wykręcać.

Czyli w osadzie, *piecuch* i *ćwik*, to poprostu wychowanek dobry i zły.

Piecuch, napiętnowany tém przezwiskiem przez innych, jako śmiesznością i hańbą, bez oporu podda-

je się rygorom, stara się być jaknajlepszym; pracowity jest i posłuszny.

Taki bywa rzadki; i często, przyznać trzeba, *piecuch* jest tylko obłudnikiem, który łasi się dozorcóm, denuncjuje i zdradza kolegów.

Niektóre jednak dzieci zdobywają się na tyle rozum i energii, ażeby przebyć straszną i długą próbę zakładów karnych, walczyć przeciw zarazie zła, jakie ich otacza i grozi im, zamykać uszy na przewrotne rady, oczy na zgubne przykłady.

Krystyan Forgeat usiłował być jednym z takich — rzadkich, powtarzamy.

Pomimo szczęśliwych reform, obecny system wychowania dzieci zwyrodniałych (niestety! trudno połączyć te dwa wyrazy bez ściśnienia serca) jest jeszcze tak barbarzyńskim! A przecież garstka ludzi uczciwych wyszła z moralnego ściekowiska zakładów poprawczych.

Znam jednego, który jest oficerem w wojsku. Inny, osobiście znany temu, co to pisze, ciężko a dzielnie zarabia na życie. Nie można mieć dość uznania i szacunku dla tych dawnych *piecuchów*.

Co się tyczy *ćwików*, są to nieustępní, niepoprawni. Nakształt robaczywych owoców, które bardziej jeszcze psują się na kupie, weszli do zakładu występnyimi, wychodzą złoczyńcami. Są to dzieje prawie wszystkich tych nieszczęśliwych dzieci; potępienie niedorzecznego systemu łączności, jaki im narzucają. Zamykają ich na długie lata w nadziei, oh! bardzo słabéj! że się poprawią; potem naraz wypuszczają zawziętych na los, wydoskonalonych w złém, dojrzałych do zbrodni.

Oh! bądźcie spokojni. Patentowani filantropowie zajmowali się usilnie tym stanem rzeczy, oplaka-

nym. I wiecie, co przeciw niemu wymyślili? System celkowy.

Rozumiecież to dobrze? Dzieci, dzieci!... skazać na ciągłą samotność, na bezwarunkowe milczenie!

Jeszcze to istnieje podobno w zastosowaniu do więzień prewencyjnych, do kar krótkotrwałych.

Można widzieć w zakładzie Petite-Roquette, dzieci mające, każde dla siebie, więzienie oddzielne. Można je widzieć przez okienko, pozamykane nakształt obłąkanych furyatów. Włosy na głowie powstają.

Siedzi taki więzień na stołku, przed deską wmurowaną w ścianę, i dłubie jakąś robotę. Nawet w Niedzielę, na mszy, stawiają ich w jakieś przegródki drewniane, zkąd nie widzą nic prócz ołtarza i księdza.

Kaplica w Petite-Roquette jest nawet jedną z osobliwości Paryża. Dowcipne to narzędzie tortury. Założmy się, że wynalazca był także filantropem, który, zapewne przez miłość dla bliźnich, całe życie pobierał grube honoraria.

Powiedziałem. W wychowaniu dzieci występnych lub zaniedbanych system celkowy tak nędzne wydał rezultaty, że go zupełnie lub prawie zaniechano! Powrócono do prostego usunięcia ze świata, do osad rolnych lub innych: nadgniłe kartofle zwałono na kupę. Wszystko to jest złe, nieludzkie, niedorzeczne.

Wiem ja, że zadanie łatwem nie jest do rozwiązania. Trzebaby (i myślano o tém) odosobnić małego nieszczęśliwca; powierzyć go, na przykład, ubogiej rodzinie, gdzie-by wzrastał w atmosferze uczciwości, gdzie by, widząc koło siebie pracujących, nabierał i sam zamiłowania do pracy.

Ale nawet pomiędzy najuboższymi ojciec marszczy

brwi, gdy mu kto proponuje utrzymywać między swemi parszywą owcę, nie mówiąc już o niegodziwcach, którzy pensyonarza tylko dla wyzysku przyjmują.

Cóż tedy robić? Zawsze się wraca do dawniej zasady: więzienie lub coś podobnego.

Nie chciałbym być niesprawiedliwym. Nie podaję pod wątpliwość dobrej woli specjalistów. Układają oni przedziwne przepisy, pełne rozumu i miłosierdzia — nie tak jednakże przedziwne, aby nie należało ich w krótkich odstępach czasu z gruntu przeobrazić.

Ale w praktyce, to, co na własne oczy widziałem, obydniem jest. Więzienia, powiadam wam, więzienia, gdzie istoty nieodpowiedzialne podlegają wszelakim cierpieniom moralnym i fizycznym, i gdzie miłosierdzia w sercach kierowników niema więcej, niż okrasa w kotłach kuchennych.

Owóż tedy, skutkiem wymiany kilku szturchańców, Ludwik Râfle i Krystyan Forgeat zaprowadzeni zostali do izby karniej.

Jest to sala dosyć obszerna, rodzaj stodoły, dokoła której dzieci chodzą gęsiego, krokiem wojskowym, pod okiem dozorca, nie zatrzymując się przez cały dzień, prócz dwóch spoczynków dla posiłku.

To zapewne także wynalazek jakiegoś filantropa.

Izba karna jest katuszą, uśmierzającą najkrnąbrniejszych; lękają się jej oni więcej jeszcze niż lochu; jak mi mówiono jest karą najwyższą; i często nawet dzieci skazane na nią, czempredziej popełniają grubsze przestępstwo, aby się dostać do lochu.

Loch jest to wszelako miejsce nie do zazdrości. Więzień przebywa tam sam jeden, w ciemności, bez posłania. Ale przynajmniej można usiąść na

ziemi, plecami oprzeć się o ścianę, spocząć, czasami zasnąć; słowem: staje się to mniej straszném, niż chodzenie bez przerwy wzdłuż ścian, pochód wyczerpujący, ogłupiający, przy którym narazie, za każdym krokiem następuje wstrząśnienie w mózgu.

Sławna metoda kary, nieprawdaż? której pierwszym następstwem jest to, że dziecko już występnę, popycha do nowego wystętku.

Zesłany do izby karnej za to, że język pokazał dozorca, chłopiec niema innego sposobu, tylko pluć mu w twarz dla zasłużenia na karę znośniejszą.

Byłoby to komiczném, gdyby nie było okropném.

XI.

Klap! klap!... Klap! klap!... Na płytach izby karnéj klapią drewniane trepki, ciężko i rytmicznie. Jeden za drugim, trop w trop, ze trzydziestu osadników chodzi bez przerwy.

Ostatni w szeregu, Krystyan, nieco napadający na nogę, opóźnia się.

— Dalej, dalej! nie ociągać się, leniwczel! — woła na niego dozorca, siedzący pośrodku sali na stołku...

Chodzą precz, chodzą szkaradne dzieci.

Bo są one szkaradne. Oczy ich, bez blasku, wyglądają jak przepalone szyby. Każda, z tych twarzy zezwierzęconych przypomina jakieś zwierzę: nos barana, pyszczek kuny, ryj wieprza. Litujcie się nad niemi, piękni i ukształceni, którzy czytacie te wiersze; litujcie się nad brzydota tych biednych istot, i nad ich ogłupieniem. Kto temu winien?

Klap! klap!... Chodzą bez ustanku, i opadają z sił. Nogi im nabrzmiewają w drewniankach; uda ciężą jak ołów. Próżno wyciągają się, wyprostowują na złość, przez hunt przeciwko karze; nic nie pomoże: wycieńczenie wzdyma im mięśnie szyjowe —

chodzą. A w torturach jednostajnego pochodu Krystyan odbywa przegląd swęj niewoli, tak długiej już.

Widzi się małym, zaledwo dziewięcioletnim, kiedy przybył do Osady. I zaraz, wstrętem instynktowym, obmierźle wyglądają mu te długie budynki murowane, niemilosierńie symetryczne.

Lękiem go przejmuje krajobraz Płaskowzgórza: równina goła, bez końca, z ustawicznym wiatrem, na której tu i owdzie drgają chude gałązki karłowatych wiązów. Podobne to do zaczątkowych rysunków drzew i domów, jakie kreślił na marginesie swych kajetów szkolnych.

Ale wszedł do kancelaryi. Rozbierają go donaga, badają jak zwierzę, jak rzecz, ubierają w płócienną odzież numerowaną.

Aż ten, co zapisuje do księgi, nazywa go Krystyanem Forgeat. Dziwi się, przeczy:

— Ależ nie, ja się nazywam Aubry. Ojciec mój, cieśla, nazywał się Prosper Aubry.

Sekretarz, przerzuciwszy akta, zżyma ramionami:

— Nazywasz się Forgeat... Aubry, jest to nazwisko człowieka, który żył z twoją matką, i który ciebie już nie chce, rozumiesz? i który ma ku temu słuszne przyczyny, jak mnie się zdaje.

Dzieciak nie rozumie, w głowie mu się miesza.

Jakto? Ten złośnik, który z nim tak źle się obchodził, to nie ojciec jego? Tém lepiej; bo on go znienawidził.

Ale Krystyan zrozumie zbyt prędko; dowie się wkrótce, co to znaczy bękart... „Człowiek, który żył z mamą”, jest to frazes nadto często powtarzany w Osadzie.

O! nauczą tam i wielu innych małego Krzysia.

W jego młody umysł niedorośli kryminaliści nakładają mnóstwo brudów, z tą instynktowną do czystości nienawiścią, która sprawia, iż rekrut przymuszony kreśli wyrazy i szkice sprośne po czystych ścianach koszar. Pozna on bezceństwo tajemne, sekrety niecznych przyjaźni. A Krzys nie ma jeszcze dziesięciu lat!

Klap! klap!... Klap! klap!... Kołysany ciężkim rytmem drewniaków, Krystyan widzi się w kilka lat później leżącym na wygodnym łóżku w infirmeryi, z nogą unieruchomioną w gipsie i w łupkach. Ale teraz leży on w świeżej pościeli, należycie pielęgnowany. Łagodne ciepło ogarnia go, niby w kąpielu.

A przytem ktoś go teraz kocha, przychodzi często, by usiąść u jego wezglowia, patrzy nań dobrotliwie, mówi doń życzliwie.

To Szymon Benoit, nauczyciel w szkole Osady, suchotnik prawie bez głosu, który zaledwie dosiedzieć może w klassie, i którego przeznaczono do tych małych więźniów, jako wystarczającego dla nich.

Przed śmiercią, bo on czuje się umierającym, biedny ten młodzieniec chciałby uratować choć jedno z pośród tych dzieci siadających wobec niego na czarnych ławkach przez kilka dni w tygodniu, z pośród dzieci, które przejmują go strachem i litością.

Najsympatyczniejszym, najmniej zepsutym, którego oczy mają jeszcze połysk szczerości, jest ten mały Krystyan Forgeat. I umierający wybiera go sobie. Jakby dmuchając na niedogasły węgiel, roznieca on konające sumienie; z jakąż radością widzi w niem ożywiający się iskierki honoru i dobroci!

Oh! mały Krystyan nie zapomni nigdy oblicza tego

jedyne go swego przyjaciela, tój wątłej twarzy suchotniczej, żółtej i lśniacej jak wosk, nachylającej się nad nim przy książce otwartej. Zostanie on zawsze w pamięci nieszczęśliwego chłopca, z palcem chudym i drżącym z gorączki, wskazującym mu stronę, wiersz dobroczynny, słowo pocieszające z Ewangelii.

Klap! klap!... Klap! klap!.. Przechodzą w myśli Krystyana nieskończone lata nędzy i opuszczenia, od śmierci biednego nauczyciela. Wzgardzony przez *ćwików*, podejrzewany przez nich o lizusostwo i donosicielstwo, Krystyan nie ma też zaufania do innych, niby dobrych; bo zraża go cynizm i hypokryzja. Jakżeż długo wlecze się ta jego dziecięca niewola!

Tak rozmyśla i egzaltuje się biedny chłopczyzna, i zbierając już na przyszłe walki całą dobrą wolę, chodzi wciąż, z czołem schylonem, zbolalemi plecami, a nogi mu brzmieją i ocierają się w drewniakach. Klap! Klap!

Wtem otwierają się drzwi. Wchodzi nadzorca.

— Stój!... — komenderuje. — Wszystkie kary się zawieszają. Prędzój, obuć nowe trzewiki, i przywdziać mundur numer pierwszy... Sformuje się batalion... A żywo!

Cóż się to stało?... Coś niezwykłego?

Oto przybył jeden z mandarynów, Inspektor naczelny. Przybył niespodzianie w pięknym surducie, zdobnym w oslepiającą rozetę czerwoną.

W samą porę licho go nadało! Dziś Osada wygląda pod psem. Niebo listopadowe przy chmurach niskich i czarnych; błota jak na końskim targu; dzieci zabłocone do pasa a drżące w płóciennych bluzach; kuchnię czuć lojem o strzał karabinowy.

Bądźcie spokojni. Pan Dyrektor nie traci głowy. Czego najbardziej nie cierpi kapitan Caillou u cywilnych, to ich śmiesznej czułości. Ale kapitan Caillou jest na swoim miejscu, i nie popełni grubej niezręczności, aby miał zasmucać tego pedanta, który bądź co bądź jest jego zwierzchnikiem, widokami przykreimi.

Aby zasmarować brudy zakładu i przywrócić mu wygląd zgoła przyzwoity, ile potrzeba czasu? Pół godziny. Bo, dzięki Bogu, wszystko tu odbywa się pod ręką i pod okiem. Więc kapitan potrzebuje przez półgodziny tylko zająć czem naczelnego Inspektora; a to rzecz łatwa.

Zaledwie ważny jegomość wydobył się z powozu — ważny w każdym znaczeniu, nawet brzuchaty i nieco astmatyczny — aliści kapitan Caillou prowadzi go ceremonialnie do swego gabinetu, zagadując:

— A nasamprzód, panie Inspektorze, rachunkowość!

O! dyrektor Osady w tym punkcie żartów nie zna. Księgi jego są przejrzyste. Wszystkie wydatki zbillansowane prawie co do centyma. Wreszcie można sprawdzić.

I zaledwie mając czas odetchnąć, z głębokim „uff”, jegomość w pięknym surducie widzi się zainstalowanym niemal gwałtem przed rejestrami, wpośród mnóstwa assygnacyi, likwidacyi i kwitów.

W gruncie mało się on zna na tém i nie rozumie nic. Ale dla ocalenia sztandaru oprawia nos w okulary, czyta głośno kilka liczb, kontroluje jedną pozycyę w dodawaniu, i czasami wykrztusza „bardzo dobrze” głosem głębokim, z miną znawcy.

Wtedy, aby go olśnić, a zarazem dać czas

osadnikom do oskrobania się z błota, pan dyrektor skromnie podejmuje własną swą pochwałą:

— „Nigdy Osada nie była w stanie tak pomyślnym. Śmiertelność się zmniejszyła (Wierzę: wszystkie dzieci słabsze i źle zbudowane dawno powymierały). I zawsze jednakowa zgodność rolnictwa z enotą. Zbiór rzepy był wspaniały i ściśle odpowiada postępowi i podniesieniu się moralnemu u młodych więźniów.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — powtarza pan Inspektor naczelny, który w istocie posiada pierwszorzędną bas i mógłby znakomicie śpiewać role arcykapłanów.

Ale półgodziny jest to chwila dosyć długa; a kapitan wciąż zabawia gościa niewczesnego drobnostkami kredensowemi.

— A teraz — wyrzekł po utarciu nosa — niech mi pan Inspektor naczelny pozwoli okazać dwa dokumenty najwyższego znaczenia:

Pierwszym jest list poważnego ziemianina z departamentu, dziękujący panu Dyrektorowi osady Plateau za powierzenie mu, jako parobka, niejakiego Hipolita Maubué, chłopca piętnastoletniego, z oświadczeniem, że młody ten osadnik zasługuje tylko na pochwały. Nie powiada wprawdzie poważny ziemianin, że temu Hipolitowi Maubué daje zapłatę śmieszniejszą a żywi go prawie jak swoje prosięta.

Drugim dokumentem, w pełen nos uderzającym smrodem kłamstwa, jest kartka wybuchająca wdzięcznością wzmiankowanego osadnika dla swego dobroczyńcy, kapitana Caillou.

I kapitan ma wielką rację niezwłocznie okazywać te wiersze rozrzewniające, gdyż za trzy dni do-

wie się, iż tenże sam Hipolit uciekł od poważnego ziemianina, wyłamawszy szafę w pokoju sypialnym, i wykradłszy z niej wełnianą pończochę, napełnioną sztukami półfrankowemi.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — powtarza pan Inspektor.

Nawiasem mówiąc, nie! ten człowiek ma jakieś *fa*, które mu wychodzi z butów!... Zdaje się, że jesteś na operze, kiedy przywódca braminów śpiewa przed bożyszczem, wiesz, na pięć minut przed baletem.

Tymczasem półgodziny upłynęło.

— Jeżeli pan Inspektor życzy sobie rozpocząć wizytę? — przemawia kapitan.

Ależ on sobie życzy...

Rozumie się, pokazują mu tylko jeden lub dwa warsztaty: brzmiającą kuźnię (zawsze to sprawia dobry efekt), oraz pracownię szczotkarską — „bardzo się ona oplaca zarządowi, panie Inspektorze”, — gdzie może podziwiać niepospolitą pracę cierpliwości, wykonywaną przez jednego z młodych robotników, i portret naczelnika Państwa, zrobiony ze szczeciny.

— Bardzo ciekawa rzecz! — oświadcza grzmiący dygnitarz.

Naraz odzywa się muzyka wojskowa narzędzi miedzianych. Przyjemna niespodzianka! Rznie *Marsylianke*. I pan Inspektor naczelny, niebawem wprowadzony przez kapitana Caillou w główną aleję Osady, wydaje okrzyk podziwu przed batalionem młodych więźniów, prezentujących wobec niego broń z drewnianych strzelb.

— Stój, równaj się! — komenderuje kapitan całą mocą nieuleczalnej chrypki.

Boć parada młodych aresztantów, to jego tryumf, jego „danie zakryte”.

I, istotnie, przedstawieni tak, w kepi na uchu, opięci skórczanemi pasami, w nowych bluzach, w butach wyszuwaksowanych, wyglądają dobrze.

Pan Inspektor o dwadzieścia kroków nie może na twarzach dostrzedz występku i choroby, oczu nie-nawistnych, szczęk zwierzęcych, niezdrowych wysyppek i guzów skrofulicznych. Widziani zdala i w masie, są prawie przystojni. A jacy czyści! Jakgdyby ich kto wyjął z pudełka!...

Zawszeż to dzieci... kwiat!

— Bacność!... W kolumnę, bokiem prawym. Prosto!... Do góry!.. Na ramię broń!.. Prawo!.. Marsz!!.

Ruchy odbywają się z doskonałą precyzją. Bębny wała, fanfara trąb pogrzmiewa. Jest tam nawet jeden młody złodziej kieszonkowy, długi jak dzień bez chleba, który spełnia funkcję tamburmażora i wyprawia młynki grubą laską z gałką niklową.

I młoda dywizya defiluje strojnie, przechodzi tam i sam, zrazu kolumną, następnie oddziałami, i znowu ustawia się w batalion.

Na komendę „Stój!” zatrzymuje się przed panem Inspektorem naczelnym.

Gruby mandaryn wpada w podziw, w zachwytniema wątpliwości.

Pomyślcie tylko: odbyć przegląd wojska, a toż rzecz rzadka i pochlebna dla „szlafroka”. Lubo nie-ma on w sobie nic rycerskiego, ani wojskowego, „szlafrok” przez chwilę uważa się za generała, naczelnego wodza. Wzywa więc pana Dyrektora.

— Kapitanie — winszuję ci — wasi osadnicy manewrują jak weterani.

Tylko co, kiedy przechodziła chorągiew, pan Inspektor ukłonił się z przekonaniem, i mało brakowa-

lo — przypominając sobie *cesarza* w sztukach cyrkowych, jakie widywał w dzieciennych latach — mało brakowało, żeby sięgnął po niuch tabaki do kieszeni od kamizelki.

Kapitan Caillou może być spokojnym. Raport o Osadzie Plateau będzie pyszny. Tymczasem, w zakładzie muru Krystyan Forgeat, kulawy, który nie brał udziału w paradzie, spogląda na przechodzące oddziały, które dążą do swych baraków.

Zdala od pańskiego oka, nie przymuszają się teraz mali złoczyńcy, dzieci przekłete. Idą w nieporządku, rozgrzani ćwiczeniem, roznoszą woń dzikich zwierząt. Pomrukują półgłosem, rzucają słówkami gwary ulicznej, śmieją się karczemnie.

Krystyan widzi zbliżka swych towarzyszków nędzy i niesławy, i nigdy może nie wydali mu się tak przerażającymi jak dzisiaj.

Ale z jego przerażeniem łączy się dziwna litość, chwilami nawet jakiś pociąg.

On wie, ile ci nieszczęśni nazbierali w głębi serca nienawiści żółciowej, przepelniającego i wrzącego gniewu; wie, że później mścić się będą.

Krystyan ich tłómaczy; tyleż oni cierpią!

A czyż sam, męczony jak oni, przyjmując to z rezygnacją, nie staje się dobrowolną ofiarą, nikczemnikiem? Czyż nie więcej szcerości jest w ich cynizmie, więcej męstwa w ich krnąbrności?

Oh! jakżeż wątłym jest jeszcze załążek honoru i obowiązku, złożony przez Szymona Benoit w duszę tego biednego dziecka! A niema już tego przyjaciela, któryby mu powiedział:

— Bądź dobrej myśli!

Przed kilku godzinami w izbie karniej przysięgał

sobie, że dotrzyma słowa danego zmarłemu przyjacielowi, i wytrwa w dobrém. Ale teraz, widząc defilujących tych wszystkich nędzarzy, czuje się jakby przyciągniętym zgrozą z nich wychodzącą, jakby pijanym ich wyziewem; czuje straszną chęć rzucenia się w ich szeregi i w pochód z armią występku.

XII.

Podczas gdy nieszczęśliwy chłopiec dorastał w piekle Osady Plateau, co działo się z jego ojcem, owym Krystyanem Lescuyer, który, przez cześć dla tego, co świat nazywa honorowością, rozpoczął życie wykroczeniem przeciw honorowi?

Dziwcie się, zwolennicy niespodzianek! Krystyan nie był szczęśliwym. A przecież los niesprawiedliwy i kapryśny miał dlań zrazu same uśmiechy i łaski.

Za powrotem do Caen nowy doktor prawa zauważył koło siebie kilka ważnych zmian.

Na pierwszym miejscu, ponieważ pałac przy ulicy Karmelickiej stanowczo groził ruiną, przeto stary pan Lescuyer postanowił go odnowić z gruntu, i mieszkanie już nie było takie grobowe, jak przedtem.

Następnie, za pierwszą wizytą u pani Léger-Taburet, Krystyan zaledwie poznał pannę Kamillę, która niemal stała się piękną, a oczy jej natychmiast i wyraźnie powiedziały doń: „Byleś oczekiwany!”

Pod nieobecność syna, stary i kuty pan radca sądowy zrobił około tych pań to, co podczas „Con-

questes du Roy" (podbojów królewskich) robił marszałek Vauban około Maëstrichtu i Namuru. Kiedy Ludwik XIV przybywał w swych pojazdach, oblężenie było skończone, i jego królewskiej miłości pozostawało tylko wkroczyć do twierdzy w tryumfalnym pochodzie, przez wyłom.

Serce i posag panny Kamilli podano Krystyanowi Lescuyer, jak klucze od miasta na srebrnej tacy.

Ubierał się właśnie na ślub, szczęśliwy narzeczonny, i tylko co zmiął trzy białe krawaty, kiedy mu przywieziono pocztę poranną.

Pomiędzy wielu listami i kartami gratulacyjnymi odkrył jeden ubogi liścik, w kopercie ze sklepiku, którego adres nakreślony był pismem grubym i niezgrabnym. Znał on dobrze to pismo praczki; niegdyś sprawiało mu ono trochę bicia serca: było to pismo Pauliny.

Kwaciarka donosiła swemu kochankowi, iż szczęśliwie powiła syna, u akuszerki. Mały jest ciężki, ale ładny. Zapisano go w kancelaryi mera, a wkrótce ochrzczonym będzie pod imieniem Krystyana.

— „Ciebie to nie gniewa? — pisała — powiedz?”

Nie opowiadała więc, biedna dziewczyna, z natury nieśmiała, i wstydząc się swęj przeszłości; nie żądała niczego od dawnego kochanka, i pisząc, używała wyrażen prawie pokornych.

Ale na ten list niewczesny gniew uderzył do głowy młodzieńca.

— Cóż to ona myśli sobie, jako ja wierzę, iż jestem ojcem tego bachora? — mruknął nieuczciwie, list rzucając w ogień.

A w godzinę potem klękał obok panny Kamilli Letourneur, przed wielkim ołtarzem kościoła Ab-

baye-aux-Dames, w przytomności całego wyższego towarzystwa Kaeńskiego, wystrojonego do pieczenia, pod harmonijnym rykiem wielkich organów.

W tej samej zapewne godzinie Paulina, blada na łóżku, niespokojnie spoglądała na matkę Lagasę, układającą wróżebne karty na kołdrze jej, i uśmiechała się nadzieją, że Krystyan — niżnik dzwonkowy — niedługo da znać o sobie zakłopotanej przyjaciółce — damie czerwiennej — i zajmie się nowonarodzonym.

Ale niżnik dzwonkowy i królowa czerwienka już się więcej na tym świecie zobaczyć nie mieli.

Niżnik dzwonkowy mianowany został sędzią nadetatowym w Bayeux, i tam osiadł z młodą żoną.

Z urodzenia wół roboczy, Krystyan Lescuyer nie czekał nawet upływu miodowego miesiąca, ale się zaprzął do wielkiej roboty prawniczej. Odrazu zaskoczona stanem poważnym, pani Lescuyer obnosiła swą ciężą z ostentacją młodych matek, po zimnych salonach i posępnych ulicach małomiejskich.

— Młodzieniec poważny — mówili między sobą o Krystyianie kolledzy w trybunale.

— Dobrane małżeństwo — mówiły dobre panie.

Potem, w kilkotygodniowym odstępie, poumierali: stary radca i pani L. Taburet; a przy czytaniu wiadomości dziwiono się powszechnie, że byli tak starzy, prócz kilku starców, którzy zawołali:

— Jakto? Już!

Cała to była mowa pogrzebowa, lub mało co więcej.

Lecz młodzi małżonkowie odziedziczyli dwa znaczne majątki: i opinii publicznej stało się zadość. Albowiem opinia, jak wiadomo, zawsze ożywiona uczuciem sprawiedliwości, uważa, że cnota bez bo-

gactwa jest widokiem niemoralnym. Ona-by życzyła sobie, nie wątpię, tą miłościwą opinią, aby wszyscy rzecywi ludzie mieli renty, a cała kanalia pozostawała w nędzy. Na nieszczęście, często dzieje się naodwrot; więc opinia, dla ocalenia zasady, udaje, że nic nie widzi. Zamyka oczy na występki bogatych i cnoty nędzarzy, a tym sposobem wszystko się godzi.

Przyszłość więc uśmiechała się do młodego małżeństwa. Krystyan urzeczywistnił swój ideał życia poprawnego i nieskazitelnego.

Czasami, o! rzadko, miewał jeszcze lekkie ściśnienie serca, lekki smak żółci w ustach, na wspomnienie Pauliny, tej nieszczęśliwej przezeń opuszczonej. Ale to trwało krótko, jak te chmury letnie, które, przemykając przed słońcem, zaćmiewają je tylko na chwilę.

Nie nudził się nigdy: pracowici nudy nie znają. Miał szacunek wszystkich; żonę intelligentną, skromną i łagodną, którą kochał i która go uwielbiała.

Ale zawiele tego dobrego! Zabobonne przysłowie powiada, że gdy gmach skończony, wchodzi weń nieszczęście.

Ładna pani Lescuyer, tak dumna ze swego stanu, która bez gorsetu bywała na środach pani Prezydentowej, poroniła. Była to dla niej ciężka przykrość — którą podzieliło całe towarzystwo.

— Biedna kobietka! — mówiono — ona, która posiada wszystkie przymioty na dobrą matkę rodziny!

A co najsmutniejsza, to, że lekarz, seryo zapytany przez Krystyana po wypadku, złowieszco pokręcił głową i nakazał wszelkie środki ostrożności na wypadek powtórnej ciąży.

Ukazała się ona, ale po wielu miesiącach. A Krystyan chodził niespokojny, tembardziej, że młoda żona źle swój stan zносиła, była bardzo cierpiącą.

— Szanuj się pani, nie wychodź z domu, bądź ostrożną... My cię zwalniamy od wizyt — powtarzały wszystkie przyjaciółki.

Kamilla nie opuszczała już mieszkania, nie podnosiła rąk, strzegła się każdego ruchu, cały czas przepełzała, leżąc na szeslongu. Mąż śpiesznie do domu wracał po audyencyi, i zaraz od proga pytał niecierpliwie:

— Jakże się czujesz?

A tymczasem tam hen, daleko, na przedmieściu Temple, syn jego wychowywał się jak szczenię, biegał już po rynsztokach, a znienawidzony przez kochankę matki brał pierwsze policzki.

Rozwiązanie pani Lescuyer było tragiczne. Po szalonych bólach wydała wątłą dziewczynkę, ledwie dychającą — i umarła, nie mogąc się nawet uśmiechnąć do dziecka.

W przeddzień tego nieszczęścia Krystyan, już bardzo ceniony jako urzędnik i przedstawiony do awansu, otrzymał nominację na sędziego-substytuta w Caen.

Złowrogiem to było powracać wdowcowi do domu przy ulicy Karmelickiej, który po kilku latach znowu podniszczał.

Zawezwano znowu najbieglejszych w mieście lekarzy, aby orzekli o stanie biednej dziewczynki, nazwanej Maryą, którą przedstawiła im bujna mamka o ceglanej cerze. Lekarze nie bardzo ręczyli.

— Być może... przy nadzwyczajnych staraniach... ah! ciężka będzie przeprawa, aby ją wychować.

Krystyan Lescuyer był w rozpaczę. Pracować nawet już nie mógł. Zamknięty długimi godzinami w bibliotece ojcowskiej, zmuszał się do jakiejś ciężkiej roboty, zagłębiał się w stare księgi praw. Ale co chwila niedoli przypomnienie ogarniało go smutkiem niewymownym, i rzucał się na otwarty przed sobą foliał, z głową objętą rękoma, a ramiona trzęsły mu się od łkań.

Tylko gwałtowna rozterka mogła go uratować. I nadeszła.

Na pierwszą wieść o wypowiedzeniu wojny roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego, Krystyan zaciągnął się do wojska, nietyle przez patriotyzm, ile przez gwałtowną chęć działania, rozerwania myśli, a może nawet tajemnym party życzeniem znalezienia śmierci.

Służył w armii Loary, walczył jak człowiek pragnący umrzeć, ranny był dwa razy, a po wojnie mógł zasłużenie krzyż żołnierski zawiesić na swój sędziowskij todze.

Był, nie powiem, pocieszony, ale spokojniejszy. Zdrowie córeczki chwilowo mniej mu dawało powodów udręczenia. Wróciło mu nieco zamięłowania do pracy, z talentem opracował kilka spraw zawilych. Nareszcie czas dokonał dzieła swego.

Już niektórzy dobrzy przyjaciele, których miał w Pałacu Sprawiedliwości, napomykali mu o niedogodnościach samotności, zachęcali — tak poprostu z mostu — do powtórnego związku. Czemu nie poszuka sobie jakiejś dobrej panienki dwudziestopięcioletniej, nie bogatej — toż on sam bogatym jest za dwoje — któraby sobie za szczęście miała zostać matką dla Maryni?

I Krystyan niedalekim był od pójścia za tą radą. Tymczasem, pewnego wieczora, w Październiku,

po smutném przesiedzeniu u kolebki córki, u której odstawienie od piersi spowodziło nowe i niebezpieczne przesilenie, wrócił do biblioteki, bardziej znękanym niż kiedykolwiek. Dziecko nie było przeznaczone do życia: miał tego okropne przeczucie.

W mroku obszernej komnaty, wyłożonej tomami w ciemnych oprawach, gdzie lampa z przyciemką oświecała jedynie biurko, nieszczęśliwy doznał dreszczu.

Pozapalał nad kominkiem świece u dwóch kandelabrow, i naraz, przed twarzą odbitą w zwierciadle cofnął się krokiem, przerażony.

Boże mój! Jakież on był chudy, jak włosy jego posiwiały! Z temi grubemi brwiami — przerażające brwi Lescuyerów — istotnie podobnym był do nieboszczyka ojca, do tego twardego starca, którego nigdy pokonać nie mógł, i przed którym on zawsze, jako dziecię czy młodzieniec, ucuwał rodzaj trwogi. Wspomnienie to pogrążyło go w bolesną zadumę.

Często, już jako wdowiec, z odnowionym wyrzutem, myślał o Paulinie. Niestety! wszak on jedynie w obawie gniewu starego sędziego, przed ośmiu laty popełnił jedyny ciężki grzech żywota: opuścił tę biedną dziewczynę. Teraz, kiedy zmartwienie rozczuliło mu serce, bolał, że postąpił z nią źle i niegodziwie.

Kto wie, azali wszystkie nieszczęścia, jakie go dotknęły: śmierć żony, ponure wdowieństwo, udręczenia przy wezglowiu chorego dziecka, nie są za to pokutą?

Krystyan Lescuyer zachował poczucia religijne; wierzył w sprawiedliwość najwyższą. Zgrzeszywszy, powinien był ponieść karę: i ngiał się.

A tu przyjaciele radzą mu ożenić się powtórnie, odrobić szczęście!

Szczęście? Stał się niegodnym szczęścia; popełnił podłość. Bo brutalnie porzucił kobietę kochającą w stanie macierzyństwa — jest to, jak sobie chcecie, podłość!

Jako urzędnik państwowy, iluż on ludzi za winy mniejsze, jeśli nie wobec kodeksu, to wobec sumienia, pozbawił wolności, skazał na pohańbienie!

Ale co! Na dobrą sprawę, wszak można jeszcze uniknąć kary za grzech, jeśli nie minęła pora do zadosyćuczynienia. Gdyby ukląkł przed konfesyonałem, coby mu nakazał spowiednik? Nietylko odbyć pokutę, rozdawać jałmużny, modlić się; ale nadto odszukać ofiarę złego czynu i, o ile można, skutki jego nagrodzić.

Sprobuje zatem. Tak: oto jest obowiązek, oto postępowanie uczciwego człowieka. Odnajdzie więc tę kobietę i to dziecko — w jakiejże nędzy zapewne!... przyjdzie im z pomocą, okaże im, spóźnioną, ale szczerą, dobroć! Choćby nawet ten mały Krystyanek nie był jego dzieckiem, mniejsza o to. On się zajmie jego wychowaniem, udzieli mu opieki, postara się go pokochać, tak, pokocha go jak syna... A wtedy odzyska zapewne spokój serca, otrzyma przebaczenie, i z otuchą błagać będzie Boga dobroci, aby mu zachował córkę.

Kończył się Październik, a ferye sądowe dobiegały kresu. Ale Krystyan Lescuyer miał jeszcze tydzień przed sobą. Pokrzepiony tym ruchem szczerego żalu, z sercem rozgrzanem przez postanowienie uczciwe, wyjechał do Paryża.

Ale tu właśnie można w całej pełni zastosować przysłowie: szukaj igły w kupie siana. Krystyan

Lescuyer daremnie zbijał bruki: ani śladu kobiety i dziecka.

Chociaż zniszczył ostatni list Pauliny, coś mu się przypomniało, że pisała go u jakiejś akuszerki na ulicy Vaugirard. Ale matka Lagasse umarła przed dwoma laty, i substytut napróżno wypytywał wszystkie matrony téj dzielnicy.

Bez wielkiej nadziei udał się na ulicę Ulm, gdzie niegdyś mieszkała kwiaciarka. Dom był rozebrany.

Nareszcie odwołał się do policyi, gubił się po schodach *A* i po korytarzach *B* Prefektury. Najmniejszej wskazówki.

Albowiem wtedy właśnie Krzys, po stracie matki, jeszcze nie opuścił mieszkania cieśli, nosił nazwisko nie swoje, wkrótce miał zostać włóczęgą, następnie więźniem.

W półroku potem możeby mogli panu substytutowi Izby sądowej w Caen pokazać nazwisko Krystyana Forgeat na jakim rejestrze w aktach sądowych. Ale w tym czasie chłopiec trudniejszy był do odnalezienia, niż ptaszek w lesie. Wszelkie poszukiwania chybiły.

Bardzo zniechęcony, po tygodniu ciężkiej bieganiny, urzędnik musiał powrócić do zajęcia. Przed opuszczeniem jednak Paryża chciał się zobaczyć z Franciszkiem Donadieu.

Rzeźbiarz, który oddawna już ożenił się z Heloizą, a uznanym był już za mistrza, miał kilka zamówień, zarabiał na życie dostatnie.

W pracowni swój przy ulicy Flandres, pracował nad małym szkicem woskowym do posągu konnego, kiedy spostrzegł mężczyznę ubranego całkiem czarno, z ogromnemi brwiami siwemi, z fizyonomią ogromnie

smutną, i dopiero przy wielkim wysiłku pamięci poznał Krystyana.

Artysta wiedział o nieszczęściach dawnego kolegi, o śmierci żony i o lichém zdrowiu córeczki. Skoczył na szyję Krystyanowi, i przyjął go bardzo gorąco.

— Zostaniesz z nami na obiedzie — powiedział — Heloiza bardzo się ucieszy.

Mieli z godzinę przyjacielskiej pogadanki, z zapytaniem bez końca, siedząc obok siebie na ottomanie w pracowni; i Krystyan rozruszał się w tej serdecznej atmosferze.

Potem, gdy zapadł mrok, poszli pod rękę aż na ulicę Brea, gdzie mieszkał Donadieu. Obł mieszkanie prawie robotnicze. Rzeźbiarz, lubo już sławny, jeszcze klepał biedę.

W pokoju jadalnym, małym, ale wesoło ustrojonym malowanymi studyami i talerzami ze stariej porcelany rueńskiej, Heloiza, zawsze świeża zawsze piękna blondynka, tylko z przybraniem tuszy, przyrzadzała do stołu. Podała oba policzki gościowi, dodała czempredziej trzecie nakrycie i poszła po zupę.

Ale jak tylko razem zasiedli, kot barwy ruděj, potwornych rozmiarów, skoczył na obrus elastycznym susem, i bez żadnych dalekich ceremonii siadł na tylnych łapach obok talerza pani Donadieu.

— Aha, jesteś, wielki przyjacielu! Chodź tu i daj buzi! — zawołała gospodyni, nachylając się do kota i składając mu między uszy głośny pocałunek, który ten przyjął z najniewdzięczniejszą obojętnością.

— Nie gorsz się, panie substytucie — mówił rzeźbiarz. — Przedstawiam ci Mruka, który tu jest niby panem domu... No, widzisz, my tu żyjemy niekoniecznie według reguł świata urzędowego! ja też nie spełniłem wszystkich warunków etykiety, nimeś-

my usiedli do tój zupy z soczewicy... A przytem dekrety światowe nie przewidziały miejsca dla kota przy towarzyskim obiedzie. Lecz gospodyni nie strawiłaby obiadu, gdyby Mruk nie przyjmował w nim udziału przy jój talerzu... Cóż chcesz? Jak kto nie ma dzieci, to się pieści i z kotem.

Podczas całego obiadu Donadieu, uszczęśliwiony z zobaczenia przyjaciela, był najzabawniej wesołym, i prawil rozmaite pustoty, które sprowadziły uśmiech na smutne usta Krystyana.

Krystyan pożegnał przyjaciół, zachwycony widokiem tój doskonale zjednoczonej pary, tём gospodarstwem artysty, obyczajami pełnemi dobroduszości i prostoty.

— „Jaki ten Donadieu szczęśliwy!” — myślał z westchnieniem żalu i zazdrości, w wagonie, który odwoził go do Caen. — „Ab! ci dobrze robią, co przyjmują życie tak, jak ono idzie, nie poświęcając nic bieżącym przesądom, wszystkim głupstwom towarzyskim!... Ze mną zaś rzecz już skończona... Nie zdołałem naprawić występku młodości, i muszę żyć z tym ciężarem na sumieniu.

Wrócił do domu, zamknął się w swém smutném mieszkaniu. Pograżył się w obowiązek i naukę. Córeczka jego, zawsze bardzo wątła, podrasła jednak, wychowywała się przy nim, w ręku służących.

I tak upływały monotonne lata.

Otoczony szacunkiem i współczuciem wszystkich za swą prawość, naukę, wdowią wierność, troski ojcowskie, pan Krystyan Lescuyer głośnym był jako pierwszorzędny urzędnik. Mianowany na miejscu prokuratorem Rzeczypospolitej, widział otwartą przed sobą piękną przyszłość. Ale nie miał on pragnień

Zentna Galag

ambitnych, a w pracy szukał tylko opium dla uśmierzania nieuleczalnego smutku.

Z czasem wyrzut złego postępku zużył się nieco, mniej go udręczał. Jednakże, wieczorami, przy pracy samotnej, kiedy znużony składał pióro i puścił myśl luzem, przychodziło mu niekiedy do głowy nagle i ostro, że bawi gdzieś na świecie dziecko bez ojca, chłopiec opuszczony, nieprawego urodzenia, który go przeklina.

Wtedy tego nieszczęśliwego człowieka chwycił za gardło ból piekielny. Słyszał w piersi swój serce, serce zbolełe, bijące uderzeniem głuchém i regularném.

Kto wie: azali nie było to echo kroków młodego więźnia, który tam, w Osadzie, maszerował w ciężkich drewniakach, całemi godzinami, naokoło izby karnéj...

XIII.

Było to około godziny szóstej wieczorem, ku końcowi sierpnia.

Przez całe popołudnie trwał upał nieznośny, lubo kanikularne słońce nie wychyliło się przez cały dzień, zasłonięte białymi obłokami.

Nadbrzeże zegarowe w Paryżu, bardzo wąskie, idące wzdłuż najdawniejszej części Pałacu Sprawiedliwości, było prawie zupełnie puste. Stał tam tylko w tej chwili szyldwach przed oknem *Conciergerie*, i ktoś, oparty o parapet bulwarku, z brodą w obu rękach, przyglądający się przepływającej Sekwanie.

W tej części nadbrzeży Paryża niema przystani, i mur bulwarku pada prostopadle w rzekę, która go obmywa, a tu węższa niż gdziebądźindziej, staje się nader gwałtowną. Miejsce istotnie zwłaszcza dla małych statków niebezpieczne, pełne wirów. Dobry nawet pływak naraziłby się tu bardzo.

Gdyby ten człowiek, tak uparcie wpatrujący się w prąd rzeki bystry i jakby zły, zamierzał się utopić, podatniejszego nie znalazłby miejsca.

Był on młody, sądząc z wysmukłej kibici tudzież włosów obfitych i falujących, okrytych lichym kape-

luszem słomianym. Bardzo skromny „komplet” szary, oddawna spłowiały, zużyty, świecił nitkami. Ale ręce czyste, bielizna schludna, buty wyczyszczone, wszystko okazywało biedaka, który się nie zaniedbuje, walczy jeszcze, usiłuje wyglądać jakkolwiek.

Nagle, lecz z wysiłkiem, i jakby wyrывая się z tego zapatrzenia w rzekę, młodzieniec wyprostował się i zrobił kilka kroków ku Pont-Neuf, utykając nieco. Twarz jego o rysach delikatnych, ale blada i zapadła, twarz, wśród której świeciły czarne oczy, osłonięne gęstą brwią, wyrażała utrapienie moralne.

Rzucił ponure wejrzenie na stare wieże Pałacu Sprawiedliwości; następnie, czy to ze znużenia, czy że widok rzeki wywierał nań tajemniczy wpływ, znowu się wsparł na kamiennym parapecie bulwarku, z głową w rękach, i pozostał w tej udręczonej postawie.

Nieszczęśliwy ten, zrozpaczony, to nie kto inny tylko Krystyan Forgeat, były więzień, uwolniony według prawa, po dojściu do pełnoletności, który od czterech już lat wiódł nędzny żywot na bruku Paryskim.

Przy wyjściu z Osady mniemał, że otrzyma tylko należność swą, zebraną za cały czas roboty: zaledwie sto franków, bo tyle wszystkiego zarobił łączeniem szczeciny z drzewcem, chociaż ceny szczotek i zgrzebeł nie zmniejszały się ani o grosz.

Ale i w tej stanowczej chwili dobroczynną dłoń okazała się pamięć Szymona Benoit. Przed śmiercią biedny nauczyciel wybranemu uczniowi zapisał wszystkie swe oszczędności, dwadzieścia luidorów, a nadto zegarek, ciężką cebulę złotą starego kształtu,

z którą, według wyrażenia w testamencie, nigdy młodzieniec miał się nie rozstawać.

Krystyan doszedł do pełnoletności; zarząd tedy wręczył mu summę i zegarek. Szczęśliwszy od swych nędznych towarzyszków, nie był przy wyrzuceniu go za bramę zupełnie goły i bez środków.

Na ławce wagonu trzeciej klasy, który go wiódł do Paryża, Krystyan Forgeat, z rękoma na piersiach skrzyżowanemi, zamknąwszy oczy, aby nie rozrywało jego rozmyślań, układał zamiary na przyszłość.

Przy opuszczeniu Osady dano mu adres majstra, u którego miał znaleźć robotę; a była to łaska udzielana wychowawcowi dobremu, „piecuchowi.”

Ale on czuł się niesprawnym w tém rzemiośle, zgóry skazanym na lichą zapłatę.

Przytem wstręt miał do wyjawienia swego piętna, do przedstawienia się w charakterze uwolnionego więźnia. Ambicya jego zmierzała wyżej.

Niegdyś, pod kierunkiem i przy zachęcie Szymona Benoit, nietylko doskonale ukończył kurs szkoły początkowej, ale nadto czytał dużo książek pożytecznych, nieco nauczył się myśleć.

Z pieniędzmi, jakie miał w kieszeni, mogąc przeczekać, zamyślał postarać się o jaką posadę w biurze, urządzić sobie życie mniej brutalne od robotniczego, oddalić się zwłaszcza od środowiska, w którym mógłby spotkać swych strasznych towarzyszków, gdzie prześladowała go przeszłość. Tak, chciałby spróbować. Nieboszczyk nauczyciel sto razy dawał mu tę radę.

Nasamprzód kupiłby sobie przyzwoitą odzież, pilnowałby swój mowy zarywającej czasami na gwarę; w staraniach swych podawałby się za mło-

dzieńca przybyłego z prowincyi, aby szukać szczęścia w Paryżu, na równi z innymi; w początku poprzestałby na najskromniejszym wynagrodzeniu.

Mój Boże! Od czego to zależą najlepsze postanowienia!

Niezgrabny, lichy wyglądający w tój ubogiej odzieży „pańskiej”, która go uciskała, Krystyan, bez listów polecających, bez stosunków, od pierwszego kroku napotkał wszędzie przyjęcie zimne, nieufne:

— Zkąd przybywasz? Gdzie bawiłeś poprzednio? Co umiesz?

Na takie pytania, stawiane żywo, szorstko, odpowiadał słowy zajakliwemi, w których znów było kłamstwo.

W chwili, gdy po daremnych pochodach i próbach, resztkami już gonił i gdy sroga przyszłość zaglądała mu w oczy, zdarzył się przecie Krystyanowi zarobek: przyjęto go za sprzedawcę do bazaru urzędowego czasowo na dolném piętrze dopiero budującego się domu.

Ale nie miał on ani ruchawości kupieckiej, ani tego gardła do ustawicznego okrzykiwania:

— Panowie!... panie!... wyprzedaj niżej kosztu!.. proszę, za heczen!... i t. d.

Dwaj towarzysze, pełni doświadczenia, wzięli go na fundusz, przedrzeźniali, nazywali „kuternogą” z powodu kalectwa. Po dwóch tygodniach odprawiono go ztamtąd.

Nie lepiej mu się powiodło przy kilku innych próbach, a wtedy zaznał czarnej nędzy. Co rano, zagrożony wyrzuceniem przez dzierżawcę nędznego zajazdu przy ulicy Grégoire-deTours, gdzie sypiał jedynie na poddaszu, za przedziałem, Krystyan wychodził na zwiady i daremnie poszukiwał pracy.

Złamany koniecznością, udał się do majstra z adresem od Osady. Grubiański ryfa przyjął go bardzo źle.

— Mój chłopcze, trzeba było przyjść wtedy, kiedy ci kazano. Teraz minęła pora targowa. I kto tam wie, co robiłeś przez te trzy miesiące, zbijając bruki paryskie? Mam wreszcie dosyć już tych przybłądów z Osad.

Wszędzie, gdzie zaszedł, jednakowa odpowiedź:

— Niema roboty.

Krystyan oszczędzał ostatnich franków zostających mu w kieszeni, żywił się tylko chlebem i trochę wędzonki. Pomimo jednak całej nędzy nie chciał się przeciwieć ostatniej woli Szymona Benoit i miał zawsze cebulę złotą. Było to dla niego rodzaj talizmanu. Co wieczór, kładąc się na tapczanie, brał zegarek do ręki, bystro się w niego wpatrywał, przysłuchiwał się chodowi. Zdawało mu się, że w tej kruszcowej puszcze jest coś jeszcze żyjącego z osoby zmarłego przyjaciela. Nie, to żyjątko nie umarło! Żyjątko czyli przyrzeczenie pozostania uczciwym człowiekiem, jakie uczynił biednemu nauczycielowi.

Pewnego zimowego wieczora, około godziny siódmej, Krystyan Forgeat zupełnie już pozbawiony środków, wolnym krokiem szedł wzdłuż kraty otaczającej skwer wieży Świętego Jakóba.

W kieszeni ani centa! Zkąd wziąć pieniędzy dla dzierżawcy hotelu, któremu teraz płacił za każdą noc zgóry? I trzebaż parę groszy na posiłek. W południe zjadł jedną bułeczkę. Głód orał mu wewnętrznosci. Co robić?

Nagle, kiedy przechodził pod latarnią gazową, zatrzymał się przed nim jakiś człowiek, stanął zdziwiony i zawołał:

— Patrzcie! to kulas!

Krystyan drgnął. „Kulas” było to jego przezwisko w Osadzie. Z kolei spojrzął na wyzywającego, poznał go odrazu i rzekł:

— Aba! Taraban!

Spotkanie to nie podobało się Krystyanowi. Dołąd szczęśliwie udawało mu się nie napotykać na drodze dawnych towarzyszków: trzebaż, aby teraz zetknął się z jednym z najgorszych.

Mahurel, zwany Tarabanem, ztąd, że w orkiestrze Osady — w tój, która grała przed panem Inspekto-rem — młody, ten osadnik pałką uderzał w cylinder z osłój skóry, Mahurel pochodził z rodziny złoczyńców i niegdys, na Płaskowzgórzu, używał szczególniejszego zachowania jako wnuk skazanego na śmierć. Nie każdemu dano mieć w liczbie przodków gilotynowanego. Jest to arystokracja kryminału.

Krystyan nie był z tój samój pracowni, co Mahurel i mało go znał. Pamiętał jednak, Tarabana jako skończone bydlę.

Życie na swobodzie niebardzo jakoś wydoskona- liło dawnego osadnika. W podartym kaftanie i w czapce marynarskiej z płaskim daszkiem, Mahurel „markował” źle, jak mówią na przedmieściach; a j jego barania głowa z przyplaszczonym nosem i okrągłemi oczyma, odznaczała się nade wszystko cerą ziemistą, właściwą raczej dla kartofli w mundurach niż dla młodzieńca pierwszy raz wstępującego w świat.

Od stóp do głów obejrzawszy Krystyana, który mimo swój nędzy jeszcze dość porządnie wyglądał, odezwał się:

— Daj go dyablul... Komplet, bielizna, szyk...

Czyś capnął sukcesyę, czy co?... To fundujesz półkwaterek?

Instynktownie, jakby nagle porwany wstecz przez szpetną przeszłość, Krystyan odpowiedział sucho, ale również gwarą:

— Bałamucisz, mój stary... Ani okrągłaka.

Taraban rozśmiał się głupkowato.

— Ani okrągłaka... Na chorobę się zdało być poważnym jak obraz w Osadzie, i wychodzić z niej z kartą numer pierwszy?... Ni przypiął, ni przyłatał, kiedy i „piecuchy” palce liżą.

— Bodajem tak zdrów był! — odparł Krystyan, czując potrzebę wyżalenia się jak wszyscy nieszczęśliwi — od południa nie w jadacze.

— A no! — rzekł Taraban z podejrzeniem politowania w grzechotce głosowej — syn mojego papy także nie w złocie się kąpie, ale może podeprze swojaka. Wal ze mną do Châtelet... Troszkę ty pedalem pociągasz; ale ja dobrze jestem z tatusiem Ernestem, głową figurantów. On ciebie szczyplnie, i dostaniemy obaj po pół franusia... A jutro ta sama sztuka, jeżeli zechcesz?... Dobrze?

Pół franka! Będzie czém zapłacić hotel i nie umrzeć z głodu! Nie pora była robić ceregiele.

— Jużciż spodziewam się, że dobrze. Dziękuję ci, Tarabanie.

W pięć minut potem, Krystyan i Taraban, w dziedzińcu za teatrem, złączyli się z gromadą uliczników w bluzach i lachmanach, między którymi wkrótce odbył przegląd stary jegomość, z wąsami żołnierza-rolnika, właśnie sam pan Ernest we własnej osobie.

— Cóż to, teraz mi sprowadzasz kulawych? — odezwał się, gdy mu Taraban przedstawiał przyjaciela.—To tak, mądrała, nadużywa tego, iż nieco zna

wystawę sztuki, by ściągać swych protegowanych.... Szczęście, że mam tam jeszcze kilku przystojnych, co będą wyobrażali wielkich panów... Co do tego smyka, widzisz, on za ledwie przyda się do „ludu”. A trąć go tam łokciem, rozumiesz, w końcu „trzeciego”, aby gadał z innymi: „Śmierć Conciniemu!” A zapłata, wiecie, przy końcu widowiska... Hop! ubierać się!

Pomiędzy dwoma „czarodziejstwami” teatr Châtelet dawał stare „melo” w rodzaju historycznym, którego treść rozwijała się około śmierci marszałka d’Ancre.

W izbie figurantów, odrażającej nawet dla dawnego więźnia, Krystyan przywdział zrobaczalę kostyum, a prowadzony przez Tarabana, jako tako wyobrażał ludowca, w tłumie, który w ciągu sztuki krzyczał: „niech żyje król!”, przy wyjściu młodego Ludwika XIII, lub pokazywał pięść faworytowi Regencyi.

Nieszczęsny Krystyan doznał wrażenia takiego, jak gdyby poszedł w dawną kałużę; gdyż pośród smyków, z którymi go zmieszano, odnajdywał fizyognomie i wyrażenia zanadto znane po więzieniach.

Przy końcu „trzeciego”, pan Ernest, prowadzący chóry, wmieszał się tam do bandy komparsów.

— Baczność na wejście królowej-matki — mówił, popychając ich na scenę...—A trzymać *ansambl!* rozumiecie, chłopcy?... „Precz z Włochem! Śmierć Conciniemu!”

Znieważana w ten sposób aktorka, niegdyś piękna kobieta w typie Junony, miała teraz powaby mamki, a wystrojona była jak obrazek jarmarczny.

Nachylając się ku kabotynowi, idącemu obok niej, mówiła ona do niego półgłosem, to jest bardzo

głośno, z urzędowem tremolo, i tak, aby ją słyszano na ostatnich ławkach paradyżu:

— Ab, panie marszałku, ten lud ciebie nienawidził!

Przy tych słowach Taraban takiej informacji udzielił do ucha Krystyanowi:

— Jest to, widzisz, pani Armand... Ta, co to była tak piękną jeszcze za czasów hiszpańskiej bródki... A wiesz co, jej klejnoty — wszystkie akuratanne; nic tam na szkło.... Wgap-no się w ten naszyjnik, w te kolczyki... Powiadają, że ona ma tego na dwakroć sto tysięcy białych... No! no! a teraz „Kulasiu”, uważaj! Jeżeli chcesz, żeby cię *ganżowano* na jutro, nie szczędź gardła, rycz: „Śmierć Conciniemu!”

Krystyan otrzymał półfranka; a nazajutrz i dni następnych, mimo wstrętu do nowego rzemiosła, ażeby zapłacić nocleg i obiad, złożony z dwóch płaskich kielbasek położonych na kromce chleba, przyczyniał się buntowniczymi okrzykami do powodzenia konspiracji politycznej, która oczyszczała Francję z intrygantów włoskich i pomścić miała śmierć nieboszczyka króla.

Ale pewnego wieczora, podczas wypłaty, obok pana Ernesta spostrzegł grubego mężczyznę w surducie *à la papa*, który gwałtownie potrzebował swęj czerwonej wstążeczki w dziurce od guzika, aby nie być wziętym za handlującego kontramarkami.

Nazwisko jego zaraz się rozbiegło wśród figurantów, w szmerze niespokojnym i lęklwym.

— Pan Maudit, komissarz policyi śledczej...

— I cóż ztąd? — warczał pociechu Taraban. — Czego chce od nas znowu ten balwan? Czy to nasza wina, że pani Armand zgubiła swój kolczyk?

Podczas kiedy figuranci deflowali przed panem

Ernestem dla przyjęcia zapłaty, pan Manduit patrzył w same oczy każdemu z nich, z baczną uwagą psa myśliwskiego; a po Krystyanie aż dreszcz przeszedł pod bystrym i ciężkim wzrokiem policyanta.

Jednakże wypłata odbyła się bez żadnego wypadku.

Ale nazajutrz rano, wychodząc ze swój nory przy ulicy Grégoire-de-Tours, zdziwił się Krystyan, spostrzegłszy Mahurela, który czatował na niego, chodząc po przeciwległym trotuarze.

— Słuchaj-no, Kulasio — począł Taraban zdający się być niespokojnym i uradowanym — i odpowiadaj mi otwarcie. Wszak ja się nie mylę? Ty nie jesteś zdolnym zdradzić kollegi, cokolwiek-by on popelniał.. starego druba, który dał ci możność przeżycia tygodnia czasu? he?..

— Możesz być pewnym — odparł Krystyan — byłaby to niewdzięczność.

— Oto cała rzecz — podjął Mahurel. — To ja znalazłem wczoraj wieczorem koleczyk pani Armand. Oh! nie „świsnąłem” go, daję ci słowo!... Podniosłem z ziemi, w kulisie... Nikt mnie nie widział... Same brylanty prawdziwe!... Wart on może dwa albo trzy papiery po tysiąc... To ci miałem los, jak nigdy jeszcze, nieprawdaż?... Ot, będzie sobie teraz za co pohulać!... I to razem, my obaj. Ja funduję!

Na to wyznanie, wzburzyło się wszystko, co jeszcze było uczciwego w duszy Krystyana Forgeat. Tego znieść on nie mógł; odparł też Mahurełowi:

— Uważaj, koleczyk nie twój... Lepiej go oddać; otrzymasz nagrodę.

Ale Taraban spojrział na towarzysza oczyma wyłupionemi zdziwieniem.

— Oddać! — szepnął z głuchym gniewem. —

Oddać! Ażeby pani Armand weisnęła mi luidora, mówiąc: „Dziękuję ci, mój chłopczel!” Doprawdy, nie myślałem, żeś ty taki głupi. Nie; ależ popatrz na mnie, proszę. Czy ja wyglądam jak ten „Uczciwy woźnica”, którego pokazują na wystawach, z biczem w ręku, jak przynosi passażerowi pugillares zapomniany w jego dryndzie?... Ej, mój stary! ja nie ukradłem tego cacka, powiadam ci. Co spada do rowu, to własność żołnierza... Powiedz prawdę: przed tygodniem, kiedyś przechadzał się bez grosza w kieszeni, gdybyś znalazł luidora na chodniku, czybyś go odniósł do cyrkułu? A mógłby go nawet zgubić jakiś chudziak, coby mu dyable zaszło za skórę... Ale pani Armand! Stara kokotka, która wyhuštała sobie konie, powóz, i wille w Lasku Bulońskim, w godzinach pozascenicznych, i ma całą skrzynkę klejnotów, którą jój garderobiana przynosi co wieczór do teatru!... I ja to mam być tak głupim, abym jój odnosił jeden koleczyk za kiepski napiwek, i za tę przyjemność, jaką mi sprawi stara facetka, winszując mi cnoty! Nie szalój téż, mój zacny młodzieńcze!... Ty wiesz, nagroda Montyoua to piękność nie w moim guście... A przytem, w imię wszystkich piekieł! byłoby to już zanadto niesprawiedliwém, aby, koniec końców, zdychający z głodu nie mieli téż od czasu do czasu jakiej gratki!

Od dawnych lat Krystyan Forgeat nawykł był do słuchania podobnych zdań. Była to mowa pierwszego jego towarzysza włóczęgostwa, małego Natola, kiedy ściągnął garstkę śliwek przy drzwiach sklepowych. Tak samo rozprawiali prawie wszyscy osadnicy w Plateau, tak doskonale jednak umoralnieni przez mustrę plutonową i uprawę buraków.

— Wreszcie, rób jak chcesz — ostatecznie ode-

zwał się do Mahurela, zzymając ramionami. — Nie moja rzecz prawić ci morały, ale wiesz, że tajemnica zostanie między nami. Lecz, naprawdę, powiedz, dlaczegoś z tém zwierzył się mnie?

— Oj! niewdzięczniku! — odparł Taraban. — Spada mi trochę leguminy. Grzecznie zapraszam jegomościa na pohulanę; boć przecież człowiek nie jest sobkiem: niemilo używać świata samemu... A oto co jegomość ma mnie do powiedzenia.

Ale Krystyan nie dowierzał, zimnym był na wybuch serdeczności ze strony Mahurela, który nareszcie dodał z pewną nieśmiałością, z wejrzeniem skośnym:

— Przytem... grajmy na otwarte... To prawda, ty możesz mi wyświadczyć przysługę... Ja posiadam to cacko, dobrze! Ale jak je przetopić na monetę?... Zastawić w lombardzie? Nie, podejrzanoby... Pozostaje tylko pan Soldmayer, handlarz rupieci na ulicy Cadet. Oh! ten zawsze gotów kupić cobądz, nie pytając z kąd pochodzi; ale też to złodziej, ten brudny żyd...

Tu głos przyciszył Taraban i mówił dalej:

— Jużem ja z nim zrobił kilka interesów... Oh! głupstwa — drobiazgi... które „znajdowałem”. On gotów mi dać dwieście franków za koleczyk, który wart może piętnaście razy tyle. Wie, że ja się na tém nie znam... Wtedy powiedziałem sobie...

Krystyan wyciągnął uszy; Taraban ciągnął wahajaco:

— Ale ty mnie za to może palniesz... Powiedziałem sobie: z Kulasem to-by poszło jak po maśle... Trochę przybrany, nieźle wygląda... Zaprowadziłbym cię do żyda, jako młodzieńca, którego dobra przyjaciółka zobowiązała do spieniężenia. Pas-

ser-by uwierzył lub uławał, że wierzy... W każdym razie pomyślałby: — „Ten nie jest takim niewiniątkiem jak Taraban; on się umie nosić, i mniej więcej zna cenę brylantów”. I wtryniłby nam niezawodnie jakie może tysiąc franków, z których dałbym tobie część trzecią. Jabym sobie zaraz kupił komplet na tandecie, aby być z szykiem jak ty; i poszlibyśmy do garkuchni w Courtille, na obiad z butelką „pieczętowanego”; a wieczór zakończylibyśmy na balu Favier, gdzieby można umieścić serce aż do jutra rana..

Kroplisty pot ocierał Krystyan na ostatnie słowa Tarabana, który kończył:

— Ale jegomość masz skrupuły, i aby nie splamić białości swoich gronostajów, on spokojnie odepchnie towarzysza w kłopotcie, kolegę, który, bądź co bądź, od tygodnia nie pozwolił mu jadać obiadu z pamięci i nocować pod gwiazdą... Odmówisz mi, jestem pewny... Owóż, odmawiając, będziesz taką samą kanalią, jak ci wszyscy panowie surdutowi, i taką samą świnią, jak ci wszyscy uczciwi ludzie!

Podczas ohydnej gadaniny Mahurela odbywała się walka w sercu Krystyana.

Oh! on doskonale zrozumiał, czego od niego żąda towarzysz.

Chodziło o to, ażeby stać się niejako współnikiem kradzieży, pomódz sprzedać jój produkt passerowi.

Ale w Osadzie, pomiędzy dziećmi armii potępienia, ściśle przestrzegane było hasło, iżby w żadnym razie nie opuszczać przyjaciela. Jakkolwiek znieprawioną jest młodość, zawsze na dnie jój leży nieco szlachetności.

Krystyan zachował ten skrupuł, ten punkt honoru więzienny. Nie czuł się uprawnionym do odmó-

wienia temu nędznikowi, który go w krytycznym położeniu zobowiązał; tembardziej, iż przysługa, której teraz od niego żądał, była kompromitującą i niebezpieczną.

— Niech i tak będzie — rzekł prędko. — Zrobię czego żądasz. Chodźmy do twego żyda.

— Wiwat! — krzyknął radośnie Taraban. — Ot właśnie nadjedzie omnibus, jakiego nam potrzeba. Zostało mi dziesięć soldów. Płacę za miejsce na górze.

W półgodziny potem zstępowali na przedmieściu Montmartre, w pełnym zgiełku rannym, a na rogu ulicy Cadet Mahurel wskazał towarzyszowi ciasny sklepik, mówiąc:

— To tam.

Była to klasyczna jaskinia handlarza strojów galonowanych, ze swym malowniczym nieporządkiem i nęcącą tajemniczością. Pomiedzy ubiorami, wiszącymi po obu stronach drzwi, znajdowały się: frak z poczerwieniałymi złoceniami, który, na plecach dyplomaty, paradował niegdyś na dworach; tudzież spencer huzarski, którego dawny właściciel musiał zapewne teraz przejść do kompanii karniej za sprzedaż mundurów wojskowych.

Mundur z zielonemi palmami stanowił jedyny ślad nieśmiertelności, pozostawiony przez zmarłego akademika; a wielka trąba myśliwska wywoływała polowanie konne, daleką fanfarę, nawołującą strzelców, mgłę jesiennego lasu, czwał czerwonych kurtek.

W witrynie, pośród koronek i starych guzików, kilka przedmiotów melancholijnych: miniatury sprzedane za wartość złotych ramek, srebrny flet, krzyże wojskowe ze spłowiałą wstążeczką — zawierały całe poematy nędzy.

Pospolity jednak ten zbiór mieścił jeden zakątek niepospolitej oryginalności. Błyszczały tam, ochronione przez rodzaj szklanej skrzynki, dość piękne stroje; a na etykietce każdego cena, względnie bardzo mała, miała wszędzie u spodu napis: „Spособność”.

— Chodźmyż tam! — powiedział Mahurel do towarzysza, popychając go przed sobą.

I, w półmroku, za kontuarem, Krystyan zobaczył świecącą łysinę. Był tam Soldmayer, który kawałkiem flaneli czyścił grubą bransoletę.

Na widok dwóch gości, żywo schował bransoletę do szuflady, wstał i podszedł na ich spotkanie.

Ani z miny, ani z niechlujnej odzieży, nie wyglądał on na tandeciarza. Był to sobie żydek małego gatunku, tłuściutki, skrofaliczno-blady, około czterdziestoletni, z bardzo czarnymi faworytami i czaszką jak kula bilardowa; ale mający piękną bieliznę, poprawnie ubrany w komplet dobrze skrojony, i pretensjonalnie strojny w gruby łańcuch u kamizelki, w brylant u krawata i w złoty binokl na siedłowatym nosie.

Wcale-by nieźle figurował między filarami Giełdy.

— A! to ty, Tarabanie — rzekł głosem szeplejącym, podejrzliwie spojrzawszy na dwóch towarzyszów. — Ale tamtego ja nie znam. Co was tu sprowadza?

Nie wymieniając nazwiska Krystyana, Mahurel wygłosił starą bajeczkę, językiem ulicznym.

— Jest to młodzieniec, do którego zaatakowała kobieta szykowna.... Oh! kokota z przednich ław, na stajni u księcia... Wszystko, co zarobi, oddaje Kulasowi... Kocha go dla niego samego, jak sobie chcesz!... Na ten raz koleżyk... Brylanty wspinał!...

Lecz Soldmayer przerwał mu śmiechem gęstym:

— Ta pani przyszłaby sama... Mniejsza o to. Pokażcie przedmiot, a ja dam wam cenę... rozumie się, przyzwoitą... Tylko nie zapominaj o naszej umowie: po interesie, ja nie znam cię już wcale, ani tego drugiego.

Krystyan, któremu Mahurel powierzył kolczyk zawinięty w kawałek papieru, wydobył go z kieszeni od kamizelki i oddał żydowi. Pot wstydu oblewał mu skórę od stóp do głów. Jego uległość w tej sprawie wydała mu się teraz bardzo występna, przejmowała go zgrozą.

Soldmayer podszedł ku witrynie, aby lepiej się przyjrzeć. Przez dwie długie minuty obracał kolczyk, bacznie przyglądał się brylantom, z których tryskały ognie.

Potem, głosem ociężałym wymówił cyfrę:

— Trzysta.

Taraban się zachnął.

— Stary, drwisz! — zawołał. — Mówisz to na kpiny, prawda?... Ale to nie ze mną sprawa, tylko z Kulasem... On się na cenach zna... Nieprawdaż, Kulasie?... Trzysta białych!... To w takim razie niema o czém gadać... Pół obrotu w tył, i ruszajmy „do cioci!”.

— Ej! w lombardzie, moje baranki — odezwał się żyd tonem stanowczym — trzeba okazać papiero, podawać adresy... Wy nie pójdziecie... Ale jam człowiek zgodny: pójdę do dwudziestu napoleon-dorów.

Wtedy między złodziejem a passerem nastąpił nudny i haniebny targ. Na cyfrę tysiąca franków, zaryzykowaną przez Mahurela, żyd buchnął śmiechem od samego brzucha. Łobuz począł rozwijać całą swą

wymowę, udawał gniew, próbował ująć przeciwnika facecyami.

— No, no! na szczęście twój kochanki, stary rozpustnik! Niech będzie osiemset papierków niebieskich!

Lecz Soldmayer, niewzruszony, z oczyma wciąż ze złotym binoklem, zwróconemi na kolezyk lśniący w jego ręku, powtarzał tylko od czasu do czasu:

— Czteryście franków... Czteryście franków ani grosza więcej.

A Krystyan, mimo gniewnych spojrzeń Mahurela rzuconych w jego stronę, wciąż stał niemy, zdrgnięty. Jak mógł zgodzić się na przybycie tutaj?

Tymczasem tuż blisko serca, wzdętego wstrętem i wyrzutem, usłyszał nagle tyktak zegarka Szymona Benoit.

— No! niechaj będzie pięćset franków — rzekł Soldmayer z wysiłkiem.

I Mahurel, któremu już w gardle zaschło od gadania, przystał odrazu.

Tedy, w oczach Krystyana, handlarz w najciemniejszym zakątku sklepu odsunął kilka łachmanów, odsłonił niewielką skrzynkę wmurowaną w ścianę i ostrożnie ją otworzył.

Przy tej okazji, na stoliku wewnętrznym, obok pugillaresu z zielonej skóry, z którego handlarz wyjął kilka banknotów, ujrzał Krystyan rewolwer, leżący tam na wypadek nagłego napadu przy otwieraniu ukrytego sprzętu.

Zobaczył to z dreszczem po całym ciele i wraz z niem jasnym, prawie bolesnym; i miał świadomość, że nigdy, przenigdy nie zapomni tej stalowej skrzynki błyszczącej w tym kącie mrocznym, tej broni

przygotowanej, tego pugillaresu wyladowanego produktem tyłu kradzieży.

Naraz skrzynka się zamknęła; i natychmiast też Krystyan znalazł się na ulicy, uprowadzony przez Tarabana, który trzymał w ręku zgniecione banknoty.

— Tém gorzej, Kulasiel!... — warczał lobuz tonem urazy. — Obiecałem ci trzecią część „zarobku...” Ale dam tylko sto białych, i to jeszcze będę bardzo głupi... za taką pomoc, jaką mi dałeś!... Koleczyk wart sześć razy tyle, co zapłacił ten trędowaty żyd... A gdybyś ty był chciał odemknąć gębę...

Ale Krystyan odepchnął rękę wciskającą mu banknot. Tok, tok, tok!... Jakżeż nakazująco waliło do jego serca wspomnienie zmarłego przyjaciela!

Nie, Krystyan nie wahał się ani sekundy.

— Zatrzymaj wszystko, Mahurelu — rzekł z ruchem wstecznym. Ja tych pieniędzy nie chcę. Zachowaj sobie wszystko, i bądź zdrow.

I porzucając osłupiałego towarzysza, żywo, pomimo utykania, przebiegł przez środek ulicy, uciekł i schronił się w tłum przedmieściowy.

*

*

*

W ciągu czterech lat Krystyan Forgeat, dziecko opuszczone, były „więzień”, żył w ten sposób, nie upadając, zbierając chleb, gdzie go znalazł, po szlakach ulicznych, naksztalt jak wróble zimowe znajdując żer w odpadkach.

Prędko rozstać się musiał z ambicyą zajęć biurowych, odprawiany w skutek wady fachowej: nie umiał pięknie pisać. Jest to, jak wiadomo, warunek nieodzowny w najskromniejszym kantorze, a nawet Napoleon, którego sam dyabeł autografów nie odczyta,

nie mógłby był znaleźć najpośledniejszej posady ekspedytora. Wszędzie biedakowi, który przecież gorliwym był i pojętnym, mówiono:

— Nic z waszeci nie będzie, idź sobie, gdzie chcesz: nam potrzeba ręki kaligraficznej.

Wątlęgo zdrowia, nieco kaleki, bez wielkiej energii, Krystyan czas tylko swój zaofiarować mógł. Ale na sam czas popytu niema: doba człowieka niefachowego nie liczy się u nas za nic. Zbyt szczęśliwym więc był Krystyan, jeśli mógł za byle co wynajmować lub sprzedawać godziny swęj młodości: powierzano mu zajęcia, jakie mógł spełnić byle kto. W skwarnym lipcu, w błotnistym styczniu, stawał na rozdrożach ulic, rozdając prospekty; włókl się wzdłuż bulwarów, obracając jakim cackiem, bronił się od głodu i upadku.

Przypięło się do niego nieszczęście. Kilka razy miał już miejsce stałe. Dość długo był werbownikiem przy drzwiach skromnego magazynu ubiorów męzkich; następnie komisantem do wszelkiej bieganiny u agenta handlowego. Ale właściciel magazynu zbankrutował; agent za szachrajstwo dostał się do aresztu. I Krystan znowu popadł w nędzę, sypiając w przytułkach, żywiąc się po cuchnących gar-kuchniach.

Kogo spotykał, z kim mógł się poznawać w tych ściekowiskach ludzkich?

Widywał samych nędzarzy, poznał kilku łotrów, czasami szedł się z dawnym wychowaućcem Osady, dziś włóczęgą lub złodziejem.

Krystyan, zdemoralizowany, już go teraz nie unikał; uściśnieniem ręki odpowiadał na jego okrzyk niespodzianki:

— Al to ty, Kulasio!

Bez zawstydzenia przyjmował kieliszek wina lub szklankę piwa, zafundowaną przez rzezimieszka.

Kiedy fundator opowiadał mu swą ostatnią sprawkę, przechwalał się nawet, nieszczęsny chłopiec milczał, nie uczuwał już w sobie tajemnego wstrętu, czasami nawet przyśmiewał się uprzejmie. Tajały ostatnie jego skrupuły uczciwości.

Życie było zbyt okropnym, świat zbyt twardym, społeczność zbyt niemilosierdną!

Umysł jego przechylał się ku złym pokusom. Chodził nad pochyłością zbrodni: i dziwiło go, że jeszcze nie wpadł do wnętrza.

Jeśli mu zdarzyła się jaka gratka — wreszcie bardzo rzadko — kiedy nieco pieniędzy zadzwoniło w jego kieszeni, spieszył roztrwonić je w dorywczej i brzydkiej pohulance.

Młodzieniec ten, dwudziestopięcioletni, z obliczem delikatnym i łagodnym, mimo lekkiego zapadania dobrze zbudowany, który w nędzy nawet, zawsze dzięki wrodzonej delikatności, dbał o swą osobę, o czystość odzieży — w miłostkach nie znał nic innego, tylko to, co się spotyka na trotoarze.

Przy tém sercu, które przez nędzę twardniało z dniem każdym, nie bił już zegarek Szymona Benoit: był on zastawiony oddawna. Jednakże, powodowany resztą pobożnego wspomnienia, Krystyan zawsze potrafił wykrobać kilka franków, potrzebnych na prolongatę zastawu.

Przesądny, nosił zawsze na piersiach, w lichej torebce, kwit lombardowy; a w najgorszych nawet chwilach swego okropnego bytu, choćby i złość przeciw obowiązкови biła mu do głowy, jeszcze tam, gdzie leżał ten papier, czuł bicie zegarka, które odzywało się w jego piersi znakiem wyrzutu i przestrogi.

XIV.

W ten duszący wieczór sierpniowy, w którym Krystyan Forgeat, łokciem wsparty o parapet nadbrzeża, patrzył, nie widząc, na Sekwanę szalenie rzucającą się pod arkadą Dyabłą, nieszczęśliwy ten młodzian w zupełności utracił już uczucie samoobronny.

Od tygodnia próżno poszukiwał jakiegokolwiek pracy. Nie znalazł nic, zgoła nic, w tym Paryżu, tak smutnym i pustym wśród lata. Młodzieniec ten, prawie przyzwoicie przybrany, w czystej bieliźnie, ponieważ praczka nieco mu folgowała w zapłacie, naczczo był aż do godziny czwartej, nie mając ani grosza przy duszy. Kiedy chwiejący się z wycieńczenia krążył po sieci ulicznej około S. Severin, spostrzegł jak jakiś chłopiec wychodzący ze szkoły rzucał kromkę w rynsztok. Podjął ją, i pożarł ze wzrokiem wilka.

Następnie, mniej nieco osłabiony, zawlókł się na nadbrzeże, i był tam od dwóch godzin, przeżarty zgryzotą i znużeniem, spoglądając na wodę.

Przeskoczyć przez tę groblę, rzucić się do rzeki, i skończyć raz?

Nie myślał o tém. Czy myślał o czémkolwiek? Nie.

Mniej głodny niż przedtem, uległ pewnej ociężałości, niezbyt bolesnej, i stał tak z okiem bezświadomie i upornie zwróconém w wiry rzeki, miotającej się pod nim.

Pierwsze uderzenie godziny siódmej, wybijającej na Pałacu Sprawiedliwości, wydobyło go z odrętwienia. Drgnął, jakby nagle zbudzony, i cała zgroza położenia przyszła mu na myśl.

Ależ trzeba było się poruszyć; nie można stać tak ciągle, nie mając nic do wzięcia na ząb.

Naraz przypomniał sobie o tym kwicie lombardowym, który zawsze nosił na sobie. Tak, jeszcze mu ten środek pozostał. Stara cebula, choćby tylko według wagi złota, warta była najmniej sto franków, a zastawił ją tylko za czterdzieści. Przypadłoby mu jeszcze dwadzieścia pięć lub trzydzieści franków. Miałby na kilka dni być zapewniony... albo raczej — bo wtedy odbywał się w nim bunt temperamentu, uczuwał jedną z tych szalonych potrzeb uciechy płaczących w duszy nędzarzy — byłoby to na dziś wieczór, zaraz, uczta Gamache'a, z litrem i kawą, z długim trawieniem, z cygarem w ustach, przed podwójnym kuflem, na tarasie piwiarni, którą znał dobrze, gdzie zbierały się dziewczęta wcale nie dra pieżne, którym dosyć dać znak.

Tém gorzej dla Szymona Benoit z jego głupiem zaleceniem, aby się nigdy nie pozbywał starego zegarka! Talizman ten wcale mu szczęścia nie przyniósł, zarówno jak i moralność nauczyciela.

Na czémże stanął uczeń jego po czterech latach wysiłków dla pozostania uczciwym chłopcem?

Podejmuje oto kromki z rynsztoka.

Dosyć tych wspomnień!

Gdzie to zakupują kwity lombardowe? Pobiegnie tam natychmiast.

Aha! ten żyd z ulicy Cadet, u którego był raz z Tarabanem... Oh! lajdak to. Ale wszyscy ci tandeciarze do siebie podobni: tak dobry ten, jak i drugi. Jeżeli zaś nie zechce wypłacić trzydziestu franków, Krystyan spróbuje gdzieindziej. Zobaczymy czy jeszcze nie zamknął sklepu.

I zgłodniały, nieco posilony nadzieją, puścił się w drogę. Doszedł do Hal, wkroczył na Montmartre.

Dzień zapadał. Nad wysokimi domami niebo ciążyło ołowiane. Ale w głębi ulic, gdzie roił się tłum, gdzie wozy pędziły hałaśliwie, już było zupełnie ciemno. Noc zdawała się nadciągać zawczasie, i zaledwie kilku winiarzy tylko zapalało u siebie gaz.

— „Twardy to orzech do zgryzienia, ten żyd — myślał sobie Krystyan — a nie ufający nikomu na dwa grosze... Widzę go jeszcze, jak otwiera swą skrzynkę za firanką... Miał wszelako tam rewolwer nabity, gotowy, pod ręką, i źle-by wyszedł, kto-by dotknął jego ciasteczka... Brudny złodziej! Byle mi tylko dał moje trzydzieści franków. Bo dziś w wieczór, niema co gadać, ja muszę sobie pohulać”.

Przybył przed sklep żyda, którego witryna była ciemna, ale go wewnątrz oświetlał jedyny dziób gazowy. Wszedł śmieie.

Jak niegdyś, zobaczył naprzód świecącą łysinę handlarza, który siedząc za kontuarem, pisał.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał Soldmayer, podniosłszy głowę.

Krystyan dobył z kieszeni torebkę, otworzył, wyjął kwit i podał go żydowi, mówiąc:

— Wiele mi pan dasz za to?

Handlarz od lat czterech nie zmienił się wcale. Był to zawsze tenże sam żydek niewielki, tłuściutki i blado żółty; w tym samym ubiorze pretensjonalnym, i ani jednego siwego włosa w gęstych faworytach.

Włożył złoty binokl na sępi nos, przeczytał kwit; popatrzył uważnie na klienta, następnie, jakby uderzony wspomnieniem, skrzywił się podejrziwie.

— Ale, zdaje mi się, że ja pana znam — odezwał się głucho. — Byłeś u mnie kiedyś... tak, z Tarabanem.

Krystyan drgnął. Więc handlarz go poznał, a ponieważ widział w towarzystwie złodzieja, skorzysta z tego zapewne, by go oszwabić.

Ale nie z tego. On musi dostać trzydzieści franków, ani grosza mniej.

— Biedny ten Taraban! — mówił dalej żyd. — Czy on do pana pisał z Nowej Kaledonii?... Co mu bo też przyszło do głowy łączyć się z tą bandą, która oporządzała letnie mieszkania w Bois Colombes... To żaden interes, albo bardzo mały... I naraz dostał się tam na całe pięć lat... Istotnie? Pan, jego towarzysz, nie wiesz, jak mu się tam powodzi w Numei?

Nie wiedząc bynajmniej o losach Tarabana, Krystyan zaczął się niecierpliwić.

— Wierz mi pan jeśli chcesz, albo nie wierz — odparł. — Ja nie jestem złodziejem i nie widziałem Mahurela od dnia, w którym byliśmy tu razem.. Nie o to wreszcie chodzi. Co możesz mi pan dać za ten kwit?

— Wiesz pan co — odrzekł żyd — ja niebardzo lubię kwity lombardowe.... Złoty zegarek zastawiony za czterdzieści franków?... Widzę to zdaleka, stara cebula familijna... Wolałbym nawet nie tykać tego interesu. Ale przez pamięć na Tarabana...

I prędko spojrzawszy w oczy Krystyanowi:

— Chcesz pan piętnaście franków?

— Cóż znowul — zawołał młodzieniec. — Zegarek jest stary, to prawda, ale choćby na złoto wart najmniej sto franków. Bądź pan rozsądnym, i daj mi trzydzieści; zostanie ci tyle jeszcze zysku.

— To zatem pamiątka familijna! Nie powiedziałem? — odezwał się żyd z bezczelnym śmiechem. — Nie, oni są zadziwiający ci mali spekulanci!... Eh! czy to pan sądzisz, żem ja przelknął tę waszą ówczesną blagę z koleczykiem?... Ażebym ci teraz mógł wierzyć, mój fijołku, nie trzeba było do mnie przychodzić z takim kandydatem do kajdan, jak Mahurel... Będziesz mi zapewne opowiadał, że zegarek ten pochodzi od twojej babuni!.. Trzydzieści franków... Widzisz go, jaki mi baranek? Co to za śmiałość przychodzić, by proponować interesa niebezpieczne, za które dostać się można do kryminału, i nadawać sobie minę, jakby przedstawiano do wymiany Konsolidy angielskie lub papier Rotszylda!... Trzydzieści franków! Mój paniczku, gdyby tu nawet przyszła biedna wdowa z rojem sierot i proponowała mi taki interes, jeszcze-bym odmówił, chociaż mam dobre serce. Powiedziałem: piętnaście franków. Chcesz, bierz. Nie?... To dobranoc!

Krystyan drżał z gniewu i zdenerwowania.. Złość, nagła i wściekła nienawiść wybuchła w nim przeciw temu łotrowi, który, chcąc go wyzyskać i okraść, w dodatku upokarzał go i lżył niskimi sarkazmami. Ukrywał w kieszeni drżącą rękę. Oh! z jakąż przyjemnością spoliczkowałby tę tłustą gębę łajdacką!

Ale cóż? Gdzieindziej byłoby toż samo. Taki dobry ten łajdak, jak i drugi. Alboż to istnieją na świecie ludzie uczciwi?

— Dosyć tego — wydusił z siebie przez ściśnione zęby — przyjmuję.

Soldmayer uśmiechnął się, zzymając ramionami. Potem sięgnął do woreczka, a nie znalazłszy tam zapewne drobnych, skierował się w głąb sklepu.

Wtedy, rzutem pioruna, Krystyan przypomniał sobie skrzynkę za frankami, nabity rewolwer, pugilares pełen banknotów...

I w jednej sekundzie błysła mu myśl zbrodni.

Ah! zuchwała, niedorzeczna, prawie niewykonalna!... Jaktło! W jasności tego szerokiego paleniska gazowego! O dwa kroki ode drzwi otwartych na chodnik, po którym roją się przechodnie!

Mniejsza o to! Potworna żądza padła na Krystyana Forgeat, olśniła go jak zalew krwi, gęsią skórką obiegła mu całe ciało, zatrzymała serce!...

Wpół zgięty Soldmayer, jedną ręką odchylając zawieszony kotary, drugą otworzył skrytkę.

Jednym skokiem, skokiem dzikiego zwierza, Krystyan wpadł na niego, powalił, i nim zaskoczony żyd zdołał wydać okrzyk przerażenia, napastnik schwytał rewolwer i w samą twarz wbił mu trzy wystrzały.

Żyd runął w zakąt ściany, i fontanna krwi wytrysła mu z prawego oka, wybitego strzałem.

Wtedy Krystyan obrócił się nagle. Miał wrażenie jakby mu paliły się włosy. Obejrzał się, pewnym będąc, że wejdą ludzie, rzucają się na niego.

Ale nie! W ulicy ciężkie omnibusy waliły z ogromnym łoskotem, i łoskot ten stłumił huk wystrzałów pistoletowych.

Szalony ze strachu, Krystyan rzucił broń, schwytał pugilares, we dwie garście opróżnił miseczkę pełną złota, wyładował kieszenie i wyskoczył ze sklepu.

We dwie minuty potem był już na bulwarze Montmartre, bezpieczny, zgubiony w tłumie.

Cztery lata! Młodzian ten walczył cztery lata, walczył codzień, cogodzina, aby pozostać w całym znaczeniu uczciwym. Aż oto, w przystępie piorunującego szału, został mordercą i złodziejem.

Przechodząc przed rześście oświetloną kawiarnią, spojrzął na ręce. Ani kropli krwi. Tém lepiej, rzecz skończona!... Nareszcie!...

I nieszczęsny ten od dzieciństwa chłopiec wycierpiał tyle, iż zbrodnia jego wydała mu się wyswobodzeniem; a czując na sobie złoto, mniemając się bezpiecznym, wydał długie i straszne westchnienie ulgi.

XV.

Nazajutrz po dniu, w którym zabójstwo to się stało, pan Krystyan Lescuyer, adwokat generalny przy Izbie Sądowej Paryskiej, popołudniowy czas przepędził przy pracy w swym obszernym gabinecie, którego dwa wysokie okna wychodziły na plac Królewski.

Teraz, lubo miał dopiero lat pięćdziesiąt, Krystyan Lescuyer wyglądał na starca, i więcej niż kiedykolwiek uderzające podobieństwo przedstawiał z nieboszczykiem ojcem.

W tej ciemnej komnacie, otoczony starami księgami i schylony nad biurkiem, zavaloném papierami, pisał z całą uwagą, zmarszczywszy brwi nasunięte na czoło i zasłaniające mu oczy szarym krzakiem.

Pan Lescuyer zrobił świetną karierę; niemniej przeto był człowiekiem nieszczęśliwym.

Wreszcie, owdowiawszy, blisko dwadzieścia lat patrzył na cierpiącą i umierającą córkę jedyną, biedną suchotnicę, która w przeszłym roku zgasła w jego objęciach.

Przecz, sama tylko praca nieprzerwana, wypełniała ten smutny byt. Zaprzął się do ogromnego dzieła

w przedmiocie prawa karnego, a przez ogłoszenie pięciu pierwszych tomów zyskał miejsce wyborowe pomiędzy prawnikami.

W sądownictwie paryskim, którego był członkiem od kilku lat, ceniono wielce jego głęboką wiedzę i surową wymowę.

Wysoce szanowany przez władzę i kolegów, mógł dążyć do najwyższych sfer magistratury; ale, nie dbając o to, dał się ubiegać zrzecznym.

Ten człowiek, zimny, bezwarunkowo dostojnych obyczajów i charakteru, miłował tylko pracę i jej jedynie pożywał. Wszystko wreszcie nużyło go, wzbudzało niesmak, wydawało mu się niegodnym pożądania i usiłowań.

Od śmierci córki pan Lescuyer jeszcze więcej zagłębił się w trud i samotność; i nawet w tym skwaronym a burzliwym sierpniu, lubo rozpoczęły się ferye sądowe, ociągał się w Paryżu, dniem i nocą z piórem w rękę, zajęty szóstym tomem swego dzieła.

Człowiek ten, który życie rozpoczął od ważnego błędu, nie zapomniał go. Nosił w sobie po nim, jeśli nie wyrzut, to przynajmniej wspomnienie częste, bolesne.

Daremnie powtarzał sobie, że wycierpiawszy wiele, odpokutował. Sumienie jego zatrzymało skrupuł.

— Ja sędzią jestem — mawiał sobie niekiedy — ja sędzę, ja, którym popełnił grzech i naprawić go, nie mogłem!

I w starych prawach, w poważanych tekstach, dla wytłómaczenia samego siebie, upornie wyszukiwał dowodu, iż urzędnik jest potrzebnym, i że społeczność nietylko mu nadaje moc karania jako wła-

dzę prawowitą, ale narzuca mu ją jako obowiązek konieczny.

Tego dnia jednak, dusząca atmosfera, skwar ołowiany, zniechęciły nieugiętego pracownika.

— Dosyć na dziś — mówił odsuwając księgę in quarto „*Coutumes du Contentin*”, z której wypisał jakiś wyrok. Duszno mi. Muszę koniecznie wyjść na powietrze.

Podszedł do okna, popatrzył na melancholijne otoczenie: widnokrag nizki i szary; plac Królewski, nad którym ciąży wrażenie upadłej wielkości; fasady z żółtego kamienia i czerwonej cegły; ciężki posąg Ludwika XIII-go; rzadcy przechodnie w zapyłonym ogrodzie; drzewa rude i wpół odarte z liści przez przedwczesną jesień wielkich miast — wszystko smutne, nudne.

— Trzeba wyjść — powiedział głośno. — Znadto jestem samotnym. Całe życie!...

Chodził po ulicach, idąc wolno, gdzie nogi poniosą.

I przypomniał sobie wtedy Franciszka Donadiou, towarzysza lat młodych, jedynego przyjaciela, z którym nie widział się kilka miesięcy—tak już zdziczał.

Rzeźbiarz stał się już sławnym: ale ani zielony frak, ani medal honorowy, ani rozeta, nie przysporzyły mu majątku. Częściej tylko „urywał” zamówienia, co mu dawało względny dobrobyt.

Wierny swojej ulubionej lewicy rzecznej, mieszkał na ulicy Notre-Dame-des-Champs, gdzie zajmował cały pawilon z ogrodem, dużym jak chustka do nosa.

Ale Heloiza, teraz już tłuszcintka jęjmość, mająca kolczyki i broszkę brylantową, którą przybierała, udając się na obiad, raz jeden co zima, do Sekreta-

rza stałego przy Instytucie, ale zawsze dobra, prostoduszna i wesoła, rada była w tym ogródku siać sobie i zbierać różne gatunki sałaty.

Pomimo obecnej wielkości, lubiła też czasami zajrzeć do pracowni męża i pogawędzić z jego modelką, radząc po macierzyńsku młodej dziewczynie, aby się nie puszczała na różne drogi, lecz wierną była swemu wybranemu.

Aby dostać się do rzeźbiarza, pan Lescuyer musiał przejść przez dzielnicę Łacińską i ogród Luksemburski. Zazwyczaj unikał tych okolic, gdzie czatowały na niego wspomnienia młodości. Lecz tego dnia, śpiesząc do przyjaciół, nie uważał.

Wstępując w aleję, prowadzącą do obserwatorium, spostrzegł idącą przed sobą i ciągnącą dziecięcy wózek tęgą kobietę, zapewne z pobliza, mało dbałą o strój; miała bowiem na sobie tylko szlafroczek w białe groszki i ogrodowy kapelusz słomiany.

Doszedł do niej i poznał: była to pani Donadieu.

— Ah! to nasz pan kochany! — zawołała wesoło, okrągłym głosem kumoszki, zatrzymując wózek, by podać urzędnikowi mężki uścisk ręki. Idzie pan do nas, chwała Bogu! Mój stary żalił się temi dniami, że tak dawno pana nie widział.

— Czy zdrow? — zapytał pan Lescuyer.

— Chwalić Boga! zaraz go pan zobaczy. Poszedł za interesami na tamtą stronę rzeki, i tu mamy się zejść!... Zostanie pan u nas na obiedzie, nieprawdaż?... Mam wspaniały melon.

Pan Lescuyer przyjął, a gdy spoglądał na tęgie dziecko, śpiące głęboko w wózku:

— Ah, prawda! — zawołała Heloiza — pan jeszcze nie zna naszego Żarłoka!

— Żarłoka?... — powtórzył pan Lescuyer nieco zdziwiony.

— Tak, przezwaliliśmy go Żarłokiem, ponieważ ciągle woła jeść. To sierota, któregośmy przed kwartałem przyjęli za własne. Nie mając swoich, zaczęliśmy się przywiązywać do bestyi. Pamiętasz pan tego biednego Mruka. Po nim mieliśmy różne bestyjki, ptaki, psy, któreśmy lubili jak osoby; o i teraz mamy ich jeszcze dostatek... Przed trzema laty, w naszej wiejskiej dziurze, pod Montfort-l'Amaury, mąż mój chciał mi kupić osła, aby mnie obwoził w wózku... Ja, powiadam panu, tyję okropnie, ale odmówiłam:

— Nie, mój kochany — powiedziałam — ty wiesz: we dwa tygodnie osioł wlezie do twego pokoju, i ty pozwolisz mu sypiać przy swém łóżku. Już, jeśli chcesz, to weźmy lepij dziecko.

I tak, pewnego dnia, poszliśmy pod rękę do Domu Podrzutków, gdzie o wybór bardzo łatwo; Franuś popodpisywał tam jakieś szpargały, i wydano nam Żarłoka.

Opowiadała rzecz poprostu, a dobre i szczere jój oczy zawodziły od pana Lescuyera do śpiącego dziecka.

— Jacyż-to z was poczciwi ludzie, pani i Franek! — zcicha rzekł do niój pan Lescuyer, okrutnie ukąszony w serce wspomnieniem opuszczonego syna i zmarłej córki.

— Płec męzka. Dwadzieścia dwa miesiące. Odkarmiony. Ah! to sprawa niedługa. Podają to panu tam jak funt masła w owocarni... Ale, widzi pan, przyszła mi tam bogata myśl. Franuś bardzo rad temu gagatkowi, i my oboje lubimy go już tak, jakby

się urodził w menażeryi... Biedny malec! Czyż podobna, aby istnieli rodzice tak niegodziwi?...

Ale dobra Heloiza nagle się zatrzymała w wybuchu, dodając ciszej:

— Nie, nie trzeba złorzeczyć nikomu... To nędza temu winna.

Pan Krystyan Lescuyer, pomyślawszy o swęj przeszłości, uczuł żar wstydu, bijący mu do głowy; lecz w tém Heloiza wykrzyknęła:

— Otóż idzie i ojciec!

Z głową i wąsami pobielałemi przedwcześnie, ale z twarzą młodą i czerstwą, zawsze żwawy i silny, rzeźbiarz szedł chwacko, swobodny w swęj granatowęj marynarce, u której połyskiwała czerwona rozetka.

— A! jesteś nareszcie, bałamuciel! — rzekł, ścisnąjąc rękę pana Lescuyera.—Ale jakżem ja głupi! Przecież mógłbym powiedzieć to samo.... Mniejsza o to: idziemy do nas na obiad; to grzecznie z twęj strony. I dobrześ wybrał dzień, gdyż jutro uciekamy na wieś, na całą jesień! Witajże mi, mój Krzysiu!

Ów „Kryś” był to już dziś wysoki i poważny dygnitarz państwowy, stary człowiek w żalobie, z fizyognomią surową, twarzą żółciową! Ale Donadiem tak go zawsze nazywał w skutek poczciwego, starokoleżeńskiego nawyknięcia.

— Czy ci już Heloiza przedstawiła Żarłoka? — zapytał artysta, z czulem spojrzeniem ku dziecku śpiącemu ciągle.

— Owszem — odparł Lescuyer — wiem wszystko, i poznaję w tém was oboje.

— Ba! ba! — rzekł Donadiem tonem facecyi, pod którym ukrywała się wstydlivość dobrego uczynku. — Piękna mi zasługa! Nie wystarczały już nam

czworonogie: oto cała prawda! Potrzebowaliśmy zwierzęcia dwunożnego, z mową członkowaną. No, i kazaliśmy go sobie podać, widzisz! Bęben ten przewraca się na ziemię już tylko co piętnaście kroków; ażeby wymówił „tata” albo „mama” nie potrzeba mu naciskać sprężyny w pępku, jak u tych dzieci z papieru, które sprzedają w passażu Opery... Ale głodny jest jak szczenię... Słuchajno, jójmość, czybyś nie poszła przodem, podpędzić kucharkę... — odezwał się do żony. — Siódma dochodzi, a musisz jeszcze zejść do piwnicy, aby wydostać dla Krystyana butelkę, tam, zpoza wiązek. Idź, bądź łaskawa; ja sam będę popychał tego młodzieńca.

— A ja kupię ciasta — rzekła Heloiza, skręcając w boczną ulicę.

Poszli za nią, nie śpiesząc się. Popychając wozek, Donadiou przypomniał sobie żalobę przyjaciela, i zdjął go delikatny skrupuł.

— Biedny mój Krzysiu! — rzekł. — głupi ja jestem z tą moją błagą improwizowanego papy. Zapomniałem o twój żalosci... Nie gniewaj się na mnie?

— Możesz-że przypuszczać? — odparł Lescuyer, kryjąc wzruszenie.

U rzeźbiarza natychmiast zasiedli do stołu. Ażeby zjeść spokojnie, przystąpiono naprzód do wieczery Żarłoka i do jego nocnej toalety. Wsparci o stół, gdzie karmiła go piastunka, przybrani rodzice patrzyli na niego z niemym uśmiechem zadowolenia. Był to istotnie ładny dzieciak, pełen zdrowia, siły i życia, umiejący już trzymać łyżeczkę i władający nią niezgrabnie.

Nareszcie po ułożeniu Żarłoka w wózek, pokolysaniu i uspieniu, usiedli do zupy we troje, i rozmawiali. Heloiza, która była nawskroś ludową, a jako

stara gryzетка, w gazetach czytywała tylko „sprawy sądowe”, wypadki i rozmaitości, zaraz mówić zaczęła o wczorajszej zbrodni.

— I cóż, panie Sędzio? — zapytała. — Co nam pan powie o sprawie przy ulicy Cadet?

Adwokat generalny nie wiedział o niej ani słowa. Gospodyni się zadziwiła.

— Jakto? Przecież mordercy, to pański wydział... Zbrodnia niesłychana! Kupiec, handlarz strojów haftowanych, zabity we własnym sklepie, o godzinie siódmiej wieczorem, w samym środku Paryża, przy ulicy pełnej ludzi! I to z pistoletu! I nikt nie nie widział, nie słyszał... Morderca umknął spokojnie ze skradzionymi pieniędzmi... Ależ to włosy powstają na głowie, i o tém też tylko mówiono wszędzie, gdzie tylko była za kupnem... To pan nie czytał „Petit Journal”?

— Ona ma słusność — nalegał Donadieu, błaznując. — Czemuż ty się u licha zajmujesz, jeżeli jesteś obojętnym względem zabójców?... Przecież to oni dostarczają ci pracy i płacy... słowem, ty z nich tylko masz całe utrzymanie.

Heloiza tedy opowiedziała zbrodnię, objaśniła szczegóły znane. Przekupień ten, co prawda, nie był ofiarą bardzo interesującą. Oto, przechowywacz rzeczy skradzionych, lichwiarz pożyczający na procent tygodniowy, zabity zapewne przez któregoś ze swoich klientów. Co tylko dziwiło poczciwą niewiastę, to zuchwałość zbrodniarza.

— Oh! — rzekł pan Lescuyer. — Założę się, że on niedaleko ujdzie i zatrzymają go wkrótce, jeśli rzeczy tak się odbyły, jak pani mówi... Domyślam się jakiego to rodzaju musi być rabuś. Zapewne „recydywista”, na którego policya ma oko otwarte: bę-

dzie ostentacyjnie rozrzucił pieniądze, i dostanie się do rąk. W tej chwili może już siedzi pod kluczem.

— Tém lepiej! Niechaj mu zetną szyję! — zakończyła instynktowa Heloiza. — Z podobnemi łotrami człowiek-by nie mógł spokojnie zasnąć.

Nie mniej porywczy Donadieu nie był stronnikiem kary śmierci.

— Jak tobie pilno! Jak tobie pilno! — odezwał się do żony. — Niechaj wyślą na kraj świata tych łotrów, niech nas od nich uwolnią, zgoda! Ale gilotyna?... Ah! moja łaskawa pani, snadź nigdyś tej zgromy nie widziała.

I w kilku malowniczych frazesach opowiedział artysta, jak go raz koledzy zaciągnęli aż na plac Roquette. Tam, w chłodzie porannym, świadkiem był wykonania wyroku.

— Pora letnia, niebo zupełnie czyste. Gaz bladł, ale była ogromna gwiazda, która nie myślała gasnąć: to plugawy tłum. Śpiewy, krzyki, gwizdy: wszystko bezecne, nic imponującego. Ukończono rusztowanie, z którego można przemawiać do ludu. Maszyna leży plackiem na podłodze... A kat? To mały, grubsy człowiek, bardzo pospolity, typ komisyonera od wina, w surducie przedsiębiorcy... Tylko kiedy zakomenderowano: „na ramię broń!” i kiedy ukazał się skazany... O Boże! można żyć tysiąc lat, i nie zapomnieć nigdy!... Całe to mrowisko, cała potęga, armia, magistratura, *et caetera*, przeciw jednemu nędzarzowi! Nie, to było okropne! to było nikczemne!

— Zbrodnia jednak powinna być ukarana — rzekł urzędnik głosem smętnym i twardym. — Jest to obowiązek społeczny.

Ale rzeźbiarz, więcej uczuciowy niż roztropny,

nie chciał się zgodzić. Zapalał się, spierał, i to tak zawzięcie, że mu trzy razy gasła fajka.

— Kara śmierci to pozostałość barbarzyństwa. Prawa, tak niedokładne, tak pełne luk, nie powinny być tak srogimi. Sądzą one człowieka z jednego czynu, nie uwzględniając całości, ogółu życia. A tymczasem niektórych przestępstw kodeks nie przewidział, pozostawił je bezkarnymi.

— Oto masz! — powiedział z ogniem. — Myśl ta dręczyła mnie niedawno, kiedyśmy z żoną przyszedli do przytułku Podrzutków, by wziąć z tamąd to malenieństwo. Nieładnie, wiesz co, wyglądają po większej części, ci synowie Miłości. Skrofuliczne to, syfilityczne, z ranami, krostami, niektórzy z ogromną głową, pełną wody: mnóstwo nieczystości, które im ofiarowali rodzice. Naszego Żarłoka nie znaleźliśmy od pierwszego rzutu, wierzaj mi. Wreszcie, i dla tych, którzy fizycznie nie są pokrakami, co za debiut życiowy, co za przyszłość!... Co ich czeka po wyjściu z przytułku? Nędza, zatopienie w gnojówce. Gdybym się dowiedział jutro, że zabójcą żyda z ulicy Cadet jest dawny podrzutek, dziecko opuszczone, i gdybym należał do sądu przysięgłych, kiedy on przejdzie na ławę, oh! dopierożbym mu nalepił okoliczności łagodzących!... A wiesz, o kim ja myślałem wobec tych wszystkich malców?... Oto o łajdaku ojcu, który porzucił matkę, ubogą dziewczynę, przezeń wprawioną w położenie bez wyjścia: boć to zawsze ta sama historia... A teraz, mój panie sędzio, prokuratorze, czy adwokacie, przetrząsaj swój kodeks, zwłaszcza rozdział o poszukiwaniu ojcostwa!... Słuchaj! tak, z ręką na sumieniu, jestże to sprawiedliwość? Urwis, który w takim stanie porzuca biedną dziewczynę, czy nie powinien powąchać więzienia?

Siny, z oczyma spuszczone, z ręką na obrusie, poruszając machinalnie w palcach podstawę kieliszka, pan Lescuyer, mimo szumu w uszach, słuchał, bodzących go ostrzem rozpalonego żelaza, słów uczciwego człowieka.

Ale wkrótce rozmowa wzięła inny obrót, i rozproszyły się złe wspomnienia urzędnika.

Donadiou opowiedział swój dzień.

Był on tam, od strony alei Villiers, w dzielnicy artystów szykownych, malarzy posiadających pałace; odwiedził mianowicie dawnego kolegę, portrecistę wziętego oddawna, który szalone pieniądze zarabia, malując milionowe żydówki i piękne wszetecznice.

Uczciwy rzeźbiarz nie był zdolnym do zazdrości; nie mógł się jednak wstrzymać od porównania swego długiego i twardego dorabiania się z nagłym majątkiem tego zręcznego fabrykanta, bez istotnego talentu, i — co gorsze!... nie sromął się chłostać go swą pustaczą werwą.

— Nie — gawędził — nie możecie sobie wyobrazić zbytków tego figlarza Verdala!... W przedpokoju groom w spencerku o trzech rzędach guzików, zupełnie jak na Przedmieściu Saint-Germain.... Dowodem, że wyjął palec z nosa, by wziąć moją kartę, i zanieść do pana na srebrnej tacy.... A co za schody! Onieśmielając! Całe z dębu rzeźbionego, monumentalne! Są takie same w teatrze Ambigu, na których trzy pierwsze stopnie wstępuje „szlachetny ojciec”, aby więcej zwysoka przeklinać...

Zastałem Verdala, kiedy malował czarnego psa w srebrnej obroży na portrecie jakiejś damy z Ameryki Południowej, której mąż był prezydentem jednej republiki przez półszóstą godziny, czyli tyle czasu, ile potrzeba do opróżnienia kassy. A iżby bied-

ne psisko utrzymywało się w pozie, towarzyszący mu psiarek co minuta kładł mu na koniec nosa kawalek cukru.

„Verdal bardzo uprzejmie mnie przyjął z powodu Instytutu, gdzie ma nadzieję przedstawić się w tych dniach. O! bardzo był mi rad, ale roboty sobie nie przerywał.... Ba! on maluje cały dzień (jak kobiety robią pończochę), portrety po dziesięć tysięcy franków, i bogaci się jak wieprzacz na świniach.

„Powiadają, że nos uciera dopiero po zachodzie słońca, kiedy już malować nie można; albowiem kosztowało go to luidora za każdym razem, ilekroć złożył paletę, ażeby zatrzeć w chustkę od nosa.... Tak, tak, moje dzieci, do tego stopnia... Ostatni katar kosztował go coś około trzech tysięcy franków”.

XVI.

Okolo godziny jedenastej pan Lescuyer pozegnaf sie z rodzina Donadieu, caly jeszcze rozbawiony rozmowa. Czerwcowe niebo ukazywalo gwiazdy; atmosfera mniej utlaczala.

Byla to jedna z tych cieplych nocy paryskich, kiedy jasnieja szeroko otwarte kawiarnie, kiedy przechodzacy sie ociagaja z powrotem do domu, zatrzymuja, a wlasciciele zakladow siadaja po chodnikach konno na krzeslach i uzywaja chlodu.

Pan Lescuyer wolno szedl na plac Królewski, roztargniony widokiem ludowych obrazow ulicy, dzielac sie blogoscia z malym swiatkiem. Obchodzil, uzywal takze pieknego wieczoru. Byl w jednej ze swych dobrych godzin.

Wróciwszy do swego gabinetu, gdzie czekala na niego lampa, poniewaz zwyczaj mial czuwac do pozna, a chlodok nocny wnikal przez wpól otwarte okno, pan Lescuyer czul sie dobrze usposobionym, zarlat ręce.

— Dobrzem zrobil, zem wyszedl — mowil sobie. — Musze czesciej bywac u tych poczciwych Donadieu. A dzis w wieczor, z godzine lub dwie, popracuje ochoczo.

Tymczasem, przed zaprzężeniem się do roboty, wziął do ręki gazetę „Temps”, którą służący położył na pulpicie, rozerwał opaskę, i przebiegał oczyma „ostatnie wiadomości”.

Natychmiast stanął mu do oczu tytuł: „Zbrodnia przy ulicy Cadet. Ujęcie mordercy”.

— Aha! — pomyślał z półuśmiechem — to sprawa, która tak roznamiętnia pocziwą Heloizę... Ujęli więc przestępcę. Tem lepiej. Otóż to dla dobrej gosposi przedmiot do jutrzejszej raunój pogawędki z owocarką.

I zaczął czytać w roztargnieniu:

— „Ludność paryska—mówił dziennik—tak żywo wzburzona morderstwem kupca z ulicy Cadet, z zadowoleniem się dowie, iż morderca ujęty został dziś, w niecałe dwadzieścia cztery godziny po dokonaniu zbrodni.

„Przypominają sobie czytelnicy, że kwit lombardowy, cały zbrzydzany krwią, podjęty został przy ciele ofiary. Było to drogocenną wskazówką dla policyi, która natychmiast zajęła się wytropieniem człowieka z zamieszczonem tam nazwiskiem, jako właściciela przedmiotu, i okazało się, że on to właśnie był sprawcą.

„Jest to niejaki Krystyan Forgeat...”

Tu zatrzymał się pan Lescuyer, unieruchomiony lodowatym dreszczem. Dumął.

Krystyan Forgeat!... Ależ *Forgeat*, było to nazwisko Pauliny; *Krystyan*, to imię chrzestne, które ona, po rozłączeniu się z kochankiem, na jego pamiątkę, nadała dziecku... *Krystyan Forgeat!* Ah! On to nazwisko zna doskonale. Toż wymawiał je bez końca, pisał, rozgłaszał, wówczas kiedy daremnie usiłował odnaleźć ślady matki i dziecka.

Imię *Krystyan* jest rzadkie; a że łączy się z nazwiskiem *Forgeat*, to nie czysty przypadek. Nie podobna wątpić. Tu chodzi o syna Pauliny, o jego prawdopodobnie syna.

I teraz-to on dopiero znajduje tego zaginionego chłopca, jako mordercę i złodzieja, a to nazwisko, próżno przez wszystkie echa wywoływane, widzi teraz w swój rozpalonój wyobraźni, wypisane na tym zakrwawionym papierze, podjęte przy trupie, dające ślad i dowód zbrodni okropnej.

Ogłuszony tym cłosem, w pewnym osłupieniu, urzędnik czytał dalej:

— „Nie można w tych okolicznościach dostatecznie pochwalić zręczności i szybkości policyi. Inspektor Bosse, jak wiadomo, specjalnie przeznaczony do dozoru stancyi meblowanych, znał z widzenia niejakiego Krystyana Forgeat, około dwudziestopięcioletniego młodzieńczyka, bez zajęcia, dawnego wychowanka Osady rolnój w Plateau, zostającego w stosunkach z wielu pociąganyymi do sądu lub podejrzanymi, którzy równie jak on wyszli z tego zakładu poprawczego. Oczywiście więc podejrzenie padło na tego młodzianiszka, wprawdzie dotychczas nie karanego sądownie, ale który ani żadnym wyraźnym nie zajmuje się rzemiosłem, ani nie ma żadnych środków utrzymania, i dotąd zajmował się tylko przygodnie, to jako najemnik sklepowy, to jako figurant teatralny.

„W przypuszczeniu — obecnie już stwierdzonym — iż Forgeat jest sprawcą, łatwo było można odtworzyć scenę zbrodni. Forgeat przybył do Soldmayera, aby mu sprzedać swój kwit lombardowy, i zastrzelił kupca z rewolweru w chwili, gdy ten otwierał swą skrzynię. Lecz po dokonaniu tój zbrod-

ni, niesłuchanie zuchwałej, spełnionej w sklepie otwartym i oświetlonym, i niejako na ulicy, śpiesznie uciekając, morderca pozostawił i broń i papier kompromitujący.

„Agenci udali się natychmiast do gospody przy bulwarze Rochechouart, gdzie Krystyan Forgeat mieszka od kilku tygodni: ale lokator na noc nie wrócił.

„Na szczęście, od Inspektora Bsse'a miano dokładny rysopis zbiega, który, między innymi znakami szczególnymi, lekko napada na lewą nogę. Dzięki tym wskazówkom agent bezpieczeństwa publicznego, Melon, którego czyny, nadzwyczaj śmiałe, nieraz mieliśmy sposobność notować, poznał i aresztował Forgeata na dworcu kolei Północnej, w chwili, gdy, kupiwszy bilet do Brukselli, siadać miał do wagonu.

„Zabójca, przy którym znaleziono dosyć poważną sumę w złocie i biletach bankowych, nie czynił żadnąż trudności w przyznaniu się do zbrodni. Próbuje tylko zaprzeczyć zamiarowi obmyślanemu, i utrzymuje—co, zdaje się, wielce nieprawdopodobnem— że wszedł do Soldmayera bez broni i bez myśli przestępstwa, a dopiero widok rewolwery, umieszczonego w skrzyni, nagle natchnął go myślą zabicia żyda.

„Krystyan Forgeat osadzonym został w „Dépôt” o godzinie drugiej”.

Ten artykuł dziennika, uzupełniający opowiadanie pani Donadien, nietylko wywoływał przed umysł urzędnika zbrodnię we wszystkich jej szczegółach, ale pozwalał odgadnąć jej przyczyny i początki; bo była to historia banalna, i którą znał aż do przysytu: historia młodego wychowanka więzień, wypusz-

czonego bez podstawy, stającego się kolejno włóczęgą, złodziejem, mordercą.

Niejednokrotnie on w zawodzie sędziego występować musiał przeciwko takim nędzarzom; ale skutkiem sprzeczności, stanowiących właśnie tło człowieka, nigdy wobec tych przestępców nie pomyślał o swoim dawnym przestępstwie; nigdy wówczas nie powiedział sobie, że dziecko biednej dziewczyny, przez niego opuszczonej, żyje zapewne gdzieś, zagrożone tym samym losem, co owi wydziedziczeni.

Widział on ich teraz znowu wspomnieniem, jak siedzą na ławie oskarżonych, z plecami zaokrąglonemi, głową obwisłą, podczas gdy jego wyciągnięty palec, wychodzący z pod czerwonego rękawa, wskazuje przysięgłym gestem surowym tych, których zgłębił swym twardym słowem, wyzywając przeciw nim całą surowość prawa.

Wielu z nich powysyłał do więzienia lub na galery. Nawet przeciw jednemu, winnemu zabójstwa i kradzieży, otrzymał karę śmierci. A wszystko to bez wahania, bez skrupułu, z sumieniem spokojnym.

Daremnie dla tego rodzaju przestępców wywoływali obrońcy zawsze jednakową wymówkę: brak rodziny, wychowania moralnego. W replikach swych niemiłosierny mówca, adwokat generalny, ostrzegał przysięgłych przed tą czułościowością, przyczepiając się do samego tylko faktu, do popełnionej zbrodni: a więc, czy podsądny winien, albo niewinien?... zaklinając, aby ukarali w imię społeczeństwa, które powinno się bronić.

Nie, to niepodobna! Byłoby to zbyt potwornem! On nie jest ojcem tego mordercy, złodzieja, rabusia. Matka jego była prostą dziewczką, wieszającą się każdemu na szyi, i całą rzecz...

I ten stary urzędnik, którego całe życie, z wyjątkiem tego jedyne go błędu, czystém było i prawém, usiłował sobie teraz przypominać, z przekonaniem wmawiać, wszystkie liche racye, jakimi niegdyś kierował się, młodym będąc studentem. Ale nic nie pomogło: wyrzut dawnéj nieszczemności nanowo ugryzł go w serce, ostrzój, okrutniej niż kiedykolwiek; zdjął go wstyd, niesmak do samego siebie.

Zgorączkowany, z bijącemi skrońmi, wstrząsany dreszczem, pan Lescuyer chodził machinalnie po swym gabinecie. Dwadzieścia razy porywał i porzucał przeklęty dziennik, dwadzieścia razy odczytał opis tego ujęcia i to nazwisko Krystyana Forgeat, które mu błyskawicznemi smugami wybijało z kolumn gazety.

Zatopiony w téj myśli i przerażeniu, ogłuszony tym wypadkiem, pochłonięty wspomnieniami, nie uważał, że czas ubiega, że wskazówka zegarowa zna czy godzinę drugą.

Aż złamany znużeniem, usiadł przed biurkiem, głowę opuścił na założone ręce, i prawie natychmiast usnął.

Sen miał straszliwy.

Było to na placu Roquette, w dniu przeznaczonym na egzekucyę, rano, w chwili gdy blednie gaz. On wmieszany był w tłum, ale stał w pierwszym rzędzie, zaraz za żołnierzami; a poprzez ramiona dość blisko widział gilotynę z jój okrągłym otworem; dalej zaś zamkniętą jeszcze bramę więzienną.

Przyszło mu na pamięć to, co mówił Donadieu: „Wszyscy przeciw jednemu”. Nad nim, nad całym tłumem niemym i nieruchomym ciążyła mileżąca atmosfera snów.

Zwolna, pocichu, szeroko otworzyła się brama

więzienna. Zrazu nie widział twarzy spętanego człowieka; albowiem idący tyłem przed nim ksiądz przycisnął się dość szczelnie, aby mu zasłonić widok maszyny.

Lecz Krystyan Lescuyer doznał nagłego i okropnego ściśnienia, pomyślawszy o tej twarzy ukrytej; serce jego poczęło bić gwałtownie. Przeczucie miał, że gdy twarz tę zobaczy, będzie to dla niego cios nie do wytrzymania. Nie chciał patrzeć: zamknął oczy na sekundę; potem znowu, ustępując niepokonanej żądzy widzenia, dowiedzenia się, otworzył je szeroko.

Głowa skazanego była już w otworze gilotyny; ale topór nie spadał. I wtedy-to Krystyan Lescuyer spostrzegł, że młodzieniec ten — bo był to młodzieniec — podobnym jest do niego jak syn do ojca; że ta twarz jest taką samą, jaką była jego zamłodu; a oczy, te twarde oczy czarne, błyskające zpośród zrosniętych brwi, skierowane są na niego i spiorunowują go straszliwem spojrzeniem nienawiści.

Urzędnik zbudził się, krzycząc z przerażenia, obłany potem, ze złamanemi członkami. Tuż obok niego, na stole, w świetle lampy, leżał rozciągnięty dziennik.

I dla tego nieszczęsnego człowieka rzeczywistość równie straszną była jak zmora.

XVII.

Nazajutrz pan adwokat generalny Lescuyer nie mógł już mieć najmniejszej wątpliwości: ten Krystyan Forgeat, złodziej i morderca to jego syn.

Zaraz zrana urzędnik, pod pozorem powzięcia kilku wiadomości dla swego wielkiego dzieła udał się do „Dépôt”, a dozorczy wszystkich stopni, naturalnie, stanęli na jego rozkazy, posłuszni, z kępi w rękę, z uprzejmościami, które daremnie usiłowały zadać kłam przysłowiowemu porównaniu: „miły, jak wrota więzienne.”

Przechodząc przed celkami, przeznaczonemi dla ważniejszych więźniów, pan Lescuyer przystanął i zapytał towarzyszącego mu zawiadowcę zakładu:

— A tenże człowiek?... za zbrodnię przy ulicy Cadet?

— Forgeat?... Siedzi tu, panie adwokacie generalny, pod numerem czwartym... Jutro dopiero lub pojutrze przeprowadzonym będzie do Mazas.

— A jego zachowanie się?

— Bardzo przygnębiony... Spodziewam się, że ten kawaler nie da wiele sędziemu do rozplątywania... Siedzi on tam od wczoraj w towarzystwie jed-

nego dozorczy i jednego „bąka,” według zwyczaju. *) Ale dotąd jeszcze się nie wysapał. Dziś rano zaledwie wmusił w siebie polewkę... Jeżeli pan adwokat generalny życzy go sobie zobaczyć?... — dodał zawiadowca, dając znak idącemu za nim klucznikowi.

Klucznik już się porywał i hałaśliwie szukał w pęku klucza od numeru czwartego, kiedy pan Lescuyer zatrzymał go giestem.

— Nie trzeba... Spojrzę na niego tylko przez otwór od okienka.

Otwór ten, maleńki, wyrznięty we drzwiach nakształt tuby, dozwala ciekawemu oglądać całe wnętrze celi, tak, iż zamknięci w niej, ani domyślają się tego.

Pan Lescuyer przyłożył do otworu prawe oko, i od pierwszego wejrzenia spiorunowała go prze-rażająca pewność. Więzień ten podobnym był do niego jak dwie krople wody, więzień ten był *jego* synem.

Krystyan Forgeat siedział za stołem, u którego drugiego końca dozorca i człowiek w ubraniu więzienném spokojnie grali sobie w karty. Smutno wsparty na rękę, więzień plecami był do nich odwrócony, a twarz jego przedstawiała się wprost patrzącemu oku.

Z sercem bijącym jak młot, spotniały na całym ciele, pan Lescuyer natychmiast poznał te wydatne rysy, cerę ciemną, oczy głęboko osadzone pod łukiem czarnych i gęstych brwi zrosniętych. Wątpli-

*) Agent policyjny, przebrany za uwięzionego, który nowo-uwięzionego wyciąga na słówka.

wość była niepodobną. Więzień ten to w całym znaczeniu charakterystyczny typ Lescuyerów.

Z pewnym odrętwieniem, urzędnik nie mógł już odwrócić oczu od twarzy tego przestępcy. Zdawało mu się, że widzi siebie samego w tym wieku, kiedy był kochankiem Pauliny. A przecież rzeczywiste podobieństwo pomiędzy człowiekiem dwudziestoletnim i pięćdziesięcioletnim, lubo niezaprzeczone, dla innych nie mogło być do tego *stopnia* uderzającym.

Po dłuższej dopiero minucie przypomniał sobie gdzie jest, i mógł się wyrwać z tej strasznej kontemplacji. Musiał użyć wysiłku, aby powiedzieć służbie więzienną, że chce już odejść, i wtedy dostrzegł, że głos jego drży.

Korytarze „Dépôt”, wszystkie zakamarki tej ponurzej przystani są, szczęściem, bardzo ciemne. Adwokat generalny mógł pożegnać dozorców, którzy go odprowadzili aż na dół, tak, że nikt nie widział jego wzburzenia i bladej twarzy.

Szedł machinalnie, prosto do Pałacu Sprawiedliwości, stojącego w pobliżu, zamknął się w swym gabinecie, przyszedł nieco do równowagi, i powiedział sobie: „Trzeba spokoju...” Następnie: „Ale cóż robić?”

Przedewszystkiem zbadał okoliczności, o ile przestępca ten może ocalić głowę. Szanse były bardzo słabe. Morderstwo, a po nim kradzież, nie zostawiały żadnej wątpliwości co do obmyślenia zgóry. Zbrodnia, popełniona w sklepie otwartym, w śródmieściu Paryża, prawie przed oczyma przechodniów, głębokie wywarła na opinii paryskiej wrażenie, które, ożywione podczas procesu, bardzo niebezpiecznym będzie dla oskarżonego. Przysięgli, nieraz wyrozumiali na czyn krwawy, dokonany w namyślności,

zawsze prawie niemiłosierni są, gdy zbrodni przyczyną i celem jest kradzież. Krystyan Forgeat więc — do tego wniosku przychodząc, pan Lescuyer złodowaciał dreszczem na całym ciele — Krystyan Forgeat, według wszelkiego prawdopodobieństwa, byłby skazany na śmierć.

Daremnie pan Lescuyer próbował się uspokoić, daremnie mówił sobie i powtarzał, że wyroki na karę śmierci coraz są rzadsze, że Naczelnik Państwa szeroko używa swego prawa łaski, że się krew nie często przelewa na placu Roquette. Nie, ciągle dochodził do tej oczywistości, iż sprawa Krystyana Forgeat jest straszną: morderstwo i kradzież z obmyśleniem. Wypadnie najprawdopodobniej gilotyna.

Stary sędzia przypominał sobie wszakże niejednego przestępcę, równie obciążonego jak ten, który jednak kary śmierci uniknął. Od czego to zależało? Czasami od małej rzeczy: okazał żal, szczerą lub dobrze odegraną, zaszedł jakiś wzruszający wypadek podczas rozprawy sądowej, zeznanie jakiegoś świadka wzbudzające miłosierdzie, nadewszystko szczęśliwa obrona.

Jużciż obrońców dobrych nie brakło, i pan Lescuyer, walcząc przeciw nim logiką i krasomówstwem, znał wszystkich dzielnych rzeczników przy sądzie kryminalnym.

Piękną to dla obrońcy sprawą byłaby ta zbrodnia z ulicy Cadet; i już, dla ocalenia życia więźnia, pan Lescuyer życzył sobie porywającej akcji, płomiennych słów starego Péchaud, krasomówcy nieporównanego w ujarzmianiu słuchaczy, wzruszeniu ich aż do wnętrzości; człowieka patetycznego z natury, czułość posiadającego zarazliwą; człowieka, który płakał łzami prawdziwymi, nigdy się nie nużył, mówił

trzy lub cztery godziny z rzędu, i przychodził do ostatecznej konkluzji wówczas dopiero, gdy widział, że usta sędziów przysięgłych drgają, a oczy ich łzami zachodzą.

— Tak, tego to pana Péchaud trzeba teraz użyć; a Péchaud jest przyjacielem pana Lescuyera.

Umiałyby do téj sprawy zainteresować starego mistrza, który w zawodzie swym, długim i świetnym, w dwóch tylko razach nie zdołał uratować od kary śmierci, i który jeszcze jeden odniósłby tryumf w tym wypadku prawie rozpaczliwym, wymęczyłby okoliczności łagodzące.

Tak. Ale jakie? Co można istotnie powiedzieć dla umniejszenia zgrozy téj zbrodni? Pan Lescuyer pytał o to z niesłychaném odrętwieniem. Zrazu ani podobna mu było wymyśleć najmniejszej ulgi, najmniejszej wymówki. Stary prokurator, oskarżyciel publiczny, dotąd oskarżać tylko umiał: po latach przeszło dwudziestu umysł jego nabrał giętkości w gimnastyce obciążeń.

Ale zrobił wysiłek. Strząsnął stare przywyknienia.

Tak, można, łatwo nawet już wystąpić z obroną za tym Krystyanem Forgeat. Syn nieprawy, od urodzenia opuszczony (przez kogóż, przebóg!), sumienie dziecięce nadpsute, spaczone przez pobyt w zakładzie poprawczym...

Potem, przypominając sobie, ilekroć to pogardliwie odrzucał podobne wymówki, przytaczane przez obrońców, uczuł teraz, jak go ogarnia paląca gorycz ironii, przejął się zgrozą dla samego siebie, powziął podejrzenie, że całe jego życie urzędnicze tylko niesprawiedliwościom służyło.

I raz jeszcze przeciągnęli przed jego oczyma

wszyscy przestępcy z plecami pochylonemi naciskiem grozy i wstydu, których on swą mściwą wymową zgębił, wysłał do ciężkich robót lub na rusztowanie. Przeciwno wszystkim tym nieszczęśliwym wygłaszał tylko słowa gniewu i zlorzeczeń, przekonany zkądinąd, że spełnia powinność wyższą, obowiązek wielki i pożyteczny.

A teraz oto syn jego własny — już dla niego niewątpliwie własny — zasiada na ławie hańby i przeciwko temu synowi on sam ma wyzywać pomstę publiczną. Ten syn stał się mordercą i złodziejem, ale po ilu-to życiowych cierpieniach i pokusach? Kto zaś zgotował mu takie życie, od urodzenia, jeżeli nie samolub i nikczemnik, który opuścił biedną dziewczynę, a jego, jak inni szczenie nowonarodzone rzucają w kanał, on, ojciec, pozostawił na łup wszystkim przygodom nędzy?

Od tego dnia począwszy, każda godzina, każda minuta życia pana Lescuyera zatruta była temi trapiącemi myślami. Ścigały go one nawet podczas krótkiego snu i dręczyły katuszami zmor.

Lecz w moralném zatopieniu tego człowieka jedna wypływała na wierzch deska: uczucie odpowiedzialności względem nieprawego syna.

Za pośrednictwem sędziego śledczego, którego adwokat generalny umiał zręcznie wybadać, pan Lescuyer dowiedział się całej, oplakanéj biografii Krystyana Forgeat. Wiedział o śmierci Pauliny, o pobycie chłopca w Osadzie Plateau, o jego przygodach w najniższej cyganeryi paryzkiéj. I rozważając dolę swego nieszczęsnego syna, urzędnik widział się coraz bardziej winnym.

Dalej-że, surowy sędzio, urzędniku nieubłagany, przywdziej swą szkarłatną szatę, wykładaną gro-

nostajami, i beret obwiedziony złotem! Do obowiązku! Potrząsaj mieczem Prawa, gromadź pioruny na czoło przestępcy! Dla zgładzenia syna, ty nie masz w sercu cnoty Brutusa; ale, nowy Abrahamie, anioł Sprawiedliwości ramię twe prowadzi; a bezpieczeństwo współobywateli, umowa społeczna, wymagają, ażebyś był obludnikiem i okrutnikiem, i zażądał głowy złoczyńcy. Tobie on winien życie, życie okropne! Co robić? twoja to rola ohydna, twoja powinność obrzydliwa, żądać jego śmierci. Buchnij całą wymową, niech przysięgli mieszczanie zadrżą na twój opis zbrodni. Przeklnij tego człowieka szerokim giestem swego czarnego rękawa i poślij go na rusztowanie. Koniec końców, twoje tylko sumienie wiedzieć będzie, który z was dwóch w gruncie gorszym jest złoczyńcą!

Wzburzenie, jakie odrazu powstało w mieście na ten tragiczny wypadek, nie uśmierzyło się dotąd. Była to w całym znaczeniu sprawa rozgłośna; nikogo też nie dziwiło, że i pan Lescuyer żywo się nią zajmował. Dowiedział się tym sposobem, że obwiniony nie zaprzecza ani morderstwa ani kradzieży; lecz uporczywie i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu broni się przeciw obmyśleniu zbrodni.

Daremnie sędzia śledczy używał przeciw Krystyanowi Forgeat wszelkich swych podstępów, daremnie stawiał rozmaite zasadzki. Ten trwał upornie w tym systemie obrony, jakkolwiek ubogim, nie okazując wreszcie żadnej nadziei przekonania kogobądź, bardzo przygnębiony, zniechęcony, zrezygnowany na śmierć.

— Powtarzam panu — odpowiadał sędziemu, który go męczył i denerwował nagłącemi pytaniami — poszedłem tam, ażeby sprzedać ten kwit lom-

bardowy, i anim pomyślał o zabiciu żyda, aż kiedy on otworzył skrzynię i kiedy zobaczyłem rewolwer obok pugillaresu i miseczek pełnych złota... Oh! ja wiem, że pan mi nie wierzysz i tak samo nie uwierzą mi w sądzie, i zapewne będę gilotynowany.. I owszem: dosyć mam tego życia; nie takie ono zabawne... Ale nie mogę się czynić gorszym, niż jestem, i opowiadam panu rzeczy, jak są, ponieważ to prawda.

Sędzia śledczy, pan Courbemer, stary praktyk, namiętnie do zawodu swego przywiązany, ale dobry człowiek, zaczął podziwiać tę uporczywość, i wierzył prawie w szczerść winowajcy.

Pewnego rana, idąc do swego gabinetu, napotkał pana Lescuyera w dziedzińcu Pałacu Sprawiedliwości, i pierwszy począł mówić mu o przestępcy.

— Skoro to zaciekawia pana adwokata generalnego, powiem, że już wystrzelał wszystkie ładunki, i nic więcej z więźnia nie wydobędę. Za dwa lub trzy dni zamknę akta śledcze i prześlę je do wydziału. Przewiduję, że w Izbie kryminalnej ten Forgeat nie zdoła wmówić w przysięgłych, iż bez obmyślenia, ale tylko z doraźnego popędu na tamten świat wyprawił żyda; w każdym jednak razie jest to bardzo prawdopodobne. Jeżeli chłopak ten mnie oszukał, to musi być dyabło cięty i doskonale naśladuje akcent szczerści..! Jeśli mam powiedzieć prawdę, wyznam, że mnie on usposabia do pobłażliwości.... Przytem ostatnie świadectwo, jakie co do niego otrzymałem, wczoraj właśnie, sprawiło na mnie wrażenie nader korzystne.

— Jakież to, kochany kollego? — zapytał pan Lescuyer, chciwie słuchający słów sędziego.

— Oh! — odrzekł tenże — jest to świadectwo

istoty nieszczęśliwej, dziewczyny niemal publicznej, u której Forgeat bawił jakąś godzinę w wieczór po dokonaniu zbrodni... Dziewczyna ta dobrowolnie stała się do zeznania na jego korzyść. Oczywiście, w świadectwie jej znalazłem tylko wskazówkę, co do moralnej osoby Forgeata, fakt nie odnoszący się bezpośrednio do samej sprawy... Jest to jednak dowód, że nasz morderca ma w sobie coś dobrego, i że mu pozostał, jakby to powiedzieć, pewien rodzaj serca... Ale dla pana adwokata generalnego nie będę czynił tajemnicy. Proszę wejść do mnie na górę: przeczyta pan zeznanie. Rzecz to ciekawa, zapewniam.

Po zawikłanych schodach dwaj urzędnicy weszli do gabinetu sędziego śledczego. Był to pokój dość szczerpy, o niskim suficie, usprzęcony biurokracyjnie.

Podczas gdy pan Courbemer, pod okno przywoławszy pisarza, pocichu dawał mu rozkazy, adwokat generalny, siedząc nad rozłożonymi aktami Forgeata, uważnie odczytywał ostatnie zeznanie.

— Nieprawdaż, że to osobliwe? — odezwał się stary sędzia.

— Rzeczywiście — odparł pan Lescuyer głosem zmieszanym — ma pan słusność. Są jeszcze dobre popędy w tym młodzieńcu... Ale nie zabieram ci czasu, kochany panie sędzio: bywaj zdrów.

I uściskawszy rękę kollegi, żywo wyszedł pan Lescuyer, by nie dać poznać wzruszenia, jakie go chwyciło za gardło.

Na korytarzu dopiero zapisał sobie w notatniku nazwisko i adres: „Ludwika Rameau, ulica Vinai-gries, numer dwudziesty drugi.”

— Muszę zobaczyć się natychmiast z tą kobietą i pomówić z nią — szepnął do siebie.

XVIII.

Oh! jakże długim jest dzień dla człowieka opawanego myślą natrętną, bez ustanku napastowanego przez wyrzut sumienia i lęk! I taki dzień kończy się jednak.

Służący wnosi wielką lampę do pracy i stawia ją na biurku pana Lescuyera, w mieszkaniu przy ulicy Królewskiej.

— Zapal także kandelabry nad kominkiem — rozkazuje urzędnik, krokiem niecierpliwym chodząc po gabinecie. Potem dodaje:

— Ta pani... osoba, do której posyłałem cię dziś popołudniu, przybędzie zapewne niebawem, około godziny dziewiątej. Przyjmę ją.

Po wyjściu służącego pan Lescuyer chodzi wciąż gorączkowo po obszernej, ciemnej komnacie, przed stosami starych ksiąg, których już nie otwiera, przed stołem zawalonym rękopisami, do których nie dodaje ani wiersza, przed ciężkim kałamarzem brązowym, otoczonym piórami suchymi.

Albowiem od dwóch miesięcy, jak Krystyan Forgeat został uwięziony, pan Lescuyer niezdolnym jest do żadnej pracy. O niczem myśleć nie może, tylko

o tym mordercy, który siedzi w Mazas, który wkrótce sądzonym będzie publicznie w Izbie, i który jest jego synem.

Ocalić go! Tak, on go może ocalić!

Tylko wtedy uważać on będzie, nie za odpuszczony, ale za częściowo choćby odpokutowany, grzech, którego się niegdyś dopuścił, i który jego całe życie zatrzał. Jakoś to się ułoży! Ma przyrzeczenie Péchauda, który bronić będzie Forgeata; on zaś sam ma zasiąść w krześle urzędu prokuratorskiego. Jeżeli komplet sędzący przechyli się ku pobłażliwości, wyrok wypadnie na kilka lat ciężkich robót.

Ale tu boleśnie drgnął, zatopiony w swych rozumowaniach, urzędnik.

Na galery! Piękny mi tryumf! On ma syna wysłać na galery!

I znowu zaczyna myśleć, że przyczyną wszystkiego jest on, człowiek otoczony szacunkiem i poważaniem; że, jeśli ten nieszczęsny chłopiec stał się zbrodniarzem, to wina jego, ojca bez serca. Na galery!

Kiedy syn jego będzie tam, to on mu pośle pieniądze, aby miał na jakie łakotki, na tytuń. Jakież szyderstwo losu! Ależ, gdyby go nawet zupełnie uwolnił, gdyby się odtąd synem swym zajął z całą troskliwością, gdyby go sprowadził na zupełnie dobrą drogę, jeszcze-by zaledwie wynagrodził złe, jakie zrządził. O takim przecież uwolnieniu on nawet myśleć nie może.

Tymczasem na progu ukazuje się służący.

— Ta pani przybyła.

I na znak pana Lescuyera wprowadził młodą kobietę.

Wygląda ona na lat dwadzieścia dwa lub trzy; byłaby nawet ładną, gdyby nie smutek i niepokój.

Lubo już nadeszła jesień, z wieczornym chłodem, ubrana ona jest do figury, w sukni letniej, niebieskiej w białe groszki, zapewne dlatego, że nie ma innej; w żółtym słomianym kapeluszu, nieco strzępiastym, z jednego boku podniesionym *à la mousquetaire*, zdobnym wiązaną bratków. Suknia skrajana dobrze, kapelusz musiał być ładny. Ostatniej wiosny musiało to stanowić wdzięczny strój gryzетки; ale zużyło się to, spłowiało, niebawem przejdzie w lachman ubóstwa.

Młoda kobieta nieśmiało stąpa po tej wielkiej komnacie, słabo oświetlonej lampą i kandelabrami. Lękliwie wznosi oczy na tego pana, całego w czerni, stojącego przed kominkiem, który patrzy na nią wzrokiem głębokim i bolesnym, oczyma zdającymi się płakać. On jej wskazuje krzesło, siedzi sam naprzeciwko, przemawia głosem wolnym, jakby kłopotliwie.

— Prosiłem panią, abyś przybyła do mnie, i dziękuję, żeś spełniła to tak prędko... Jestem jednym z sędziów tego... (tu zatrzymał się nieco) tego Krystyana Forgeata... Ale nie obawiaj się niczego... Jeśli się chciałem zobaczyć z panią, jeżeli pragnę z ust twoich usłyszeć to, co, nie będąc obowiązana, sama przez się powiedziałaś sędziemu śledczemu, to dlatego, że w zeznaniu twém, którem czytałem, znalazłem coś nader korzystnego gwoli... więźnia. Zaufaj mi i nie wąp o moich dobrych chęciach, tak dla pani, jak i dla tego, komu pragniesz być użyteczną... W tej chwili nie jestem ja urzędnikiem, ale człowiekiem, który, z powodów mnie tylko wiadomych, chciałby oszczędzić Krystyanowi Forgeat, nietylko

biedną małą, źle odżywianą, która w oczach nikła. Towarzyski, sąsiadki mówiły do mnie:

— „Ej! młodaś przecie, przystojna! Ja-bym tam się nie trapiła.

Ale ja nie mogłam się odważyć. Wiem-ci ja, że w Paryżu kobieta, która nie ma nic oprócz pracy rąk, zawsze na tém skończyć musi... Ale mnie to przejmowało zgrozą: wołałam cierpieć i wszystkiego się pozbawiać, niż zejść na psy, choćby przez pamięć na Alberta...

Tu zatrzymała się; za gardło chwyciło ją łkanie.

Siedzący naprzeciwko mężczyzna, łokciami podparty na poręczach fotelu, słuchał i oczy zasłaniał ręką, jakby go raziło światło kandelabrow. Ale to tylko dla ukrycia swych wzruszeń. Bolesna opowieść przypomniła panu Lescuyerowi inną biedną dziewczynę, która także pozostała sama na świecie z dzieckiem: myślał o Paulinie.

— Przepraszam pana — mówiła dalej Ludwika Rameau z wielkim wysiłkiem — bardzo przepraszam za to opowiadanie całej historii, która niema związku ze sprawą... Ale-bo według tego, co jeszcze mam opowiedzieć, nie chciałabym się wydać panu zbyt wstrętną kobietą.

Wciąż oczy zakrywając jedną ręką, pan Lescuyer dał drugą młodą kobiecie znak zachęcający, i powiedział głuchym głosem:

— Mów dalej, biedne dziecko. Czuję, że jesteś szczerą i słucham, wierzaj mi, ze współzuciem.

— Czas jednak upływał — mówiła dalej Ludwika. — Biegając po całym mieście, znalazłam trochę roboty, tyle, ile na chleb dla dziecka i dla siebie. Pod koniec Sierpnia zajęcia przybywa nieco, i moja dawna magazynierka daje mi sztukę jedwabiu

do wyhaftowania w domu: materya bardzo piękna, wartująca przynajmniej sześćdziesiąt franków.

Pewnego wieczora.... jużem była na ukończeniu, nazajutrz miałam odnieść do pracowni i otrzymać piętnaście franków... Otóż tego wieczora dziergam sobie spokojnie, kiedy mała, śpiąca przy mnie w kolebce, budzi się nagle i zaczyna krzyczeć. Szybko się zerwawszy, potrąciłam stół, lampa upada i nafta wylewa się na jedwab... Masz tobie! Teraz ja winnam została pani trzy luidory, a miałam wszystkiego dwadzieścia soldów w kaletce.

Wtedy, kołysząc małą, aby ją uśpić, wpadłam w jakąś wściekłość... Aha! więc to tak!... tém gorzej! Będę i ja takie życie prowadziła, jakie prowadzą inne!... I nabiorę luidorów, choćby zaraz!...

I jak tylko moja mała zasnęła, ubrałam się i wyszłam.... Suknia moja, ot ta, którą mam na sobie, nie była jeszcze bardzo znoszona, kapelusz również; miałam też rękawiczki. Słowem, nie wyglądałam tak zmarnowana, jak dzisiaj!...

Tuż nieopodal ode mnie, przed dworcem Wschodnim, na tarasie wielkiej kawiarni, widywałam często kobiety siedzące w strojach przejrzystych i krzyczących... Poszłam tam i kazałam sobie coś podać... Zrazu wstyd mnie zdjął... Kobiety koło mnie krzyczały głośno, jak bezwstydnice, wygłaszały słowa plugawe...

Już zamierzałam się wycofać, kiedy młodzieniec jakiś, który usiadł przy stoliku obok mojego, tak, iż go nie zauważyłam, odezwał się, przysuwając swe krzeselko:

— „Czy można się poznać?”

A gdym, zalękniona, nie odpowiadała, dodał:

— „Na grzbiecie się nie świeci, ale w kieszeni jest za co użyć; proszę się nie obawiać.”

Spostrzegłam wtedy, że jest lichy przyodziany; a on mówił precz:

— „Chce się panna przekonać?”

I wydobył z kieszeni garść złotych sztuk.

Niechaj mi pan wybaczy: wszystko to szkaradne, co opowiadam... Ale co począć? Byłam w rozpacz: ten wypadek z jedwabiem dobił mnie do reszty.

Gdym rzekła temu młodzieńcowi, że jestem gotowa do niego pójść, odparł mi:

— „Niepodobna!”

Potem, zawahawszy się chwilę, dodał:

— „Ja mieszkam u krewnych; pójdę do panny.”

Do mnie? W pokoju moim była moja córeczka!... Ale nędza odebrała mi rozum! Toć przyszłam tu, aby się sprzedać. Tém gorzej! Sprzedam się!

Wstał, by mi podać ramię, i spostrzegłam, że nieco napada na nogę... Moja ulica Vinaigriers jest ztamtąd o dwa kroki..

Szliśmy, nie do siebie nie mówiąc. Raz on tylko odezwał się do mnie:

— „Panienska niebardzo rozmowna”.

Od czasu do czasu spoglądał na mnie i przestraszał mnie nieco swemi czarnemi oczyma i grubemi brwiami...

Weszłam do pokoju pierwsza, on za mną. Instynktowo położyłam palec na ustach, mówiąc: „Cicho!..” i pokazałam mu kolyskę.

Spojrzał, machnął ręką i szepnął:

— Eh! to śpi jak zabite, takie maleństwo.

I rzucił kapelusz na krzesło.

Ale wtedy .. Oh! wtedy ja, panie, wtedy ja poznałam, że mnie wstyd!... Poczulałam, że ten człowiek

i ja... tu... przy mojej córeczce... to coś niepodobnego, nad moje siły... Serce mi wezbrało, wybuchnęłam łzami, i jęłam błagać tego młodzieńca, aby mi dał pokój, aby sobie poszedł, przeprasząc go, że się zgodziła na próżno, mówiąc mu, ażeby wrócił do kawiarni, gdzie znajdzie kobiety ładniejsze ode mnie.

On wtedy, zamiast się gniewać, zapytał: dlaczego tak nagle zmieniłam zamiar i dlaczego płaczę? A ponieważ przemawiał do mnie łagodnie, pomimo ponurej miny, wzbudził we mnie ufność i opowiedziałam mu wszystko... Okazałam jedwab splamiony naftą; opisałam mu nieszczęścia moje, mówiąc, że mi to zdarzyło się pierwszy raz, i to ze względu na moje dziecko.

Śluchał mnie w milczeniu, z głową spuszczoną, wciąż spoglądając na kołyskę. A gdy skończyła, sięgnął do kieszeni, wydobyl garść pełną złota, jak przedtem w kawiarni, i składając je na stole, wyrzekł półgłosem:

— „Ja także, gdy bym był małym chłopczykiem, miałem matkę, która mnie bardzo kochała.”

Oslupiałam... rozumie pan... Siedziałam, oczom nie wierząc, nie dziękując mu nawet. Ale, gdy wziął za kapelusz, jakby miał wyjść... oh! byłam tak wdzięczną, że go chwyciła za rękę dla pocałowania. Ale on żywo ją wyrwał, schował pod zakietę i zawołał:

— Mnie całować w rękę, w tę rękę!.. Oh! gdybyś pani wiedziała!..

I urwał, jakby przerażony tém, co powiedział. Rzucił na mnie ostatnie spojrzenie, tak strasznie ponure i przerażające!... i wybiegł. Ale chwila ta, panie, utkwiała mi w pamięci tak, że i teraz jeszcze, gdy

to opowiadam, widzę, jak drżą drzwi moje, które zatrzasnął za sobą ten człowiek, słyszę kulawy krok jego, cichnący na schodach.

*

*

*

Podczas gdy Ludwika Rameau opowiadała te bolesne rzeczy, pan Lescuyer zapadł się w swym fotelu, z łokciami na kolanach, twarzą w rękach. Upadał pod ciężarem wyrzutu i wstydu.

Zatem ten Krystyan Forgeat, ten włóczęga, ulicznik, dla kobiety spotkanój w brudném miejscu, dla nieznanego mu dziecka, zrobił to, czego on, młodzieńiec bogaty, szczęśliwy, w zasadach czci wychowany, odmówił tój, która dwa lata życia mu rozweselała, i już owoc jego pieśczoł nosiła w łonie! Ten złodziej i morderca, jego syn, litościwszym był i lepszym od niego!

— Nazajutrz — mówiła dalej Ludwika Rameau — poszlam zapłacić magazynierce za zniszczoną materję, a zarazem dla malój i dla siebie nakupełam potrzebnych rzeczy. Zostawało mi około dwustu franków. Znaczyło to kilka tygodni bez nędzy; błogosławiłam też wciąż wspaniałomyślnego tego nieznajomego.

Dopiero na trzeci dzień sąsiadki opowiadają mi zbrodnię przy ulicy Cadet; pan pamięta: o tém tylko wówczas mówiono; pokazają mi *Petit-Journal*... Opisywano tam, jak wygląda przestępca... grube brwi czarne... napada na jedną nogę...; i ja też zaraz sobie przypomniałam jego giest, kiedy wyrwał mi rękę, i już byłam pewną, że to ten zabójca był u mnie. Naturalnie, człowiek lichy ubrany, który rozprasza złoto garściami... Tak, hojny jak złodziej!... Właśnie... Nie było wątpliwości.

Zrazu, powiadam panu, straszne to na mnie zrobiło wrażenie. Nadewszystko zgrozą mnie przejęły pieniądze od niego. Zdawało mi się, że, ponieważ ich dotknęłam, to mi się całe życie ręce krwawić będą; i dłużej się nie namyślając, pobiegłam do najbliższego kościoła Świętego Wawrzyńca i wszystkie sztuki złote wpuściłam do skarbonki dla ubogich. Na samo wspomnienie o tym Forgeacie przechodził mnie dreszcz. W nocy miewałam sny, w których widziałam ożywiające się i poruszające obrazy zbrodni, jakie wówczas rozwieszano po wszystkich kioskach z gazetami.

Po kilku dniach jednak uspokoiliam się nieco, i wspomnienie tego człowieka tak mnie już nie przerażało. Przypominałam sobie zwłaszcza, że mi zwierzył, że się nade mną ulitował. Powiedziałam sobie, że jestem niesprawiedliwą, i że wielu nie zrobiłoby dla mnie tego, co zrobił on. Niejeden przyjęty przez taką dziewczkę, gdyż ja postąpiłam jak dziewczka, widząc ją nagle zalewającą się łzami i proszącą, aby sobie poszedł, myślałby, że to kaprys, przystęp szalu, i wyszedłby, wzruszając ramionami. On, przeciwnie, słuchał mnie bez znużenia, czuł, że mówię prawdę, i dopomógł mi hojnie.

Powiedziałam też sobie wtedy, że, mimo zbrodni, jakiej się dopuścił, ja mu jestem obowiązana; i kiedy wszyscy mówili o nim jako o potworze, lżyli go i kłęli, ja zaczęłam myśleć o nim z litością.

To znowu, czytając w dzienniku wszystko, co mówiono o sprawie Krystyana Forgeat, myśląc o tém całym sądownictwie i policyi, które zwały się na niego, a grzebały w jego przeszłości i musiały zapewne wynajdywać tam przeciw niemu rzeczy najgorsze, zrozumiałam, że obowiązkiem moim jest, sko-

ro wiem o jego dobrym uczynku, ujawnić go, ażeby sędziów ulagodzić nieco.

Ku temu trzeba było wyjawić bardzo haniebną godzinę mego życia; ale nie miałam innego sposobu przekonania go, że jestem mu wdzięczną.

I dlatego to, panie, opowiedziałam sędziemu śledczemu spotkanie się moje z Krystyanem Forgeat; dlatego, gdy pan mnie wezwał w jego imieniu, przyszedłam i powtórzyłam całą historię; dlatego gotowam powtórzyć ją jeszcze na Sądach...

Biedną jestem kobietą, ale serce mi mówi, że czynię dobrze. Nie chcę już pamiętać, że człowiek ten jest przestępcą, ale, że jest nieszczęśliwym, i sprawiedliwem mi się wydaje, ażeby, gdy go wszyscy potępia, znalazła się choć jedna dusza, mogąca zapewnić, że choćby raz w życiu był dobrym.

* * *

Ludwika umilkła: wypowiedziała wszystko.

Naraz widzi z osłupieniem, jak starzec wstaje i podchodzi ku niej, z otwartemi rękami, z twarzą wskroś zwilżoną przez łzy. Ujmując ją za rękę, przyciska ją do piersi i czule całuje w czoło.

— Dziecko moje, biedne dziecko moje — powiada, łkając — wiedz o tém naprzód, że od dziś dnia ja zajmuję się tobą i twoją córeczką, i nędzy odtąd znać nie będziesz... Jest w tej chwili człowiek, któremu twój instynkt dobroci dyktuje obowiązek i wskazuje przykład; człowiek, którego cała przyszłość złamana, który, jak ty, chce odtąd tylko rządzić się sercem, a dla ocalenia głowy tego nieszczęśliwego, sam dobrowolnie wyzna swą winę i cały swój wstyd za nią wyjawi.

XIX.

W Izbie sądowej, za stołem sędziowskim zasiadło trzech. Pośrodku siedzi przewodniczący, gruby starzec o szerokiej twarzy, zupełnie łysy i połyskujący skórą, z owłosienia mający tylko brwi szare, wysoko najeżone ponad jasnymi oczyma. Na jego zmysłowych wargach wciąż się przemyka żartobliwy uśmiech.

Jest to radca Durousseau, sławny ze swych „dowcipków”, z figielków sądowych, z gracji wielkiego, leniwego kota, którą rozwija, igrając z głową przestępcy. Bardzo światowy, wielki bywalec, uczęszczający stale na wszystkie ważniejsze premiery teatralne, obiadujący prawie co wieczór w mieście, pan Durousseau uchodził w prassie za paryzkiego folbluta. Kiedy przyduje, zawsze pełno na miejscach wyłączonych—kobiet światowych, aktorek, literatów. Jeden z jego przyjaciół, wodewilista, przezwał go jedynym prezesem „który robi pieniądze.” Dobry prawnik, zwolennik nauki, umiejętny zbieracz medali, radca Durousseau jest przytem najuprzejmiejszym ze światowców, i bardzo-by się zadziwił, gdyby mu kto powiedział, że jest coś

nieprzyzwoitego i okropnego pstrzyć facecyami badanie nędzarza, którego on ma niebawem wysłać do ciężkich robót lub na rusztowanie.

Dwaj assessorowie przedstawiają fizyonomie bardziej zamazane. Na prawo siedzi drugi łysy, ale chudy, z brodą czarną i spiczastą, twarz migrenowa; na lewo stary blondyn, bardzo pomarszczony, różowy jak reueta, przewracający niebieskimi oczyma zpoza złotych okularów.

Trzej ci panowie, ciężko zatopieni w fotelach, szeroko rozkładają na stole swe czerwone rękawy, i zdają się upadać z trudu i znużenia.

Sprawa z ulicy Cadet, nad którą rozprawy trwają od dwóch dni, nie sprawiła tego efektu dramatycznego, jakiego od niej oczekiwano; a posłuchanie wczorajsze zawiodło nadzieję pięknych pań oraz wyborowych paryżan, którzy przybyli tam szukać silniejszych wrażeń. Akt oskarżenia, długi nieskończenie, czytany przez sekretarza głosem monotonym i sennym, odgrzewał tylko fakta dwadzieścia razy już opisane przez dzienniki, a badanie winowajcy nie więcéj było podbudzającym.

Nasamprzód, sama osoba Krystyana Forgeat zawiodła wszystkich. W tym zabójcy, zdolnym zamordować kogoś prawie na pełnej ulicy Paryża, publiczność myślała zobaczyć pierwszego aktora sceny sądowej, straszego bandytę, urwisa z dzikich puszczy, żyjącego wśród cywilizacyi. Tymczasem ten wątły chłopczyzna, z miną ubogą i o skromnej postawie, który wyznawał zbrodnię ze szczerym żalem, - przeczając tylko umyślnemu zamiarowi, zrezygnowany na karę, wydał się wcale miernym. Dzieciństwo jego, nędzne i oplakane, dobre prowadzenie się w Osadzie poprawczej, wszystko to było bardzo płaskie.

— Et! romansuje tylko z nami — odezwała się pyszna panna Lamour z teatru Rozmaitości, ta, co to okazuje wszystko, co posiada, w sztukach pornograficznych.

A panie światowe, które niezdrowa ciekawość sprowadziła do Izby sądowej, zaczęły ziewać za wachlarzami.

— Zmystyfikował nas ten poczciwy prezes, moja droga, przyrzekając nam interesujący poranek... Lepiej było pójść do Akwarelistów.

Czując chłód i roztargnienie wśród słuchaczy, pan Drouseau próbował ich rozmrozić jakimi dowcipkami. W dyalogu z oskarżonym, któremu krótkimi i głuchymi frazesami wyrywał opowiadanie zbrodni, pan prezes znalazł nawet sposobność do umieszczenia dwóch kalemburów, lecz bez zwykłego efektu rozweselającego.

Znudzono się kapitalnie podczas całej audyencji, a wodewilista, przyjaciel pana Drouseau, streścił ogólne wrażenie, oświadczając żałośnie:

— Biedny ten prezes! Niema co mówić: *fiasco furioso*.

To też na drugi dzień przerażały pustki: chęć usłyszenia, jak pan Adwokat generalny (prokurator) będzie potępiał, jak pan Péchaud będzie bronił, do ławek wyłączonych sprowadziła nieliczne grono ciekawych. Było, jak mówią w teatrze, pół sali; a widząc przed sobą prawie samych tylko przysięgłych, członków biur redakcyjnych, kilku adwokatów, a dalej, ku końcowi, pospólstwo źle okryte i źle woniejące, pan Prezes był w kwaśnym humorze.

Pomiędzy dwoma sennymi Konsyliarzami niedbale kierował biegiem zeznań, które następowały po sobie, nie dodając wreszcie nic nowego do szczegó-

processu, opinii, wyroku. Poco ten nowy świadek, ta kobieta nieznana? Wszak on zgubiony już! Wie o tém dobrze, bo nikt dać dowodu nie może na to, że wszedł do żyda bez karygodnego zamysłu, że zabił go w przystępie szalu. Powtarzał to dziesięć razy, i nie uwierzono mu; a kiedy podnosił rękę, aby zaprzysiądz, że mówi prawdę, Prezes, ten łysy grubas, zakpił sobie z niego i obrzucił go sarkastycznemi uwagami.

Niechże go więc zaraz gilotynują! Wszak to prościej. A to, co może powiedzieć ta kobieta, ani go będzie parzyć, ani ziębić.

Lecz kiedy od pierwszych słów zeznania poznał biedną Ludwikę, kiedy usłyszał, jak łagodnie a dzielnie opowiadała, co uczynił, i błagała sędziów, aby mu policzyli ten dobry uczynek, nastąpił przełom w rozpaczy więźnia: Krystyan, opuściwszy głowę na rękę, jał zanosić się od płaczu.

Na ten widok, adwokat generalny, siedzący dotąd nieruchomo w swęj katedrze oskarżyciela, musiał zebrać całą energię moralną, aby powstrzymać lzy gotowe wybuchnąć.

Człowiek ten, pelen boleści i wyrzutu, który poprzysiągł sobie, że spełni coś niesłychanego; człowiek, który w jednéj chwili, wypierając się całej przeszłości, zdradzając urząd sędziego, dla ocalenia winowajcy miał sobie sam zadać uroczystą karę; człowiek, przebywający teraz w życiu najstraszniejszy moment — uczuł zstępujące mu do duszy głębokie i pocieszające wzruszenie.

Oh! jakież to szczęście! Ten Krystyan, syn jego, upadły tak nisko, nie jest zupełnym zloczyńcą; reszta sumienia drga w nim żywo jeszcze, skoro czuje

i ocenia szlachetność téj pokornéj kobiety, skoro płacze przed tym jéj czynem dobroci i mężstwa.

Zeznanie Ludwiki Rameau wywarło na słuchaczach wrażenie znaczne. Gdy oświadczyła, w jaki sposób poznała się z oskarżonym, i jak go do siebie zaprowadziła, pan Prezes uważał zrazu za stosowne zaryzykować kilka słówek rozpierających. Ale stary Péchaud, obrońca Forgeata, podniósłszy siwą głowę, wdał się z taktem i kilku ojcowskiemi słowy uspokoił zatrwożenie Ludwiki, która mogła dokończyć swéj przykréj i wzruszającéj opowieści.

Po skończeniu jowialny radca Dourousseau nie doznawał już potrzeby blaznowania; powstał nawet, po jéj odejściu, jakiś ruch pomiędzy Przysięgłymi, dotąd dość obojętnymi, a dwaj w dodatku głośno wytarli nosy.

Niemniej przecie wypadek, lubo tak wzruszający, nie dotyczył gruntu sprawy, i szansa ocalenia głowy oskarżonego wciąż pozostawała bardzo wątpliwą.

Przy śledztwie odpowiadał on nieźle. Fakta ustanowione przy badaniu potwierdzały ściśle jego zeznanie; żal swój wyraził bez frazesów, bez wykrzywiał. Ale czy przysięgli odpowiedzą „nie” na zapytanie sądu o zamiar rozmyślnego zabójstwa? rzecz to mało prawdopodobna, chybaży Péchaud przeszedł samego siebie.

— Jakież pański prognostyk, szanowny panie mecenasie? — zapytał pana Bégasse'a młody sekretarz.

— Hm! — odparł stary rutynista. — Péchaud wypuści nam swoje wielkie efekty melodramatyczne i będzie usiłował pompować lży... Oskarżony nie ma przeszłości sądowéj, oprócz pobytu w Osadzie, co, na dobrą sprawę, winnoby mu być policzone za

okoliczność łagodzącą raczój... Kto wie? Może i zdoła wycofać szyję zpod lunety. Ale zawsze to jest morderstwo w połączeniu z kradzieżą... Panowie przysięgli, jak ci wiadomo, mój mały, kamienicznicy, kupcy, *et caetera*, takich rzeczy nie lubią zgola... O! patrzaj-no na tego grubego apoplektyka, trzeciego na drugiej ławie Przysięgłych... To ci, panie, jeden, który nie musi być bardzo słodki dla lokatorów w końcu kwartału. Jeżeli Péchaud wycisnie choć jedną łzę z oczu tego starego krokodyla, a zdolnym jest do tego, to Forgeat skwituje się dwudziestoleciem ciężkich robót... Ale powtarzam, morderstwo i kradzież to gruba sztuka... Lescuyer, który ma czasem zęby bardzo twarde, może wszystko zepsuć... Słowem, nie chcę się bawić w proroka: wszystko zależy od mowy oskarżyciela... a właśnie oto podnosi się on, pan Adwokat generalny.



XX.

Rzeczywiście, powstał przerażający, z głową nieruchomą, ciałem sztywném i jakby wydłużoném przez czerwoną szatę.

Ściągnął bardziej niż kiedykolwiek swe gęste brwi i z gięstem, zwykłym wielu krasomówcom przy początku mowy, zdawał się usklepiać na twardych palcach oburącz, opartych na leżących przed nim aktach.

I głosem, którego drzenie siłą woli powściągał, Adwokat generalny począł w ten sens:

— „Panowie Sędziowie Izby,
Panowie Sędziowie Przysięgli!

Zadanie oskarżyciela publicznego rzadko łatwiejszém bywało niż w okoliczności obecnej. Według własnego zeznania człowiek ten zabił innego człowieka, by go obedrzeć z mienia. Utrzymuje on, wbrew podobieństwu, że nie obmyślił zgóry zamiaru zbrodni, lecz uległ pokusie nieprzepartej i nagłej; ja pewny jestem jednak, że panowie temu nie wierzycie.

Zeznanie tej młodej kobiety, które słyszeliście na ostatku, z pewném wzruszeniem, zdawałoby się do-

wodzić, że w zamroczonej duszy Krystyana Forgeat wszystkie uczucia dobra jeszcze nie wygasły.

Można też na jego korzyść przytoczyć opuszczenie w wieku dziecięcym, pobyt od najmłodszych lat w zepsutej atmosferze zakładu poprawczego, a nie zapominać przytem, że on przez wiele lat nędzy opierał się złym radom.

Za kilka chwil obrońca Krystyana Forgeat rozważy tę okoliczność i postara się otrzymać, ile będzie, mógł od waszej uczuciowości. Ja zaś do sprawiedliwości tylko waszej winienem się zwrócić, a nie widzieć, nie wiedzieć nic innego nad to, że oskarżony złodziejem jest i zabójcą; w imię zaś szacunku dla słuszności, która, jedyna, pozwala ludziom żyć spokojnie w społeczeństwie, oraz, w imię świętszego jeszcze szacunku dla życia ludzkiego, obowiązkiem jest moim powiedzieć panom Przysięgłym: „Skażcie!” panom Sędziom państwowym: „Ukarzcie!”.

Obowiązek ten przez dość już długie lata spełniałem z całym spokojem sumienia, i aż do dzisiaj, na tém miejscu powstając, zawszem był przekonany, że słowa moje, jakkolwiek surowemi-by były, dobroczynne są dla ludzkości, dla obrony społecznej pożyteczne. Kiedy zbrodnia wydawała mi się pewną, bez wahania żądałem pokuty według całego rygoru prawa, wymagałem, aby dano przykład.

Ale dziś widzicie panowie we mnie człowieka nieszczęśliwego, którego sumienie dręczą wątpliwości, człowieka, który nie czuje już w sobie prawa do potępienia winowajcy, i który nawet błagać was będzie o litość dla niego.”

Po tém nadzwyczajném oświadczeniu przebiegł wśród słuchaczy długi szmer. Cóż to za skandal! Świat się wywrócił do góry nogami.

Nawskroś osłupiały, pan Prezes Durousseau zrozumiał, że obowiązkiem jego jest wystąpić z protestem. Lecz wypadek zbyt był poważnym dla tego jowialnego męża. Nie było przedmiotu do kalem-buru; więc w pomieszaniu swém wycedził tylko:

— Podobne słowa!... Panie adwokacie generalny, wytłómacz się pan.

Lecz pan Lescuyer wyciągnął do starca rękę:

— „Wszyscy panowie zaraz zrozumiecie — odezwał się tonem pełnym łagodności i zarazem powagi — zrozumiecie i przebaczycie, pewien jestem, tak postąpieniu mojemu, jako i mowie: albowiem ja działałam w porządku moralności wyższej.

Jutro ja zdejmę tę szatę; a jeśli tego nie uczynił wcześniej, jeżeli już nie zasiadam na ławie obrońców, wzywając miłosierdzia waszego dla przestępcy, to dlatego, iż honor i natura nakazały mi pozostać jeszcze dzień jeden na tém miejscu i użyć mego prawa po raz ostatni.

Niechaj będą spokojni ci, co się obawiają skandalu. Oskarżenie, z jakim mam wystąpić, nie powtórzy się prawdopodobnie, naśladowców ono nie znajdzie; mam wszelako nadzieję, że żaden z was, urzędnicy niezłomni, ani z was, czcigodni członkowie przysięgli, nie będzie miał odwagi oskarżenia mego zganić...

A teraz — wyrzekł adwokat generalny głosem brzmiającym — spojrzycie na tego przestępcę, siedzącego tam na téj hańbiącej ławie... i spojrzycie na mnie, tak, na mnie, który mam straszną missyę żądania od was jego głowy... Owóż, tamten człowiek... dowiedziałem się o tém wtedy dopiero, gdy nad nim zaciążyła ręka sprawiedliwości... to syn kobiety, którą ja zamłodu nikiemnie i niegodziwie porzuci-

łem; to nieprawe dziecko, którem ja pozostawił na łup nędzy i zbrodni! Ten Krystyan Forgeat, to mój syn!”

Znowu powstał głęboki szmer.

Ale ulegając nakazującemu słowu pana Lescuyera, członkowie Izby, przysięgli, adwokaci, asystenci, wszyscy już oczyma porównali twarze prokuratora i przestępcy; a stwierdzenie podobieństwa, na które nikt przedtem nie zwracał uwagi, wzniciło nowy szmer.

Oskarżony ruchem instynktownym wstał i wyprostował się, a przytrzymywany za ręce przez dwóch żołnierzy, podawał ciało naprzód, i oczyma powiększonymi pewnym rodzajem przerażenia, patrzył na tego czerwonego człowieka, który go synem swym nazwał:

Ale Prezes zupełnie stracił głowę.

Co robić? Zawiesić posiedzenie?... Przychodziło mu to na myśl; i nawpół wstając z fotelu, rękę wyciągając ku beretowi leżącemu na stole, próbował frazesu:

— Ponieważ pan adwokat generalny zdaje się niezdrowym...

Lecz ten przerwał nakazującym giestem:

— „Nie, panie Prezesie, nie sądź pan, aby mi coś przystąpiło do głowy. Zrób to, co inni. Przypatrz się pan temu człowiekowi i mnie, i poddaj się oczywistości... Matka tego człowieka nazywała się Forgeat. Ten Krystyan Forgeat jest naturalnym synem moim, Krystyana Lescuyera, adwokata generalnego przy Izbie Sądowej Paryskiej.

Dziewica matka, którą porzuca kochanek; dziecko nie proszące o urodzenie, a które ojciec zostawia losowi — są to rzeczy dozwolone albo przynaj-

mniej takie, na jakie prawo patrzy przez szpary. Ale ja, który popełniłem ten czyn, a dziś głęboko dotknięty jestem jego następstwami, rozumiem, że to zbrodnia, i chcę za nią odpokutować, ukarać się sam i stawić się za przykład tym, którzy zbrodnię podobną popełnili, a żyją w bezkarności.

Spowiedź publiczna, którą tu uczyniłem, nie wystarcza mi. Jutro urzędowo przyznam Krystyana Forgeat za mego syna. Jeżeli go panowie wyślecie na rusztowanie, będę ojcem gilotynowanego; jeżeli go wyślecie do ciężkich robót będę ojcem zesłańca. Hańba jego jest mojem dziełem, i żądam dla siebie części téj hańby.

Co większa, czuję się odpowiedzialnym za całą jego przeszłość, i uznaję, że na dobrą sprawę powinienbym, tak jak on, odpowiadać życiem lub wolnością; gdyż wszystko złe, jakie uczynił on, stało się skutkiem winy mojej. Albowiem gdy ja, zapominając o mym samolubnym i niekczemnym postępku, wspinałem się ku wyżynom społecznym, otoczony szacunkiem i dostojnością, to biedne dziecko, mój syn, utracił matkę, a, jak wam, panowie, sucho oznajmia akt oskarżenia, wałęsał się po ulicach, po więzieniach dziecięcych, nareszcie po norach paryskich, ustawicznie wystawiany na najgorsze podszuczowania nędzy i głodu.

Kto zatem uczynił go dzieckiem bez rodziny i bez uprawy moralnej? Ja. Kto go od urodzenia rzucił opodal od nauk pożytecznych i zbawiennych przykładów? Również ja. I ponieważ ja usunąłem się od najprostszego obowiązku— gorzej! ponieważ nie poddałem się najelementarniejszemu z instynktów, Krystyan Forgeat musiał być całe życie włóczęgą,

więźniem, istotą nazawsze podejrzaną, aż nareszcie został złoczyńcą.

Jakżeż piorunująco błysły w mém sumieniu te straszliwe prawdy, kiedym się jednocześnie dowiedział o istnieniu i o zbrodni mego nieszczęsnego syna! Lecz nie daremnie okropnym tym ciosem Opatrzność przypomniła mi, iż jestem ojcem bez serca. Ona to prowadzi mnie i udziela mi natchnienia w chwili, gdy zdradzam prawo, by okazać posłuszeństwo naturze, gdy wołam o łaskę, zamiast żądać wymiaru sprawiedliwości; w chwili, gdy czerwoną szatą oskarżyciela usiłuję zetrzeć krew rozlaną przez mordercę, gdy nareszcie, wyjawiając wyrzuty sumienia mojego i lży, ukazuję się wszystkim czém jestem, i wielkim głosem powiadam: Oto przestępca.”

Zadyszany, z twarzą łzami zalaną, z rękami skurczonemi na piersiach, zamilkł adwokat generalny!

Zgromadzenie całe milczało w skupieniu, wstrzymując oddech. Sam nawet Prezes, bolesną tą wymową rozbrojony, nie myślał przerywać mówcy.

Młodzieniec na ławie oskarżonych, z głową opuszczoną, płakał.

— „Będziecież mieli litość, panowie przysięgli— mówił dalej z wielkim wysiłkiem pan Lescuyer — będziecież mieli litość nad ojcem i synem? Pomyślcieź... ah! wobec waszego wzruszenia ośmielam się nadzieję tę powziąć... pomyślcieź, iż dla was wybiła godzina potępienia surowości praw, wzbraniających nieprawemu dziecku poszukiwać ojca, skazujących zgóry takie dziecko opuszczone na wcielenie do armii złego?

Prawa te, prawa okrutne, ah! ja zaślepiiony, ja istny winowajca!... szanowałem całe życie, wierzy-

łem im, uznawałem je za potrzebne, wymagałem ich zastosowania.

Dziś mogę tylko ubolewać nad tém, płakać i błagać. Mogę tylko przyrzec wam, panowie, że jeśli mi oddacie tego oplakanego i zakrwawionego syna, to czuwać będę nad nim, wieść go ku wybawieniu, tchnieniem mojem bezustanku rozdmuchiwać ostatnią drzazgę dobra i honoru, płonąca jeszcze w tój zamroczonej duszy! Mogę przysiąc (i tu rękę wyciągnął do krucyfiks) na ten obraz Ukrzyżowanego, którego Boskie słowo rozbijało serca pełne gniewu i pomsty, wytrącało kamienie z zawziętych rąk już wzniesionych na wątłą istotę!

Po raz ostatni zasiadając na tém krześle oskarżyciela, odstępuję od oskarżenia, panowie Przysięgli, i ze złożonemi rękami proszę was o czyn zmiłowania... Łaski, łaski dla mnie i dla tego nieszczęsnego!... Błagam was o nią w imię tego Chrystusa, który przebaczał grzesznikom, w imię myśli, dla której umarł na krzyżu, a która prędzej lub później zwycięży złe w ludzkości, myśl szczytna, myśl miłosierdzia i miłości, myśl nauczająca nas, że litość jest sprawiedliwością wyższą nad wszystkie sprawiedliwości!"

Umilkł. Wzruszenie milczące, ale rzewne i łkaniem brzemiennie o władnęło wszystkich słuchaczy.

A dwaj przestępcy, ojciec i syn, jeden na miejscu honorowém, drugi na miejscu zelżywém, obaj zgnębieni, twarz zakrywszy rękami, w jednakowej postawie wyobrażali rozpacz.

Wzruszony był i Prezes, w gruncie człowiek niezły; w tój chwili nie myślał on bynajmniej dowcipkować. Był wszelako niespokojnym, niezadowolonym z siebie. Wyrzucał sobie, że nie miał odwagi,

by zatamować potok wymowy pana Lescuyera. Mocno go zrażała ta spowiedź publiczna, która spadła jak efekt teatralny.

Możeż on dopuścić, aby sąd publiczny, wobec dowodów i zeznań przygniatających oskarżonego, zdradził tak dalece swój obowiązek?

Co-by o tém pomyślał minister, senat, cała magistratura? Jakby sądzono jego znalezienie się w tej sprawie? Nie oskarżanożby go, że mu nie starczyło przytomności umysłu i mocy?

Z drugiejj znów strony pan Drouseau był pełnym współczucia dla swego kolegi i, bądź co bądź, pragnął najprzychylniejszego, ile być może, rozwiązania sprawy.

Niezmiernie zmieszany, i sam nie wiedząc, co począć, chciał nasamprzód zyskać na czasie.

— Po tak niespodziewaném wydarzeniu, jakie zaszło — odezwał się głosem wahającym — Izba uzna zapewne za właściwe zawiesić posiedzenie i udać się do gabinetu Prezesa, aby rozważyć, czy nie należy odłożyć sprawy do dalszego posiedzenia.

Lecz kiedy przystawali już dwaj assessorowie, znowu pan Péchaud podniósł swą czcigodną głowę.

Stary taktyk sądu kryminalnego teraz dopiero zrozumiał, dlaczego z takim naleganiem przyjaciel jego, Lescuyer, domagał się jego udziału w sprawie Forgeata. Sam on wreszcie, dzielając wzruszenie ogólne, gwoli oskarżonemu nie chciał tego wzruszenia ani na chwilę ostudzić.

Wielkimi a prostymi sposobami, które tyle powagi nadawały jego słowu, umiał on strachu napędzić Izbie. Według niego odwłoka sprawy byłaby ważnem uchybieniem przepisom; zastrzega więc sobie to i oświadcza, iż w danym razie zrobi z tego

użytek. Urząd publiczny ma zawsze zupełne prawo odstąpić od oskarżenia; a teraz właśnie, kiedy wypadek pomyślnym zdaje się być dla oskarżonego, prawo to, według wszystkich tradycyi, powinno znaleźć bepośrednie i zupełne zastosowanie.

Pan Péchaud prosił więc, aby sąd rozpraw nie przerywał.

No, i Prezes, wcale nie gniewny o to, że mu podano tę do uczeplenia się gałązkę, cofnął się zaszczytnie wobec żądania obrońcy i dał mu z kolei głos.

Ale zręczny prawnik nie myślał wystąpić z obroną. Musiałby ku temu przypominać same fakta sprawy, a więc zabójstwo żyda, złoto i bilety bankowe, zabrane po krwi; przypominać wtedy, gdy zbrodnia była prawie zapomnianą, utopioną niejako w wydarzeniu patetycznym, jakie wybuchło wobec zgromadzenia.

Stary adwokat trzymał swych Przysięgłych jeszcze przejętych wrażeniem, ujarzmionych, nietyle słowami, ile czynem pana Lescuyera.

Aby ich utrzymać w tym stanie wyjątkowym i nie dać czasu do rozproszenia się wzruszeń, Péchaud zrobił wielkie dla przyjaciela poświęcenie i nie skorzystał z tak pięknej sposobności do rozwinięcia talentu krasomówczego. Natomiast w kilku gorących ustępach skreślił życie syna opuszczonego, bohaterski żal ojca, i nagle ostatnim i wzruszającym zwrotem odwołał się do zlitowania.

Była to bitwa wygrana. Przysięgli, po bardzo krótkim rozważaniu, wydali jednomyślnie wyrok niewinniający.

Krystyan Forgeat ocalał.

Kiedy młodzieniec, podprowadzony przez straż,

usłyszał jak Prezes odczytywał wyrok uniewinniający i rozkazał, aby go natychmiast wypuszczono na wolność, doznał olśnienia, zachwiał się i zdumiony wzrok zwrócił ku człowiekowi ubranemu czerwono, który był jego ojcem i ocalił mu wolność. Nie był to więc sen. Uczyniono mu łaskę, wypuszczono go, może iść prosto przed siebie.

Z głębi piersi wydobył mu się okrzyk:

— Jakto?... Czy to prawda... ja jestem wolny?

Lecz w kilka chwil potem, kiedy wyszedł z kancelaryi, gdzie spełniono ostatnie formalności dla urzędowego uwolnienia, i gdy znowu się znalazł w sali posiedzeń Pałacu, prawie już pustej, raz jeszcze zobaczył przed sobą swego wybawcę, który po raz ostatni zdjął z siebie czerwoną suknię sądową i czekał na wyjście więźnia z kancelaryi.

Instynktownie Krystyan się cofnął, pomieszany, wstydząc się samego siebie.

Wtedy pan Lescuyer obie ręce położył na ramionach młodzieńca.

— Nie, mój synu — powiedział głosem drżącym — nie jesteś wolnym. Cóżbyś uczynił z taką wolnością, która sama zle drogi otwiera przed sobą? Odtąd należeć będziesz do ojca, do ojca, który wiele przeciw tobie zawinił, zapewne, ale który dowiódł ci, nieprawdaż? że umie winy swe naprawiać... Tak, teraz należysz do mnie, jesteś więźniem swego ojca. Nigdy o przeszłości z tobą mówić nie będę. Aby zwrócić się z drogi i postępować ku dobru, silnie tylko potrzebujesz wesprzeć się na mnie; a gdy wyrzuty zbyt dotkliwie cię zabolą, ja ci otworzę ramiona, nieszczęśliwe dziecko, tak, jak teraz oto, by cię ukłosać i uspić.

W wielkiej sali pustej, gdzie oczekiwano tylko

na odejście dwóch opóźnionych dla zagaszenia gazu, jeden stary posługacz pałacowy spełniał służbę. Był to stary żandarm, mało przystępny uczuciom, a pełen respektu dla magistratury.

Przez ciekawość był na początku rozpraw, widział Krystyana Forgeat, i dowiedział się o jego wyzwoleniu, bez innych szczegółów.

Owóż, twardy ten umysł żandarmski nie był zadowolony z rezultatu i pytał się ze złym humorem: jakim sposobem Przysięgli mogli wydać wyrok tak niedorzeczny?

Zniecierpliwiony tymi dwoma maruderami, przez których obiad mu stygnie, podstąpił ku nim; czci-
ciel hierarchii i powagi omal nie padł rażony apopleksją na widok pana adwokata generalnego do serca przyciskającego mordercę, który na jego piersi łkał.

XXI.

Przymocowany do nadbrzeża Hawru, olbrzymi statek ma podnieść kotwicę ku wodom południowym; a mimo błota i mgły zimowej, na afiszu przyklepionym do drewnianego baraka armatora, nazwy miast oceanu Spokojnego: Valparaiso, Santjago, Arquipo, Guajaquil, dziwaczne i jak krzyk papug brzmiące, wywołują krajobrazy podzwrotnikowe, strony świata pożerane przez słońce.

Jest to chwila, zawsze uroczysta, odjazdu.

Ogromne, przysadziste dwa kominy wielkiego parowca rozsyłają grubemi szmatami gęsty i czarny dym, który rozprasza się pomiędzy otaczającemi masztami.

W czapce złotem wykładanej kapitan, z rękami w kieszeniach ciężkiego paletota, spadającego aż do butów, stoi pod masztem, obojętnie spoglądając na ostatnie uściski podróżnych i żegnających się z nimi.

Niebawem ściagną pomost, a na przodzie statku kierownik, ubrany w strój ceratowy od stóp do głów, stoi już u poręczy i oczekuje tylko znaku, by zawołać na maszynę:

— Naprzód... zwolna...

W przerwach chrapliwy głos syreny jęki wydaje ponure.

Odjeżdżają.

Z powodu burzliwej pogody i zimna, platforma odkryta prawie jest pustą. Czwooro tylko znajduje się na niej podróżnych. Kto oni są?

Ten mężczyzna, stojący przed balustradą, to dawny urzędnik, Krystyan Lescuyer, który kraj opuszcza nadługo, może nazawsze; a nieopodal od niego, ten młodzieniec smutny i ta zamysłona kobieta z córeczką na ręku, siedząca na ławce, to Krystyan Forgeat, oraz Ludwika Rameau z dzieckiem.

W ciemnych ubraniach podróżnych tworzą oni grupę melancholijną, a pan Lescuyer wzrokiem zwilżonym litością obejmuje trzy te istoty moralnie okaleczone, które przyjął do siebie i z sobą uprowadza na wygnanie. Tak: ten nieszczęśliwy, który zeslizgnął się do zbrodni; ta biedna dziewczyna, która krążyła już koło prostytutce, i to dziecko nieprawe— to odtąd jego rodzina. Człowiek ten, przeistoczony boleścią, czuje w sobie dziś serce ojcowskie dla wszystkich nieszczęśliwych, odpuszcza im wszystkie winy: a co do tych, pragnie on ich uratować w zupełności. Odjeżdża z nimi, uprowadza ich gdziebądź, byle zdala od świadków i wspomnień strasznej młodości, tam gdzie będą mogli zapomnieć, co było, i życie rozpocząć nowe.

Krystyan Lescuyer powziął postanowienie to zaraz nazajutrz po wyrwaniu syna z rąk sprawiedliwości. Albowiem posiedzenie skandaliczne, wyrok Przysięgłych, wymuszony pod naciskiem powszechnego rozczulenia, wogóle potępiony został przez opinię, i ze szczególną surowością osądzony w kole prawniczem. Urzędnik od żadnego z kolegów nie doznał

najmniejszego znaku współczucia; a kiedy przyniósł dymisyę swą naczelnemu prokuratorowi, przyjęto go z suchością, która go nie zdziwiła, ale natomiast oświeciła o wstępie, jaki odtąd żywić będzie dla niego nasza społeczność, w trzech czwartych złożona z hipokrytów i faryzeuszów.

Tylko Donadiou i jego poczciwa żona natychmiast przybyli do Lescuyera, rzucili mu się na szyję, a w tym czułym uścisku złożyli mu pochwałę zacnych ludzi za jego czyn. Lecz starzy przyjaciele, z sercem prostém a do wszelkich odpustów gotowem, nie śmieli, zapewne przez dyskrecyę, zapytać go: jaką część życia zamierza poświęcić synowi?

— Nawet i ci, najlepsi — pomyślał były sędzia, — patrząc na tego nieszczęsnego chłopca, nie znieśliby łatwo myśli o tém, co on uczynił. Nigdy oni nie zezwolą na przyjęcie go u siebie, nie otworzą mu ani domu, ani serca. Jedno, jedno jest tylko rozwiązanie: wynieść się z kraju.

Krystyan Forgeat od czasu procesu mieszkał przy ojcu. Bardzo smutny, nie dowierzał jeszcze samęj rzeczywistości, z obawą przyjmował nadzwyczajną zmianę losu i uznawał się jęj niegodnym. Krępowany w swęj nowęj i dogodnej odzieży, onieśmielony obszarem mieszkania, łóżkiem ze świeżą pościelą, obfitym stołem, prawie zawsze siedział milczący. Ale wobec tego starca, którego surowe oczy łagodniały, gdy na niego patrzył, młodzieniec ten, z natury dobry, czuł, że mu serce się wzrusza, taje w cieplej atmosferze wdzięczności.

Z uniesieniem przyjął myśl emigracyi.

— Oh! tak! Daleko, daleko, gdzie nikt nie będzie wiedział o niczém, gdzie ja nikomu wstępu

czynić nie będę, nikt wstydić się za mnie... Tak, z ojcem, gdziebądź... Byle bardzo daleko, na koniec świata!

Kiedy więc zgodzono się na odjazd, było to wielkiem dla pana Lescuyera zadowoleniem. Zrealizował majątek, przygotował się do podróży.

Już się kołysał marzeniami pocieszającemi, widział się w nowym kraju, obok syna zrehabilitowanego przez pracę, ożenionego, zakładającego rodzinę, kiedy nagle ukąsił go skrupuł.

Czyż Krystyan może starać się o żonę, nie wyjawwszy jej swój hańby?

Nie, byłoby to nieuczciwością.

I wtedy to pan Lescuyer przypomniał sobie Ludwikę Rameau, którą wreszcie zasilał, i której, przed wyjazdem zamierzał zapewnić przyszłość.

Ta dla Krystyana Forgeat miała tylko w sercu wdzięczność i przebaczenie. Była, jak on, kobietą pokorną, rozbitkiem życiowym; ale dwóch desek dosyć dla utworzenia łodzi, a ta łódź jest często ratunkiem.

Z błyskiem radości w oczach, Ludwika bez namysłu zgodziła się na wyjazd z niemi; a Krystyan Forgeat, na wiadomość, iż ona ma wyruszyć razem, po raz pierwszy od czasów niepamiętnych, objawił na twarzy coś nakształt bladego uśmiechu szczęścia.

*

*

*

Stojąc na pokładzie, przed zimnem owinięty w pled podróżny, pan Lescuyer spogląda na czarny bruk nadbrzeża, kędy leżą ciężkie ogniwa żelazne, sterczą stare fasady okryte dachówką ceglana; kędy

zatrzymują się ludzie, oczekujący na odjazd statku, a tragarze obdarci znoszą ostatnie pakunki.

Wszystko to ponure, brudne i smutne.

Przebóg! toż to jeszcze kawalek Francyi, którą Krystyan Lescuyer żegna; a serce boleśnie mu się ściska.

Ale oto pod nogami podróżnego drgnął pomost. Przy pierwszych wysiłkach maszyny cały ogromny statek trzeszczy i jęczy. Z tyłu śruba wzbudza straszną wrzawę kotłującej się wody. Zwolna statek się odczepia, odstępuje od starego kamienistego nadbrzeża. Ze wszech stron już ogarnia go woda, już dosięga do środka zatoki; a tam już domy zaczynają niknąć powoli.

Już w drodze.

Wtedy Krystyan Lescuyer zwraca się do towarzyszków wygnania.

Ci odjeżdżają bez żalu, i ani okiem nie rzucą na brzeg, na tę ojczyznę, która cierpienia im tylko dała.

Dziecina, spoczywająca na kolanach Ludwiki, opuściła jedną rączkę w dłonie Forgeata, który uśmiecha się do matki i do dziecka. Oj, troje tych nieszczęśliwych, toż to trójca jakby stworzona do tego, aby się wzajem podtrzymywać, pocieszać, kochać, a grupa, którą tworzą, już jest familijną.

I patrząc na to, Krystyan Lescuyer z pociechą myśli, że Bóg przebacza, a czas i przestrzeń pozwalają zapominać.

Tymczasem statek nabiera chyżości i szybuje już całem zagłębieniem. Zerwał się wiatr chłodny i ostry; rozbija i rozprasza mgłę, w której wirują białe mewy lotne; rozprasza białą pianę na ołowistych falach. Aż oto, tam wysoko, na nieboskłonie

ukazują się jedna, dwie, trzy, potem jeszcze inne wysepki błękitne. Coraz ich więcej, zlewają się razem: pogoda wraca.

Nareszcie, rozpraszają się ostatnie chmury, wyblysnęło słońce, jaskrawe, królewskie. Teraz fale są zupełnie zielone, powierzchnia pryska srebrzystymi kroplami; okręt unoszący wychodźców pędzi wartko i radośnie po morzu lśniącem barwą nadziei.

K O N I E C.







460 —

1807/8/19/20/21

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

197059

Biblioteka WSP Kielce



0065478